

Polska Zbrojna

95
LAT

NR 7 (843) LIPIEC 2016

CENA 6,50 Zł (w tym 8% VAT)

INDEKS 337 374 ISSN 0867-4523

S Z C Z
Y T N A
T O W W
A R S Z
A W I E



PATRONAT POLSKI ZBROJNEJ

TargiKielce
EXHIBITION & CONGRESS CENTRE

*Honorowy Patronat
Prezydenta
Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy*



MSPO 

XXIV Międzynarodowy Salon
Przemysłu Obronnego

6-9.09.2016
Kielce

mspo.pl

Z SZEREGU WYSTĄP



IZABELA
BORAŃSKA-
-CHMIELEWSKA



PIERWSZY RAZ W HISTORII NATO NAJWAŻNIEJSZE I NAJWIĘKSZE SPOTKANIE PRZYWÓDCÓW PAŃSTW CZŁONKOWSKICH ZORGANIZOWANO W POLSCE.

Szczyt, w trakcie którego zapadają kluczowe decyzje dotyczące bezpieczeństwa państw Europy Wschodniej i Południowej oraz przyszłości sojuszu, odbywa się na naszych oczach. Postanowienia podjęte dwa lata temu w Newport, a także konflikt na Ukrainie stały się punktami zwrotnymi w strategii działania NATO. Wymusiły powrót do obrony kolektywnej oraz sprecyzowania na nowo celów i zadań sojuszu. Ważną i potwierdzoną w Brukseli informacją jest to, że w Polsce i krajach bałtyckich zostaną rozmieszczone batalionowe grupy bojowe, będące wzmocnieniem szpicy NATO. Dla Polski istotne i szczególnie oczekiwane podczas obrad jest potwierdzenie zobowiązań wobec Gruzji i Ukrainy. Gruzini w październiku pójdą do urn, aby zagłosować w wyborach parlamentarnych, a ewentualne decyzje w ich sprawie podjęte w trakcie warszawskiego szczytu mogłyby mieć duży wpływ na obranie przez ten kraj kursu prozachodniego. Zważywszy na działania Rosji, sytuacja jest tam dynamiczna. Zachęcam do lektury wniosków ekspertów i analityków: Mariusza Kordowskiego, Artura Gruszcza i Piotra Łukasiewicza, którzy podczas debaty w redakcji „Polski Zbrojnej” dyskutowali m.in. o zagrożeniach ze strony Rosji i wyzwaniach, jakie stoją dziś przed NATO.

Technicznie i strategicznie organizacja szczytu to wielkie i odpowiedzialne zadanie. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, Ministerstwo Obrony Narodowej i Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego wspólnie działają na rzecz zapewnienia bezpieczeństwa, zarówno zagranicznym delegacjom, dziennikarzom, jak i mieszkańcom stolicy naszego kraju. Przez ostatnie miesiące służby pracowały na najwyższych obrotach.

Ćwiczenia „Anakonda '16”, które 17 czerwca zakończyły się w Polsce, pokazały siłę, zorganizowanie i perfekcyjną współpracę na wszystkich szczeblach dowodzenia struktur NATO i poszczególnych państw. Jak powiedział gen. Marek Tomaszewski, dowódca operacyjny rodzajów sił zbrojnych, żołnierze ten egzamin zdali celując. W ocenie dowódcy sił lądowych USA w Europie gen. broni Bena Hodgesa, ćwiczenia w Polsce były najlepiej przygotowanymi manewrami w ciągu ostatnich 30 lat.





Zdjęcie na okładce:
Lev Dolgachov/
Fotolia.com,
dział graficzny

NR 7 (843)
LIPIEC 2016

TEMAT NUMERU

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER,
TADEUSZ WRÓBEL

12 / Forum dialogu

Wizje i rewizje dotyczące sojuszu północnoatlantyckiego w dyskusji Mariusza Kordowskiego, Artura Gruszczyka i Piotr Łukasiewicza.

ROBERT CZULDA

22 / Sojusz na lata

Rzut oka na historię NATO.

ROBERT SENDEK

26 / Jedną nogą w NATO

Jakie znaczenie będzie miało wejście Czarnogóry do sojuszu północnoatlantyckiego?



ARMIA

MICHAŁ ZIELIŃSKI

30 / Rajd w rytmie rocka

Towarzyszmy żołnierzom podczas „Dragoon Ride 2”.

MARCIN GÓRKA

40 / Bitwa pod Toruniem

Echa „Anakondy '16”, czyli największa operacja powietrznodesantowa na poligonie w Kijowie...

BOGUSŁAW POLITOWSKI

42 / Suchym kołem przez Odrę

...oraz budowanie przeprawy przez rzekę niedaleko Krosna Odrzańskiego.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

46 / Jedność, siła, bezpieczeństwo

Co działo się na ćwiczeniach „Baltops 2016”?

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

48 / Żołnierze dla pielgrzymów

Wojsko aktywnie włączyło się w przygotowania do Światowych Dni Młodzieży, które w tym roku odbędą się w Polsce.

KRZYSZTOF WILEWSKI

50 / Wsparcie wojska

O kongresie w Ostródzie i idei konsolidacji organizacji proobronnych.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

54 / Mister Master

Płk pil. Konrad Madej o wadach i zaletach samolotów M-346 Master.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

58 / Chemik w moro

W cyklu „Wojsko od kulis” zapraszamy do 4 Brodnickiego Pułku Chemicznego.

BOGUSŁAW POLITOWSKI

64 / Sztuka pakowania

Codzienna praca żołnierzy zespołu transportu i przeładunków lotniczych.

Znajdziesz nas tutaj:





ARSENAŁ

RAFAŁ CIASTOŃ

68 / Broń pierwszego uderzenia

Jak wprowadzenie broni hipersonicznej
zmieni układ sił na świecie?

STRATEGIE

TOMASZ OTŁOWSKI

80 / Kosztowne ambicje

Kalifat z taką samą łatwością
wydaje pieniądze i je zdobywa.

RAFAŁ CIASTOŃ

86 / Kalifat na e-celowniku

Amerykańskie dowództwo
ds. operacji cybernetycznych kontra
Państwo Islamskie.

TADEUSZ WRÓBEL

90 / Niezasłużona nagroda

Atmosfera w stosunkach
wietnamsko-amerykańskich
od kilku lat wyraźnie się ociepla.

MAŁGORZATA

SCHWARZGRUBER

94 / Cyberżołnierze w ofensywie

Rozmowa z ministrem
Bartłojem Grabskim
o cyberprzestrzeni jako nowym
polu walki i jej ochronie.

HISTORIA

TOMASZ GOS

98 / Niepotrzebni muszą zginąć

Tomasz Szlosek o procesie komandorów
i stalinowskich czystkach wśród oficerów
marynarki wojennej.

SZYMON DREJ

104 / Tajemniczy Grunwald

O najsłynniejszej bitwie wiemy na pewno jedynie
tyle, że się odbyła 15 lipca, a zwycięstwo odniosły
wojska króla Władysława II Jagiełły i wielkiego
księcia Witolda.

JAKUB NAWROCKI

108 / Rzeczpospolita Zasmycka

Oddział samoobrony polskiej wsi dał początek
27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK.

TADEUSZ WRÓBEL

114 / Niszczycielska forteca

W cyklu „Niezwyciężone maszyny” – amerykański
samolot B-29 Superfortress.

HORYZONTY

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

118 / Szlak pamięci

Lublin można zwiedzić tradycyjnie, oglądając
stare zabytki, można też przejść nowy szlak dla
turystów poświęcony żołnierzom wyklętym.

PAULINA GLIŃSKA

123 / Poczytaj mi, pilocie

W akcji „Czytanie – męska rzecz” wzięli udział
piloci polskich sił powietrznych.

KADR



JEDNYM Z WIELU EPIZODÓW ĆWICZEŃ „ANAKONDA '16” była budowa przez żołnierzy wielonarodowego batalionu inżynieryjnego przeprawy promowej na Wiśle w okolicach Chełmna. Most o długości 330 m powstał w zaledwie 40 minut przez połączenie siedmiu brytyjskich oraz dwudziestu trzech niemieckich samobieżnych promów kołowych M3. Po sprawnie wykonanym zadaniu brytyjscy żołnierze z plutonu inżynieryjnego robią sobie pamiątkowe zdjęcie.

FOT. ARKADIUSZ DWULATEK/COMBAT CAMERA DORSZ



Globalna koalicja

Polacy pojedą na misję do Iraku i Kuwejtu.

KONRAD KIFERT
/ SPFL - AIR ACTION

Prezydent Andrzej Duda podpisał postanowienie o użyciu dwóch polskich kontyngentów w operacji „Inherent Resolve” prowadzonej w ramach globalnej koalicji do walki z tzw. Państwem Islamskim. Zgodnie z tą decyzją, podjętą na wniosek rządu, misję rozpoznawczą w Kuwejcie mają tworzyć cztery myśliwce F-16,

wyposażone w zasobniki rozpoznawcze DB-110, oraz do 150 żołnierzy i pracowników wojska. Do Iraku z kolei Polska wysłała około 60 żołnierzy wojsk specjalnych. Do ich zadań należy doradzanie irackim sztabom i siłom specjalnym oraz ich szkolenie. Obie misje potrwać od 20 czerwca do 31 grudnia 2016 roku.

Operacja „Inherent Resolve” jest prowadzona na podstawie rezolucji Rady Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych oraz na prośbę rządu Iraku. ONZ uznała, że tzw. Państwo Islamskie jest grupą terrorystyczną i stanowi zagrożenie dla światowego pokoju i bezpieczeństwa. AD ■

ROBERT SIEMASZKO / CO MON

Sojusz w gotowości

W Brukseli o przyszłości NATO i misji na Bliskim Wschodzie.

Cztery bojowe grupy batalionowe Wojsk NATO zdolne do samodzielnego działania zostaną rozmieszczone w Polsce i krajach bałtyckich. To założenia przyjętego na

spotkaniu ministrów obrony państw NATO w Brukseli planu wysuniętej obecności sojuszu na wschodniej flance. Pododdziały, liczące od 1000 do 1200 żołnierzy, mogą trafić do

Europy Wschodniej już na początku 2017 roku. Za ich utworzenie i dowodzenie nimi będą odpowiedzialne cztery państwa ramowe. Na razie dwa kraje zadeklarowały, że podejmą się tej roli – Stany Zjednoczone i Niemcy. Dodatkowo w Polsce powstanie sojusznicze dowództwo na szczeblu dywizji. Będzie to element pośredni w łańcuchu dowodzenia między Wielonarodowym Korpusem Północno-Wschod-



66 PAŃSTW
liczy koalicja
międzynarodowa
przeciwko tzw. Państwu
Islamskiemu

Meetings of NATO Ministers of Defence

14-15 VI 2016

Réunions des ministres de la défense de l'OTAN



Think tank dla wojska

W AON-ie powstało Centrum Badań nad Bezpieczeństwem.

Zadaniem Centrum jest prowadzenie działalności analitycznej i eksperckiej w sferze zjawisk geopolitycznych, wyzwań strategicznych oraz cywilizacyjnych”, mówił prof. Wojciech Fałkowski, wiceminister obrony narodowej, otwierając w Akademii Obrony Narodowej Centrum Badań nad Bezpieczeństwem. Będzie ono opracowywało analizy sytuacji politycznej, gospodarczej, ekonomicznej, kulturowej i militarnej na świecie na potrzeby wojska i głównych instytucji państwa.



VALERY KACHAEV/FOTOLIA

Na razie w Centrum powołano trzy ośrodki analityczne. Centrum Studiów Przestrzeni Postsowieckiej będzie przede wszystkim zwracać uwagę na wojnę informacyjną i hybrydową prowadzoną m.in. przez Rosję. Na jego czele stanął dr Jerzy

Targalski, historyk i politolog. W sferze zainteresowań Ośrodka Badań nad Wyzwaniami Cywilizacyjnymi, kierowanego przez prof. dr. hab. Andrzeja Zybertowicza, socjologa, będzie m.in. wojna informacyjna jako część wojny kulturowej oraz rewolucja technologiczna.

Szefem Centrum Badań nad Azją został z kolei dr Krzysztof Iwanek, absolwent historii, indologii i kulturoznawstwa.

Centrum Badań nad Bezpieczeństwem rozpocznie działalność po wakacjach, a pierwsze analizy powstaną pod koniec jesieni. Jedną z nich będzie „Raport szans”, dotyczący możliwości Polski pod względem gospodarczym, ekonomicznym, politycznym i wojskowym. PZ, AD ■

Patrol morski

Fregata rakietowa ORP „Kościuszko” ma pomóc w operacji rozwiązywania kryzysu migracyjnego na południowej flance NATO. Jak zapowiedział minister Antoni Macierewicz, będzie współdziałała z jednostkami Stałego Zespołu Okrętów NATO (SNMG2), składającego się z fregat i niszczycieli. Ich załogi mają przede wszystkim patrolować szlaki, którymi do Europy przedostają się nielegalni imigranci i uchodźcy. Podczas misji fregacie ma towarzyszyć śmigłowiec pokładowy **SH-2G**. Polscy marynarze i lotnicy działali już na południu Europy. W skład zespołu SNMG1 dwukrotnie – w latach 2006 i 2008 – wchodził ORP „Gen. K. Pułaski”. Okręt ze śmigłowcem pokładowym SH-2G operował na morzach Śródziemnym i Czarnym. Brał też udział w operacji antyterrorystycznej „Active Endeavour”. Wiązała się ona z monitoringiem szlaków żeglugowych na Morzu Śródziemnym, by zapobiec ewentualnemu przemytowi ludzi i broni. PZ, ŁZ ■

nim a jednostkami rozmieszczonymi w Polsce i sąsiednich państwach.

Ministrowie obrony omówili też realizację „Readiness Action Plan”, przyjętego na poprzednim szczycie w Newport. Zgodnie z nim trzykrotnie została zwiększona liczebność – do **40 tys. żołnierzy** – sił szybkiego reagowania. Utworzono szpicę, czyli siły bardzo wysokiej gotowości (Very High Readiness Joint Task Force – VJTF) oraz sześć jednostek integracji sił NATO (NATO Force Integration Unit – NFIU): w Polsce, Rumunii, Bułgarii i państwach bałtyckich. Dwie kolejne powstaną wkrótce na

Węgrzech i Słowacji. Podniesiono też gotowość szczecińskiego korpusu. Podczas spotkania w Brukseli minister Antoni Macierewicz zapowiedział też, że jeszcze przed szczytem NATO w Warszawie polskie myśliwce F-16 rozpoczną misję rozpoznawczą na Bliskim Wschodzie. Misja obserwacyjno-szkoleniowa będzie wkładem Polski w działania koalicji międzynarodowej przeciwko tzw. Państwu Islamskiemu. Została ona powołana we wrześniu 2014 roku. Liczy 66 państw, a Polska do tej pory wspierała ją politycznie, humanitarnie i logistycznie. PZ, MC, AD ■

Panu gen. bryg.

Wiesławowi Orkiszowi,

szefowi Zarządu Planowania

Rzeczowego – P8 Sztabu

Generalnego Wojska Polskiego,

Rodzinie oraz Bliskim

wyrazy głębokiego

współczucia i żalu

z powodu śmierci

Brata

składają szef Sztabu

Generalnego Wojska Polskiego

gen. Mieczysław Gocuł

oraz żołnierze

i pracownicy SGWP.

Gabinet odnowy dla rośków

Powstanie drugie centrum obsługowe dla kołowych transporterów opancerzonych.

Jeszcze w tym roku ma zostać ogłoszony przetarg na budowę drugiego centrum obsługowego dla kołowych transporterów opancerzonych Rosomak. Ma ono powstać na terenie Rejonowych Warsztatów Technicznych 3 Regionalnej Bazy Logistycznej w Rzeszowie. Hala będzie miała kubaturę

22 tys. m³.

Znajdzie się w niej 14 stanowisk obsługowych oraz lakiernia, śrutownia, magazyny, warsztat elektryczny, warsztat naprawy kół i stacja kontroli pojazdów.

Przetarg na budowę hali zostanie ogłoszony jeszcze w 2016 roku. „Inwestycja ma nadany status priorytetowy, z okresem realizacji do 2020 roku”, mówi Bartłomiej

Misiewicz, rzecznik prasowy ministra obrony narodowej. Ze względu na przyjęty tryb postępowania przetargowego, o kontrakt na prace budowlane będzie mogła zabiegać każda firma z Unii Europejskiej.



Na początku tego roku ruszyła budowa centrum obsługowo-remontowego rosomaków na terenie 52 Batalionu Remontowego Ziemi Czułchowskiej w Czarnem. Ma to być najnowocześniejszy w Wojsku Polskim warsztat, w którym będą wykonywane terminowe przeglądy techniczne rosomaków po dwóch i czterech latach ich użytkowania, a także poważniejsze naprawy i remonty. Obiekt budowany za ponad 30 mln zł ma powstać do połowy 2018 roku. PZ, KW

Bałkański air policing

Sojusz północnoatlantycki przygotowuje misję nadzoru przestrzeni powietrznej krajów bałkańskich, w której weźmie udział Polska. Według Tomasza Szatkowskiego, wiceszefa MON-u, zadania nad Bułgarią i Rumunią mają być wykonywane rotacyjnie, a kontyngenty z państw sojuszniczych będą się zmieniać co kilka miesięcy. Na takich właśnie zasadach odbywa się trwająca od 2004 roku misja „Air Policing” nad krajami bałtyckimi, które nie mają własnego lotnictwa myśliwskiego. Polska bierze w niej udział od 2006 roku i pełniła czteromiesięczne dyżury już sześciokrotnie. Podniebną misję na południowo-wschodniej flance NATO polscy piloci mają rozpocząć jesienią. Nasz udział to część sojuszniczego współdziałania, które gwarantuje bezpieczeństwo przestrzeni powietrznej. PZ, PG

✎ Sprostowanie

Nowym dowódcą 1 Bazy Lotnictwa Transportowego w Warszawie jest płk pil. Stanisław Kondrat, a nie, jak podaliśmy w czerwcowym numerze „Polski Zbrojnej”, płk pil. Stanisław Konrad.

Nowa kadra

Przyszli oficerowie obrony terytorialnej będą się kształcić we Wrocławiu.

W Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Lądowych jesienią rozpocznie się dodatkowy kurs dla kandydatów na oficerów. Jak wyjaśnił Bartłomiej Misiewicz, rzecznik prasowy ministra obrony narodowej, dodatkowy nabór na szkolenie wynika z zapotrzebowania na kadrę formowanych jednostek wojsk obrony terytorialnej. Absolwenci kursu w pierwszej kolejności zostaną bo-

wiem wyznaczeni na stanowiska w tworzonych brygadach OT w Białymstoku, Lublinie i Rzeszowie. Pozostali trafią do jednostek podległych dowódcy generalnemu rodzajów sił zbrojnych stacjonujących na wschodzie kraju.

We Wrocławiu przez rok będzie się szkolić

130 absolwentów uczelni cywilnych, a przez sześć miesięcy – 20 podoficerów zawodowych. Wszyscy trafią do grupy pancerno-zmechanizowanej. W tym roku na kursach oficerskich miały się szkolić

34 osoby. MON zwiększyło jednak limit na kursach oficerskich o 150 miejsc. PZ, PG





PIOTR
BERNABIUK

Brawa i owacje

Ćwiczenia „Anakonda” przeszły już do historii. Siedzimy sobie w cieniu sosen, na skraju poligonowej, piaszczystej patelni, w doborowym towarzystwie uczestników batalii, szeregowych i podoficerów, i gawędzimy... o Afganistanie. Wielkie manewry, angażujące przez długie miesiące najtęższe umysły od strategii, były dla „prostych” żołnierzy – jak sami siebie określają – jedynie grą wyobraźni, przerabianiem scenariuszy wynikających ze współczesnych zagrożeń. Zagrali w tym spektaklu epizod być może wart braw i Oscara za rolę drugoplanową, a teraz będą odtwarzać zdolność bojową, czyli, jak żartują, odgrywać kolejną scenę – wypoczynek wojownika.

Towarzystwo dzieli się w sposób naturalny na weteranów i tych, którzy jedynie marzą o udziale w misji bojowej. Weterani, początkowo oszczędni w słowach, szybko przenoszą się do wspomnień, po raz dziesiąty albo setny rozpatrują w szczegółach zdarzenia, które będą im towarzyszyć już przez całe życie – odpieranie ataku na bazę, ajdiki, kontakty ogniowe...

Temperatura rośnie, zaczynają się spory o szczegóły, o to kto komu przyszedł na ratunek, a kto najpierw po uszy wpakował się w kłopoty, a teraz zgrywa bohatera. Zaczyna kipieć... I nagle jakby prąd odcięło, gasną emocje, ściszone głosy, bo doszli do momentu, w którym stracili kolegów. Ktoś refleksyjnie zamyka spektakl: „Dużo jeszcze byłoby do opowiedzenia”.

W jednostce oficjalne spotkanie z weteranami z Iraku i Afganistanu. Naprzeciwno dziennikarza zasiadają ci sami żołnierze albo ich koledzy, ale dalej nic już nie jest tak samo, mimo deklaracji pełnej otwartości: „O tym, co się wydarzyło podczas pełnienia służby na misji, o szczegółach i epizodach, z oczywistych powodów nie będziemy rozmawiać”. Jakich oczywistych powodów? Dlaczego nie mielibyśmy rozmawiać? Przecież o naszych bohaterach wojennych z Iraku i Afganistanu pisze się książki, kręci filmy... A tu ciągle słyszymy o konieczności zachowania tajemnicy!

Jakby na zawołanie, oficer nagrodzony wraz ze swymi żołnierzami Buzdyganem „Polski Zbrojnej” za niezłomną postawę w operacji afgańskiej, za wykonywanie mimo strat w ludziach powierzonego mu zadania, dał mi link do artykułu zamieszonego w prasie cywilnej. Wynika z niego, że do Afganistanu wysyłaliśmy prymitywnych baranów, jakąś swołocz na pół dziką i nienawidzącą miejscowej ludności. Dołączył retoryczne pytanie: „Czy to nie jest manipulacja opinią publiczną?”. Rzeczywiście, dziennikarz uderzył, a „opinia publiczna” w internecie poszła po całości. Więc cóż odpowiedzieć oburzonym weteranom? Samiście sobie winni? Bo kiedy dziennikarz poszukujący mocnego tematu staje przed nimi wprost, to nabierają wody w usta. A tak pogadał z chłopakami pokątnie, a oni poszli po całości... Proszę zgadnąć, którą wersję wybierze dziennikarz? Mamy więc kłopot – gadać czy nie gadać?

Pozwolę sobie nie udzielać w tej kwestii dobrych porad, ale przytoczę za to przykład, jak można o dobre imię uczestników misji zadbać bez gadania. Legia Fight Club zorganizował, jeszcze w maju, galę Granda PRO. Bili się tam w MMA i K-1, czyli w mieszanych sztukach walki. W środku zdarzeń, gdy już było na widowni ciepło, na ring wyszli dwaj weterani z Afganistanu, Tomasz Roźniatowski i Arkadiusz Dembiński. Tomasz w dramatycznych okolicznościach stracił rękę, Arkadiusz miał postrzelaną nogę... Walka wówczas wcale nie była pokazowa, sypały się bomby, strzały z nogi na głowę. A potem brawa i owacje na stojąco! Nie dlatego, że są kalekami! Tam, na widowni, był szczery patriotyzm i szacunek dla żołnierzy, którzy nigdy się nie poddają.

TEMAT NUMERU

/ SZCZYT NATO





FORUM DIALOGU

*Z Mariuszem Kordowskim, Arturem
Gruszczakiem i Piotrem Łukasiewiczem*

**o fantomowych bólach sojuszu, wojnie hybrydowej i zasadzie
muszkieterów rozmawiają Małgorzata Schwarzgruber
i Tadeusz Wróbel.**

WALDEMAR MŁYNARCZYK/COMBAT CAMERA DORSZ





M

inęły dwa lata od szczytu w Newport, na którym zapadły ważne decyzje dotyczące przyszłości sojuszu. Jak należy ocenić wprowadzanie tych rozwiązań w życie?

Mariusz Kordowski:

Podczas poprzednich szczytów – w Lizbonie i Chicago – NATO próbowało zareagować na zmiany w środowisku bezpieczeństwa. Podjęte decyzje koncentrowały się na kolektywnej obronie, a potem na problemach związanych z Afganistanem. Dopiero konflikt na Ukrainie pokazał, że tematyka, którą powinien zajmować się sojusz, jest o wiele szersza. Putin jest nieprzewidywalny i trzeba skupić uwagę także na problemach zgłaszanych przez Polskę. W Newport zapadły pierwsze decyzje dotyczące wzmocnienia wschodniej flanki oraz powstania pięciotysięcznej szpicy, w której tworzenie zaangażowała się Polska. Gdyby doszło do konfliktu, jako kraj położony na granicy NATO musielibyśmy odpowiedzieć jako pierwsi. Jesteśmy jedynym państwem, które ma siły zdolne do wydzielenia odpowiedniego komponentu, żeby przyjąć ewentualne uderzenie. Chcemy w jak największym stopniu zaangażować w funkcjonowanie szpicy sojusz, abyśmy nie byli wówczas osamotnieni. Deklaracja NATO o permanentnej obecności na wschodniej flance wojsk sojuszników została wykonana częściowo.

Rotacyjna, stała, permanentna – padają różne przymiotniki określające obecność żołnierzy natowskich na wschodniej flance.

Mariusz Kordowski: Mówimy o permanentnej obecności. NATO, podobnie jak Rosja, pró-

buje oszukać świat. Moskwa prowadzi interwencję na Ukrainie i twierdzi, że tam wojny nie ma. Podobnie postępuje sojusz, gdy zaprzecza swojej stałej obecności.

Artur Gruszcak: W NATO nie mówi się już o permanentnej obecności. Słowem kluczem jest „persistence”, ciągła obecność, ale nie stała. NATO będzie w tym regionie, ale w formie trwałych elementów infrastruktury. Być może w najbliższych latach ten stan się pogłębi, co oznaczałoby powrót do koncepcji permanentnej obecności. Państwa członkowskie są w tej kwestii podzielone.

Co musiałyby się zdarzyć, aby przeciwnicy stałej obecności sojuszu zmienili zdanie?

Artur Gruszcak: Strach o tym mówić... Musiałoby dojść do ekspansji działań hybrydowych, głównie ze strony Rosji, a także do zwiększenia zagrożenia nie tylko na flance wschodniej, lecz także południowej.

Piotr Łukasiewicz: Dwa lata po szczycie w Newport nie ma już sensu dyskusja, czy coś jest permanentne, rotacyjne czy trwałe. Mimo oporów ze strony Rosji oraz niektórych krajów natowskich, takich jak Niemcy czy Francja, żołnierze państw sojuszu są obecni w krajach wschodniej flanki. Nie ma znaczenia, czy wymieniają się co dwa, czy co sześć miesięcy. Ważne jest, że ten postulat został spełniony i że żołnierze NATO są w Polsce.

Wróćmy do realizacji postanowień szczytu w Newport.

Artur Gruszcak: Nie należy traktować ustaleń poszczególnych szczytów NATO jako pewnego procesu. Gdy sięgniemy do postanowień, jakie zapadły w Bukareszcie w 2008 roku,



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

DR HAB. ARTUR GRUSZCZAK

Jest profesorem nadzwyczajnym w Instytucie Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Jagiellońskiego i kierownikiem Zakładu Bezpieczeństwa Narodowego UJ. Jednocześnie jest m.in. członkiem-założycielem Europeans for Competitive and Strategic Intelligence (EFCSI) z siedzibą w Brukseli oraz członkiem Komitetu Doradczego Observatoire des think tanks z siedzibą w Paryżu.

zobaczymy, jak niewiele z nich pozostało w agendzie. We wnioskach z jubileuszowego szczytu w Strasburgu i Kehl w 2009 roku zapisano, że NATO ma być panaceum niemal na wszelkie bolączki współczesnego świata. Tej agendy nie można było zrealizować. Szczyt w Newport był pewnym przełomem. Powrócił temat bezpieczeństwa kolektywnego, budowanego przez NATO od początku lat dziewięćdziesiątych. Ten model, tworzony przez lata wysiłkiem wszystkich państw członkowskich, został obnażony przez kilku aktorów państwowych i pozapaństwowych. W środowisku bezpieczeństwa tworzonym przez aliantów z USA na czele, które wydawało się w miarę stabilne, pojawiły się drapieżniki. Największe z nich to Rosja, która wkroczyła zdecydowanie, łamiąc wiele reguł, i tzw. Państwo Islamskie. Oni mocno kwestionują postzimnowojenny model bezpieczeństwa. To sprawia, że ustalenia kolejnych szczytów, od Lizbony,

przez Chicago, po Newport, muszą być przestrzegane w dynamicznie zmieniającym się środowisku.

Jednym z postulatów szczytu w Newport było zwiększenie wydatków na obronność do 2% PKB, co nie zostało przez większość członków NATO wprowadzone w życie.

Artur Gruszcak: Po szczycie w Newport nastąpił nie tyle przełom w realnym zwiększaniu wydatków na obronność, ile pojawiła się świadomość, że nie da się już więcej oszczędzać na bezpieczeństwie. Zdano sobie sprawę, że mimo trwającego kryzysu gospodarczego, który przekłada się na oszczędności w wydatkach publicznych, nie może ucierpieć obrona narodowa oraz bezpieczeństwo państw członkowskich. Coraz więcej krajów uzmysławia sobie, że nie od razu da się osiągnąć poziom 2% PKB, ale ma świadomość, że wydatki na obronność muszą zostać zwiększone. Niektórzy członkowie NATO mówią jednak, że nie stać ich na to, bo mają inne problemy. Pojawiła się zatem pozytywna tendencja do podnoszenia wydatków na obronność, ale daleko jeszcze do osiągnięcia satysfakcjonującego poziomu.

Wydaje się, że kierunek, który NATO obrało na szczycie w Newport, odpowiada polskim interesom.

Piotr Łukasiewicz: Oczywiście, że odpowiada, ponieważ jestem jego ważnym członkiem, zaangażowanym w większość inicjatyw natowskich. Spójrzmy jednak z innej perspektywy, strategicznej i historycznej. W latach dziewięćdziesiątych NATO jeszcze się jako trzymało, ale w szybkim tempie traciło sens swojego istnienia, którym było równoważenie potęgi Układu Warszawskiego. To były fantomowe bóle po utracie złego brata bliźniaka. Układ Warszawski przestał istnieć, a NATO poszukiwało idei, która na nowo by je jednociła. Interwencja amerykańska, a później natowska w Afganistanie to były sprzyjające okoliczności, które skutecznie przedłużyły żywotność sojuszu, pokazały, że nadal jest on ważnym graczem i że potrafi zorganizować 150-tysięczną operację wojskową. Rosja przestała być głównym zagrożeniem dla stabilności krajów sojuszu, który skupił się na operacji afgańskiej. Kluczowa zmiana pozycji NATO była związana zarówno z końcem misji afgańskiej, jak i ukierunkowaniem się Moskwy na politykę agresywną i asertywną. Szczyt w Newport miał być odpowiedzią na ten wielki powrót Rosji na scenę geopolityczną w 2014 roku, kiedy zajęła ona część terytorium Ukrainy. To była wojskowa odpowiedź, powstał plan utworzenia Very High Readiness Joint Task Force, ➔

czyli sił bardzo wysokiej gotowości, określanych jako szpica. Zaczęto mówić o zagrożeniach hybrydowych, zimnej wojnie, broni nuklearnej. Warto zauważyć, że są to sformułowania zimnowojenne, właśnie z okresu świetności NATO. Te tematy powróciły na szczycie w Newport. Kolejne dwa lata pokazały jednak, że była to głównie dyskusja dotycząca przedsięwzięć wojskowo-technicznych, a nie politycznych – tymi zajęła się Unia Europejska i nałożyła na Rosję sankcje. Problemy, na które wskazał szczyt w Newport, czyli wojna hybrydowa, obecność rotacyjna i permanentna – nie są jednak na miarę szczytu. Wojna hybrydowa, owszem, okazała się sprawnym narzędziem prowadzenia wojny asymetrycznej, ale wyłącznie wobec Ukrainy, która na skutek rozkładu struktur państwowych stawiała się państwem upadłym. Działania hybrydowe wobec kraju, w którym sprawnie funkcjonują policja, służby graniczne i służby specjalne, byłyby do odparcia w ciągu kilku dni.

Artur Gruszcak: Działania hybrydowe prowadzi się też przy użyciu legalnych instrumentów demokratycznych, takich jak wpływanie na opinię publiczną, finansowanie pewnych ośrodków badawczych czy grup, które mogą uzyskać sukces wyborczy – na poziomie lokalnym w Estonii czy na poziomie krajowym we Francji.

Piotr Łukasiewicz: No tak, ale to są działania z wachlarza normalnych środków politycznych, którymi są uprawianie wrogiej propagandy czy finansowanie stronników. Wojna propagandowa jest normalnym środkiem walki, a działania hybrydowe kojarzą się z fizyczną obecnością wojska na obcym terytorium.

NATO musi stawić dziś czoło nowym zagrożeniom. Jaką rolę może odegrać w rozwiązaniu kryzysu migracyjnego i przeciwdziałaniu zagrożeniom ze strony tzw. Państwa Islamskiego?

Mariusz Kordowski: Dotychczas NATO unikało zajęcia się zarówno Państwem Islamskim, jak i flanką wschodnią. Ponad 20 lat trwała operacja w Afganistanie, która była bardzo absorbująca. Teraz wydaje się, że sojusz wybrał flankę wschodnią, a sprawy uchodźców pozostawił Unii Europejskiej. NATO nie chce angażować się tam, gdzie nie jest to konieczne. Nierozwiązany pozostaje zatem problem Państwa Islamskiego. Sojusz będzie musiał jakoś się z tym zmierzyć, przyjąć strategię i uwzględnić stanowisko USA, które oprócz interesów na wschodniej flance mają spore obciążenia związane z Azją. W pewnym sensie jest to dialog Ameryki z sojuszem, ale panuje zgoda, że obecne problemy to wschodnia i południowa

flanka, Państwo Islamskie oraz relacje sojuszu z Ameryką, bo dziś nikt nie wyobraża sobie żadnej operacji bez udziału Stanów Zjednoczonych.

Artur Gruszcak: Zagrożeń jest wiele, a poprzez odnośnienie się do nich sojusz buduje swoją tożsamość. Niełatwo jednak wypracować nie tylko wspólną definicję zagrożeń, lecz także wspólną reakcję. Dlatego na spotkaniach na szczycie, aby osiągnąć kompromis, często przyjmuje się najniższy wspólny mianownik, bo stanowiska są rozbieżne, szczególnie w ocenie hierarchii zagrożeń. W sojuszu krystalizuje się pogląd, że nie sposób wypracować jednolitego stanowiska w odpowiedzi na wszystkie zagrożenia, trzeba więc wybrać takie, wobec których NATO ma możliwość skutecznego działania. A przybywa zagrożeń nowego typu, niekonwencjonalnych.

A nasz kontynent odczuwa już skutki destabilizacji Bliskiego Wschodu.

Artur Gruszcak: W Europie widzimy odpryski tego konfliktu – problem uchodźców i ruchy migracyjne oraz brak stabilności na południowej flance. NATO angażuje się w rozwiązanie tych problemów i nie zostawia z nimi Unii Europejskiej samej, m.in. przez ścisłą współpracę z Turcją. Sojusz będzie teraz rozwijać operację „Active Endeavour”, która została uruchomiona na podstawie artykułu 5, co ma być wyraźnym wsparciem działań prowadzonych na morzach Śródziemnym i Egejskim. Pojawiają się jednak pytania: czy uchodźcy są problemem humanitarnym, czy związanym z kwestią bezpieczeństwa? Czy idziemy w kierunku militaryzacji zagrożeń, czy traktujemy problem migracyjny jako typowy dla współczesnego świata? To wielkie wyzwanie, bo wiąże się z niedopuszczeniem do przenoszenia zagrożeń na terytorium państw członkowskich. W dyskusjach przed warszawskim szczytem można było zauważyć położenie nacisku na ochronę obywateli. Sojusz ma być tarczą, która nie tylko będzie odstraszać, lecz także zapobiegać przenikaniu zagrożeń do wnętrza państw oraz aktywnie im przeciwdziałać. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX wieku NATO było organizacją, która miała walczyć także z wrogiem wewnętrznym, przeciwdziałać wywrotowym działaniom sił inspirowanych przez Moskwę. Teraz obserwujemy podobną skłonność, powolne przenoszenie środka ciężkości na bezpieczeństwo każdego z nas – ochronę przed zagrożeniami terrorystycznymi, hybrydowymi, skutkami niekontrolowanych migracji.

Piotr Łukasiewicz: Za zamachy w Europie odpowiada nie Państwo Islamskie, lecz są za nie odpowiedzialne gru-



JAROSŁAW WISNIEWSKI

MARIUSZ KORDOWSKI

Jest dyrektorem Programów Militarnych w Narodowym Centrum Studiów Strategicznych i majorem rezerwy Wojska Polskiego. W trakcie służby wojskowej brał udział m.in. w misjach zagranicznych w Iraku, Czadzie i Republice Środkowoafrykańskiej. Uczestniczył także w misji budowania państwa prawa w Islamskiej Republice Afganistanu. Jest absolwentem Wojskowej Akademii Technicznej i studiów podyplomowych w Akademii Obrony Narodowej.

*Gdyby doszło do konfliktu, jako kraj położony na granicy **NATO** musielibyśmy odpowiedzieć jako pierwsi*

py terrorystyczne stworzone przez obywateli państw zachodnich, których członkowie dokonują ataków pod atrakcyjną dla nich ideologicznie flagą kalifatu. Grupa, która zaatakowała w Paryżu w 2015 roku, trzy lata wcześniej przebywała na terenie Syrii. Trudno mówić o jej bezpośrednim związku z Państwem Islamskim. W 2001 roku Al-Kaida w Afganistanie przygotowała zamachy na Nowy Jork i Waszyngton, czyli przeszkoliła i sfinansowała grupę terrorystów, którzy je przeprowadzili. Państwo Islamskie tak nie postępuje. Inaczej walczy się z grupą terrorystyczną zawiązaną przez obywateli kraju europejskiego, a inaczej z kalifatem, czyli tworem parapaństwowym. W Afganistanie również nie zrobiono takiego rozróżnienia. Przyjęto, że Al-Kaida, którą skojarzono z talibami, odpowiada za zamachy z 11 września 2001 roku i Ameryka chciała się zemścić na całym państwie. Choć mogę udowodnić tezę, że wówczas istniały możliwości zawarcia porozumienia z talibami, o czym oni dziś mówią. Kierując ostrze interwencji koalicji międzynarodowej przeciwko Afganistanowi i talibom, spowodowaliśmy daleko idące konsekwencje i dla NATO, i dla sytuacji w tym kraju. Pozytywnie co prawda oceniam niektóre efekty tej interwencji, mimo że liczba zabitych cywilów nie napawa optymizmem, a stan wspieranego przez nas państwa afgańskiego daleki jest od jakichkolwiek standardów rządów prawa.

Czy NATO podejmie podobną operację w Syrii i Iraku przeciwko tzw. Państwu Islamskiemu?

Piotr Łukasiewicz: Państwo Islamskie może być uznane za przeciwnika niektórych krajów NATO, ale czy mamy z nim walczyć, dokonując inwazji lądowej na tereny, które ono zajęło? Czy nie lepiej wykorzystać do tego policję i służby specjalne? Pojawi się problem, gdy sojusz zechce ponownie przedłużyć swoje bóle fantomowe, znajdując obiekt kolejnej dużej operacji wojskowej w Państwie Islamskim, i dążąc do zmiany systemu politycznego na tych ziemiach, mimo że nie ma pomysłu, co zrobić dalej. Czy likwidacja przywództwa kalifatu i czasowe zniszczenie jego struktur rzeczywiście rozwiąże problem, który leży u podstaw jego powstania? Mówię tu o rozpalającej się szyicko-sunnickiej rywalizacji w regionie.

Artur Gruszcak: Proszę pamiętać, że Państwo Islamskie rozwija się na terenach blisko granic zewnętrznych NATO. Wyobraźmy sobie, że konflikt na Ukrainie rozszerza się tak, że sięga okolic Przemysła.

Piotr Łukasiewicz: Protestuję przeciw takiemu przykładowi, bo Polska jest sprawna policyjnie i wojskowo tak, by chronić swe granice i zapobiec inwazji „zielonych lu- ➔

dzików” na Przemyśl. Sądę też, że poradzi sobie z napływem możliwej fali uchodźców – czy to ze Wschodu, czy z innych kierunków, jeśli sytuacja na Ukrainie się zagłębli. Podobnie Turcja poradzi sobie z tymi islamistami, którzy spróbują przenieść wojnę na jej terytorium. Oczywiście zdarzają się zamachy, ale nie można porównywać ataków terrorystycznych do otwartego konfliktu

Mariusz Kordowski: Nie zgadzam się. Państwo Islamskie jest odpowiedzialne za zamachy w Europie, choć może nie jest to odpowiedzialność bezpośrednia. Pojawienie się IS i ideologii wojny z całym światem pozaislamskim spowodowało, że grupy szaleńców przeprowadzają ataki terrorystyczne na Zachodzie.

Piotr Łukasiewicz: Sekty apokaliptyczne, zapowiadające bliskie ostateczne starcie dobra ze złem, istnieją od tysięcy lat w łonie cywilizacji zachodniej...

Mariusz Kordowski: Pozostaję przy zdaniu, że po pojawieniu się Państwa Islamskiego nasiliły się akty terrorku oraz wzrosła aktywność grup ekstremistycznych. Jest to wyznacznik, który może zmusić Zachód do przeprowadzenia lądowej operacji militarnej przeciwko Państwu Islamskiemu, na którą, jak dotąd, nikt nie chce się zgodzić. Ostatnia taka operacja przeprowadzona przez Amerykanów w Iraku była kosztowna politycznie i finansowo. Moim zdaniem, same bombardowania w tym wypadku jednak nie wystarczą.

Piotr Łukasiewicz: Absolutnie odradzałbym jakąkolwiek operację lądową, bo za nią musi iść jakaś koncepcja polityczna, a z tym jest problem. W wypadku takich twórow jak Państwo Islamskie trzeba stosować inteligentne powstrzymywanie, a walkę z rodzimymi terrorkami należy prowadzić w Europie, środkami policyjno-technicznymi, jakimi dysponują służby specjalne. Wyciągamy wnioski z operacji w Afganistanie i Iraku, gdzie nie osiągnęliśmy zbyt wiele wojskowo, ale ponieśliśmy duże straty polityczne.

Przejdźmy do ewentualnych ustaleń na szczycie w Warszawie.

Piotr Łukasiewicz: Mam nadzieję, że dyskusja na warszawskim szczycie NATO będzie miała charakter polityczny, a w mniejszym stopniu będzie dotyczyła zagadnień militarnych, bo wojskowo sojusz jest sprawny. Liczę, że konferencja w Warszawie stanie się okazją do zniwelowania różnic zdań. Pokaże, iż sojusz odzyskuje dawną sprężystość i znowu jest wielkim paktem wojskowym,

Z politycznego i strategicznego punktu widzenia korzystne byłoby przystąpienie do sojuszu Szwecji i Finlandii. W Warszawie warto odnowić takie inicjatywy jak „Dialog śródziemnomorski” czy program współpracy z państwami Zatoki Perskiej

zjednoczonym politycznie wobec wyzwań międzynarodowych. Mam nadzieję, że zostanie odnowiona dyskusja o dalszym rozszerzaniu NATO, ale nie o Gruzję, a tym bardziej Ukrainę, bo na to nie ma na razie dużych szans. Bardziej realnymi kandydatami są państwa skandynawskie, Szwecja i Finlandia. Z politycznego i strategicznego punktu widzenia ich przystąpienie do sojuszu byłoby korzystne dla naszego regionu. W Warszawie warto odnowić takie inicjatywy jak „Dialog śródziemnomorski” czy program współpracy z państwami Zatoki Perskiej.

Artur Gruszczak: Myślę, że mimo rozwijania współpracy z Gruzją i Ukrainą, państwami śródziemnomorskimi czy Izraelem, nie dojdzie w najbliższych latach do ich formalnego przyjęcia. Choć ministrowie Finlandii i Szwecji wzięli udział w niedawnym posiedzeniu Rady Północnoatlantyckiej, to nadal przystąpienie tych państw do NATO nie jest przesądzone. Drzwi do sojuszu pozostaną lekko uchylone. Sądę, że zostaną podjęte decyzje o pogłębianiu współpracy z państwami partnerskimi, których jest już kilkadziesiąt. Oczywiście będzie to dotyczyć tych spełniających standardy natowskie.

Mariusz Kordowski: Co do Państwa Islamskiego, to w Warszawie nie będzie decyzji o operacji militarnej. Pojawiają się natomiast kwestie dotyczące poszerzenia współpracy między NATO a Unią Europejską.



JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

PIOTR ŁUKASIEWICZ

Jest dyplomatą i pułkownikiem rezerwy Wojska Polskiego. W 2012 roku został ambasadorem Polski w Afganistanie. Wcześniej pełnił funkcję attaché wojskowego w tym kraju oraz w sąsiednim Pakistanie. Po powrocie do kraju, w październiku 2009 roku został powołany na stanowisko pełnomocnika ministra obrony narodowej ds. Afganistanu. Jest absolwentem Wojskowej Akademii Technicznej i studiów podyplomowych w Akademii Obrony Narodowej.

A sprawa wschodniej flanki?

Artur Gruszcak: Ze względu na miejsce i oczekiwania gospodarza myślę, że na szczycie w Warszawie zostanie podjęty temat stałej wysuniętej obecności militarnej NATO na wschodzie. Sądzę, że pojawi się deklaracja, że jest to niezmienny element polityki bezpieczeństwa sojuszu w najbliższej przyszłości. Odstraszenie jest stałym elementem doktrynalnym NATO. Obrona przez odstraszenie znajdzie odzwierciedlenie w konkretnych decyzjach. Sojusz będzie musiał odpowiedzieć na rozbudowę rosyjskiego potencjału militarnego, zwłaszcza w rejonie Kaliningradu, gdzie są rozmieszczane systemy broni mające utrudnić sojuszowi dostęp do niektórych obszarów traktatowych.

Piotr Łukasiewicz: Jestem zwolennikiem tezy, że w polityce nie ma wariatów, a liderzy wrogich bloków doko-

nują wyborów na podstawie racjonalnych, z ich punktu widzenia, przesłanek. Dlatego nie wierzę, że Władimir Putin wywoła wojnę, by utrzymać władzę. Uważam również, że Rosja nie jest w stanie przeprowadzić operacji militarnej przeciwko terytorium NATO, która wymagałaby podjęcia decyzji na mocy artykułu 5 w ciągu jednego dnia. Bronią Putina jest mieszanka polityczno-wojskowych prowokacji i podminowania spójności politycznej Unii i NATO, a nie otwarta agresja. Opinię o działaniach Rosji należy poddawać racjonalizacji, a nie posługiwać się kalkami z trudnej polskiej przeszłości.

Mariusz Kordowski: Nie zgadzam się z opinią, że Rosja nie zaatakuje krajów NATO dlatego, że jest biedna. Wręcz przeciwnie, ten fakt może pchnąć ją do agresji. Rosja pod rządami Putina, dotknięta sankcjami, może uznać, że nie ma innego wyjścia niż zaskakująca akcja militarna. A jeśli sojusz nie zareaguje na atak na jednego ze swych członków, będzie to oznaczało jego koniec. Rosyjscy decydenci mogą kalkulować, że ograniczona operacja militarna da im ogromne korzyści polityczne. Dlatego Polska prowadzi aktywną politykę dyplomatyczną w kierunku zapewnienia stałej obecności wojsk NATO. Oczekuję, że podczas szczytu zapadną decyzje dalej idące niż dotychczasowe ustalenia. Jeżeli NATO ograniczy się do symbolicznej obecności, to Moskwa może założyć, że śmierć kilkudziesięciu żołnierzy nie spowoduje otwarcia konfliktu z innymi krajami. Na wschodzie muszą być siły, które będą w stanie zaważyć na przebiegu konfliktu, jeśli on wybuchnie.

Artur Gruszcak: Zasadniczo zgadzam się z Panem, gdy chodzi o Rosję. Problem polega na tym, że przez długie lata Moskwa była traktowana jako wiarygodny partner. Po agresji na Gruzję nie uznawano jej już za państwo partnerskie, ale nadal była przewidywalna. Teraz zaczyna dominować pogląd, że po ataku na Ukrainę straciła swoją obliczalność.

Piotr Łukasiewicz: Gdy chodzi o politykę Rosji, to jej agresywność w znacznym stopniu została powstrzymana dzięki asertywnej polityce Niemiec i Wielkiej Brytanii wspartej przez Stany Zjednoczone. Trudno jednak nie dostrzec, że Polskę pominięto w tej europejskiej reakcji. Dlaczego tak się stało? Czy może dlatego, że nasze, niezależnie od aktualnego rządu, postrzeganie problemu jest nieco histeryczne i skupia się na rozwiązaniach wojskowych? Kolejnym problemem, który lubimy rozważać, jest dyskusja, czy NATO powinno zerwać umowę z Rosją o współpracy zawartą w 1997 roku. Byłaby to wyłącznie pożywka dla moskiewskiej propagandy →

Federacja Rosyjska uznaje NATO za swego największego wroga i stale testuje jego zdolności reagowania, czego przejawem są liczne incydenty. Dlatego trudno jej zgodzić się na jakieś ustępstwa

dy. Osobiście mam nadzieję, że Rosja nie będzie całkowicie izolowana i dociskana do muru. Nie należy karmić zwierza, ale nie można go też dobijać. Proszę pamiętać, że zawsze zmartwieniem światowych przywódców – tak było w przypadku ZSRR i obecnie odnosi się do Rosji – jest to, kto przyjdzie po aktualnym sekretarzu lub prezydencie, a nie aktualna władza w tym kraju. Nie widzę Moskwy ani jako członka, ani odpowiedzialnego sprzymierzeńca NATO, ale uważam, że może być trudnym partnerem, choć nigdy jeszcze relacje z Rosją nie były gorsze niż teraz.

Artur Gruszcak: Dialog NATO z Rosją jest potrzebny. Jego celem jest wciągnięcie Moskwy do konsultacji, chociaż nie mam złudzeń, że cokolwiek one przyniosą. Chodzi jednak o utrzymanie pewnych formalnych więzi. Ale dla Rosji jest to kłopotliwe, bo uznaje ona sojusz za swego największego wroga i stale testuje jego zdolności reagowania, czego przejawem są liczne incydenty. Dlatego trudno jej zgodzić się na jakieś ustępstwa.

Mariusz Kordowski: Choć nie bardzo widzę sens takiego dialogu, to jest on przez Polskę pożądanym. Wcale nie chcemy stosowania sankcji wobec Rosji i opowiemy się za ich zniesieniem, jeśli zmieni się sytuacja na Ukrainie.

Wspomnieli Panowie o rosyjskiej propagandzie. Jaka będzie reakcja władz w Moskwie na wyniki szczytu w Warszawie?

Piotr Łukasiewicz: Problem z Rosją polega na tym, że jej polityka zagraniczna stała się zakładnikiem polityki wewnętrznej. Nędza, w jakiej żyje wielu Rosjan, spowodowana przez skorumpowane rządy oligarchów skupionych wokół prezydenta Władimira Putina, jest wyjaśniana działaniami wrogów zewnętrznych. Rosja jest w takiej sytuacji ekonomicznej, że nie pomoże jej nawet wielki światowy transfer miliardów dolarów na ratowanie gospodarki. Trzeba się liczyć z tym, że może dojść do kolejnych incydentów w regionie. Można również się spodziewać prowokacji politycznej. Rosja jest silną słabością swego przeciwnika. Jeśli nasza reakcja będzie nadmierna i źle obliczymy realną siłę tego państwa, to ono na tym wygra.

Artur Gruszcak: Zgadza się, że NATO jest traktowane w polityce rosyjskiej instrumentalnie. Narracja dotycząca sojuszu jest skierowana do wewnątrz, do

mieszkańców Federacji Rosyjskiej. Wskazywanie wroga stało się formą kanalizowania rosnącego niezadowolenia społecznego, spowodowanego trudną sytuacją gospodarczą, i dramatycznie spadającego poparcia dla obecnego systemu władzy. Podejście Moskwy do NATO nie zmienia się,

niezależnie od tego, jakie ustalenia zapadną w Warszawie. Zgadza się, że mogą się zdarzać prowokacje i ataki cybernetyczne.

Mariusz Kordowski: Jesteśmy zgodni, że Rosja negatywnie zareaguje na każdą decyzję sojuszu dotyczącą wzmocnienia wschodniej flanki. Pytanie brzmi, gdzie przebiega granica, którą Rosja jest w stanie zaakceptować, by nie doszło do otwartego konfliktu. Polska chce baz nie dlatego, że boimy się, iż Rosja nas zaatakuje, ale z tego powodu, że jako pierwsi będziemy musieli przyjść z pomocą innym krajom. Nasze siły zbrojne nie są w stanie przeprowadzić tak dużej operacji militarnej. Poza tym nie chcemy się znaleźć w sytuacji osamotnienia, w której Rosja rozegra konflikt tylko z udziałem Polski.

Czy nie powinien zostać usprawniony system podejmowania decyzji politycznych przez państwa członkowskie sojuszu?

Piotr Łukasiewicz: W rodzinie krajów demokratycznych pod parasolem artykułu 5 traktatu waszyngtońskiego, który daje możliwość podjęcia narodowej decyzji w tak ważnej sprawie, jak konflikt zbrojny, trudno o automatyzm. Przed kilkoma miesiącami miałem okazję obserwować funkcjonowanie systemu decyzyjnego NATO po zestrzeleniu rosyjskiego samolotu przez Turcję. Byłem pod wrażeniem sprawności działania w Brukseli. Wszyscy ambasadorowie szybko przyszli na posiedzenie Rady Północnoatlantyckiej z gotowymi stanowiskami władz państwowych. Oczywiście zawsze można jeszcze coś poprawić, ale obecne rozwiązania nie są złe.

Artur Gruszcak: Podzielam opinię, że NATO jest wspólnotą suwerennych państw, które mają własną politykę bezpieczeństwa. Także Unia Europejska pozostawia tę kwestię w gestii narodowej. Jednak zasada muszkieterów obowiązuje i, co pocieszające, gdy pojawiają się sprawy naprawdę egzystencjalne dla sojuszu, to system decyzyjny zadziała sprawnie. ■



Wojskowa
Akademia
Techniczna

Wydział
Mechaniczny



XIV Konferencja Naukowo-Techniczna

TKI>2016

TECHNIKI KOMPUTEROWE W INŻYNIERII

CELE KONFERENCJI

- › rozwój technik numerycznych w inżynierii
- › rozwój technik eksperymentalnych w inżynierii
- › transfer wiedzy naukowej i technicznej między ośrodkami naukowymi oraz między ośrodkami naukowymi a przedsiębiorstwami
- › forum wymiany doświadczeń użytkowników systemów CAD/CAM/CAE

TEMATYKA KONFERENCJI

- › techniki komputerowe w analizie, projektowaniu i wytwarzaniu materiałów, konstrukcji, procesów i systemów
- › metody weryfikacyjne i walidacyjne w symulacjach numerycznych
- › metody modelowania i optymalizacji
- › techniki eksperymentalne badań materiałów i konstrukcji
- › badania odporności udarowej konstrukcji
- › numeryczne obrazowanie w projektowaniu, wytwarzaniu i ocenie technicznej obiektów
- › projektowanie i badania innowacyjnych materiałów, konstrukcji, procesów i systemów
- › techniki komputerowe w bioinżynierii
- › modelowanie zagadnienia sprzężenia
- › modelowanie konstytutywne
- › metody komputerowe w mechanice płynów

Konferencja odbędzie się w dniach 18–21 października 2016 r.
w Hotelu **Kuźnia Napoleńska** w Teresinie k. Sochaczewa.

Szczegółowe informacje znajdują się na stronie internetowej www.tki.wat.edu.pl/2016



WAT

Katedra Mechaniki i Informatyki Stosowanej
Instytut Pojazdów Mechanicznych i Transportu

Kontakt
tel.: +48 261 837 830
e-mail: tki@wat.edu.pl

Checkpoint Charlie. Jedno z najbardziej znanych przejść granicznych. Rok 1961.

ROBERT CZULDA

Sojusz na lata

Gdy w 1949 roku podpisywano w Waszyngtonie traktat założycielski, chyba nikt sobie nie wyobrażał, że NATO nie tylko przetrwa tak długo, lecz też przyjmie w swe szeregi dawnych wrogów.

W OKRESIE ZIMNEJ WOJNY NATO PRZE- KSZTAŁCIŁO SIĘ Z SOJUSZU KONWENCJO- NALNEGO W JĄDROWO- -KONWENCJO- NALNY

Atmosfera drugiej połowy lat czterdziestych XX wieku do pewnego stopnia była podobna do obecnej. Świat transatlantycki obawiał się narastającego zagrożenia ze strony nieprzewidywalnej Moskwy, która przejawiała tendencje ekspansjonistyczne, podczas gdy Europa Zachodnia pozostawała w nieładzie i niepewności. Na południu Grecja zmagala się z wojną domową, a na północy Wielka Brytania coraz śmielej odrzucała europejskie koncepcje integracji politycznej i gospodarczej. Stany Zjednoczone, chociaż obecne militarnie na Starym Kontynencie, zastanawiały się, czy powrót do pewnej formy izolacjonizmu nie jest najlepszym rozwiązaniem. Jednocześnie państwa zachodnioeuropejskie liczyły na to, że to Waszyngton weźmie na siebie ciężar obrony przed zagrożeniem ze strony Związku Sowieckiego i rozmieści na wschodniej flance, wówczas przebiegającej na Renie, znaczne siły wojskowe. Bez nich, jak stwierdził wówczas francuski premier Henri Queuille, jakakolwiek późniejsza próba odzieszy byłaby co najwyżej „wyzwalaniem trupa”.

Niekorzystny rozwój sytuacji międzynarodowej, przede wszystkim kryzys spowodowany blokadą Berlina Zachodniego, trwającą od czerwca 1948 do maja 1949 roku, a także zakończenie kampanii wyborczej w Stanach Zjednoczonych, wpłynął pozytywnie na żmudny proces negocjacji w sprawie powołania wspólnoty transatlantycznej. Amerykanie byli skorzy do porozumienia, a przynajmniej nie musieli już przedłużać rozmów, tak jak jeszcze kilka miesięcy wcześniej. Mimo to delegacja amerykańska nie zamierzała się godzić na zbyt wiele. Osiągnięcia porozumienia nie ułatwiała delegacja francuska, która z ambiciońskich powodów starała się narzucać jej swoje warunki.

Rozmowy toczyły się mimo sprzeciwu Sowietów, którzy ostrzegali, że powoływany sojusz euroatlantycki stanowi „instrument do realizowania imperialistycznych celów sił Anglosasów”. Według Moskwy traktat waszyngtoński był wymierzony w cały blok wschodni, a także pozostawał w sprzeczności z „Kartą Narodów Zjednoczonych”

oraz umowami dwustronnymi. Negocjacje jednak kontynuowano. Ostatecznie projekt końcowy dokumentu, podpisanego 4 kwietnia 1949 roku, stanowił wyraźny kompromis między oczekiwaniami Europejczyków a stanowiskiem sceptycznego Kongresu, który, chcąc zachować swoje kompetencje, nie

zgodziłby się ratyfikować traktatu automatycznie angażującego militarnie Stany Zjednoczone w konflikt zbrojny.

WYKUWANIE CELÓW

Powołanie NATO w 1949 roku pozwoliło przez cały okres zimnej wojny skutecznie realizować trzy cele strategiczne – utrzymać Amerykanów w Europie, uniknąć zagrożenia ze strony Niemiec, a także zatrzymać Związek Sowiecki na wschód od Renu. W ciągu zaledwie roku NATO stało się faktycznie organizacją międzynarodową. Był to efekt wybuchu wojny na Półwyspie Koreańskim w czerwcu 1950 roku, która przez państwa sojuszu została odebrana jako preludium do sowieckiej agresji na Europę Zachodnią.

W 1951 roku utworzono stanowisko głównodowodzącego siłami NATO, którym został amerykański bohater wojenny gen. Dwight D. Eisenhower. Nieco później powstało stanowisko sekretarza generalnego, a także rozpoczęto proces instytucjonalizacji, a więc przekształcania umowy międzypaństwowej w efektywną organizację, mającą własne instytucje i organy. Zasada, że głównodowodzący siłami NATO jest Amerykaninem, a jego zastępca, podobnie jak sekretarz generalny sojuszu, Europejczykiem, jest utrzymywana do dziś.

Proces formowania podstawowych granic obszaru traktatowego zakończył się w 1955 roku wraz z przyjęciem do NATO Niemiec Zachodnich z powstającą wówczas Bundeswehrą. W tym samym roku Związek Sowiecki, Albania, Bułgaria, Czechosłowacja, Niemcy Wschodnie, Węgry, Rumunia i Polska wzmocniły żelazną kurtynę, powołując Układ Warszawski. W długim okresie konsekwencje tego posunięcia były pozytywne, bo pozwoliły złagodzić zimnowojenne napięcie przez wyznaczenie



linii wpływów Zachodu i Wschodu. NATO było już wtedy dojrzałym sojuszem polityczno-militarnym, nastawionym na solidarną obronę swoich członków, bez aspiracji do ekspansji i planów interwencji w sowieckiej strefie wpływów. Biernie przyglądano się m.in. pacyfikacji Węgier w 1956 roku i Czechosłowacji w 1968 roku.

To właśnie w okresie zimnej wojny NATO przekształciło się z sojuszu konwencjonalnego w jądrowo-konwencjonalny. Już w latach pięćdziesiątych na Starym Kontynencie pojawiły się pierwsze egzemplarze amerykańskiej broni nuklearnej. W latach sześćdziesiątych zaś powstały zasady, które obowiązują do tej pory: dzielenia odpowiedzialności politycznej i ryzyka oraz wpływania na kształtowanie polityki nuklearnej i wykorzystanie wyznaczonych do operacji w ramach NATO sił jądrowych Stanów Zjednoczonych. Na mocy porozumienia część państw członkowskich wydzieliła ze swoich sił zbrojnych środki przenoszenia (samoloty), a inne przyjęły na swoje terytorium amerykańskie bomby nuklearne. Trafiły one m.in. do: Kanady, Turcji, Grecji, a także państw, które magazynują je do dziś – Włoch, Holandii, Belgii i RFN-u. Wprowadzenie zasady współdzielenia miało także istotny wymiar polityczny – pozwoliło zneutralizować ambicje takich państw, jak RFN czy Włochy wejścia w posiadanie broni niekonwencjonalnej.

SZUKANIE TOŻSAMOŚCI

Koniec zimnej wojny i upadek Związku Sowieckiego oznaczały zwycięstwo NATO i bloku zachodniego, ale pojawiło się pytanie o sens dalszego istnienia sojuszu

w sytuacji, w której główny jego powód znikł. W tym okresie rozważano różne scenariusze – od rozwiązania NATO, przez gruntowną reformę, po włączenie Rosji do struktur organizacji. Sojusz szybko jednak odnalazł nowy cel. Jako pierwszy konieczność wyjścia poza jego granice postulował Niemiec Manfred Wörner, sekretarz generalny NATO w latach 1988–1994. Według niego sojusz powinien wybrać politykę zwiększania strefy stabilności w Europie Wschodniej. Przyjęcie nowej filozofii postulował również amerykański polityk Richard Lugar. Jak sam przyznał, „NATO musi albo wyjść poza dotychczasowy obszar albo wypadnie z geopolitycznej gry”.

W latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku testem sprawności w nowej sytuacji międzynarodowej był kryzys bałkański. Rozpad federalnej Jugosławii wymusił określone działania. Początkowo państwa europejskie – głównie Francja i Wielka Brytania – sprzeciwiały się planom uderzenia NATO na pozycje Serbów bośniackich. Zwiększało to bowiem ryzyko dla stacjonujących tam „błękitnych hełmów”, ale co więcej, tworzyło niebezpieczny precedens – NATO pierwszy raz w historii miałoby podjąć działania zbrojne w kraju trzecim, niebędącym członkiem NATO i niedokonującym agresji na państwo będące częścią sojuszu. W 1995 roku jednak granica została przekroczona – użyto sił powietrznych, a następnie rozmieszczono wojska lądowe. Pierwszy raz w historii NATO wyszło poza artykuł 5 traktatu waszyngtońskiego.

Stworzono też nową kategorię operacji zbrojnych sojuszu – pozatraktatowych misji na całym świecie. Przekroczenie tej bariery psychologicznej sprawiło, że NATO łatwiej podjęło decyzję o agresji na Serbię w 1999 roku. Wymierzona w Serbów operacja „Allied Force” potwierdziła jego ambicje w pozimnowojennym świecie. Dwie względnie udane operacje poza granicami sojuszu sprawiły, że zaczął on postrzegać siebie już nie jako organizację zdolną do kolektywnej obrony, lecz istotnego gracza międzynarodowego, mającego prawo – a nawet obowiązek – interweniować niezależnie od geograficznych warunków.



1949

powołanie
NATO
w Waszyngtonie

Stany
Zjednoczone,
Wielka Brytania,
Francja, Belgia, Holandia,
Luksemburg, Kanada,
Dania, Islandia,
Norwegia, Portugalia,
Włochy

1952
Grecja,
Turcja

1954
proponcja Związku
Sowieckiego
przyłączenia się
do NATO

1955
RFN

1962
decyzja USA
o udostępnieniu NATO
części arsenałów
jądrowych

1966
wycofanie
sił francuskich
z NATO

Gdy w 2001 roku Stany Zjednoczone zaczęły przygotowywać się do wojny w Afganistanie, po atakach na Nowy Jork i Waszyngton, po których pierwszy raz odwołano się do artykułu 5 traktatu waszyngtońskiego, czymś naturalnym były dyskusje na temat ewentualnego udziału w operacji sił NATO. Nikt nie podnosił wtedy argumentu, że jest to wyjście poza granice sojuszu – problem ten został usunięty właśnie w wyniku wojny na Bałkanach. Operacje pozatraktatowe przestały być precedensem. NATO wzięło na siebie ciężar misji w Afganistanie, a także zaangażowało się w działania szkoleniowe w Iraku, antypirackie w Rogu Afryki i obaliło Muammara Kaddafiego w Libii.

CO DALEJ?

Obecnie NATO, liczące już 28 członków, nadal opiera się głównie na USA, których

wkład w budżet organizacji wzrósł z około 50% w czasach zimnej wojny do około 75% obecnie. Różnica potencjałów była wyraźna podczas wojny w Kosowie w 1999 roku oraz kilka lat później w Afganistanie. Ówczesny sekretarz obrony Robert Gates przestrzegał kilka lat temu, że NATO może stać się „sojuszem dwóch prędkości”, w którym tylko pewne państwa są gotowe walczyć. Od tego czasu sytuacja się nie poprawiła. Za sprawą wojny w Afganistanie sojusz utracił część wiarygodności. Jednocześnie musiał przystosować się raz jeszcze do rzeczywistości – ewolucja bezpieczeństwa międzynarodowego wymaga zmagania z nowymi zagrożeniami, takimi jak broń masowego rażenia, międzynarodowy terroryzm, tłące się konflikty, zagrożenia teleinformatyczne, konflikty hybrydowe, wojny propagandowe, a także niekontrolowane migracje i rywalizacja o surowce energetyczne. Aż do agresji Rosji na Ukrainę często padało pytanie o przystawalność artykułu 5 traktatu waszyngtońskiego do współczesności. Mówiło się nawet, że zapis ten, traktujący o solidarnej obronie w razie agresji na któreś z państw członkowskich, powinien zostać zmodyfikowany tak, aby odnosił się także chociażby do ataku teleinformatycznego.

Rozszerzenie NATO

Daty przełomowe



PK/DZIAŁ GRAFICZNY,
MICHAŁ WAJNCHOLD, FOTOLIA

W wyniku uderzenia Rosji na Ukrainę i jej agresywnej polityki wobec Europy, NATO jest zmuszone powrócić do swojego zadania podstawowego, a więc ochrony obszaru traktatowego. Ten jednak wyraźnie się powiększył od czasu zakończenia zimnej wojny, podczas gdy dostępne siły i środki zostały istotnie ograniczone po 1991 roku. Jednocześnie, o ile w czasie zimnej wojny NATO zgodne było co do źródła zagrożenia, o tyle obecnie istnieją podziały. Europa Środkowo-Wschodnia zwraca uwagę na Rosję, tymczasem państwa południowe, takie jak Hiszpania, Francja, Włochy i Grecja, bardziej interesuje sytuacja w Afryce Północnej i na Bliskim Wschodzie. Istniejąca dychotomia interesów i percepcji może negatywnie wpływać na wartość sojuszu w nadchodzących latach.

Podczas szczytu w Newport w 2014 roku NATO przyjęło wiele decyzji mających uspokoić zagrożone państwa Europy Środkowo-Wschodniej stojące w obliczu rosyjskiej ekspansji. Szczyt w Warszawie ma zaś określić kształt i kierunek odbudowy utraconego po 1991 roku potencjału odstraszania i zdolności obronnych, co będzie wymagało długofalowego, strategicznego działania. W tym sensie szczyt w Warszawie może być najważniejszy, jaki NATO organizowało od czasu upadku muru berlińskiego. ■

ROBERT SENDEK

Jedną nogą w NATO

Dziesięć lat niepodległości to nie był łatwy czas dla Czarnogóry, ale konsekwentnie prowadzona polityka zagraniczna rządu przynosi pierwsze efekty. Ten bałkański kraj staje się pełnoprawnym członkiem Organizacji Traktatu Północnoatlantyckiego.

Ministrowie spraw zagranicznych krajów członkowskich NATO podpisali 19 maja 2016 roku protokół dotyczący przystąpienia Czarnogóry do organizacji. Zanim jednak państwo to stanie się pełnoprawnym członkiem, protokół musi zostać ratyfikowany przez wszystkie kraje należące do sojuszu, co może zająć około roku. W każdym razie tak długo trwał ten etap, gdy przyjmowano Chorwację i Albanie. Do tego czasu Czarnogóra ma prawo uczestniczyć w natowskich spotkaniach (także w lipcowym szczycie w Warszawie), mając status obserwatora. To niewątpliwie sukces, ale stoją przed nią niemałe wyzwania – m.in. reformy związane z walką z korupcją oraz wzmocnieniem państwa prawa.

DROGA DO SOJUSZU

Natowski dokument został podpisany tuż przed wyznaczonymi na 21 maja obchodami okrągłej rocznicy referendum, które przyniosło Czarnogórze niepodległość. Przed dziesięciu laty ponad połowa głosujących opowiedziała się za samodzielnym państwem. Dwa tygodnie po referendum, 3 czerwca 2006 roku parlament czarnogórski proklamował niepodległość kraju. Akt ten oznaczał polityczny rozwód z sąsiednią Serbią, z którą Czarnogórę łączyły liczne więzy historyczne, kulturowe, etniczne, a nawet językowe.

Jednym z powodów zerwania z Serbią mogły być czarnogórskie aspiracje, gdyż początkowo Belgrad dystansował się od Unii Europejskiej, a o przystąpieniu Serbii do



NATO nikt głośno nie mówi do dzisiaj. Wynika to po części z doświadczeń historycznych – Serbowie pamiętają o natowskich bombardowaniach w 1999 roku. Jest to także efekt niełatwej sytuacji społeczno-politycznej oraz trudności z rozliczeniem własnej historii – współpraca byłej Jugosławii z Międzynarodowym Trybunałem Karnym przebiegała bardzo opornie. Czarnogórcy politycy doszli do wniosku, że łatwiej wprowadzą swój kraj do struktur natowskich i europejskich, jeśli będą to robić bez Serbii.

Pierwsze kroki w tym kierunku podjęto wkrótce po ogłoszeniu niepodległości. W listopadzie 2006 roku Czarnogóra przystąpiła do programu „Partnerstwo dla pokoju” (wcześniej, od 2003 roku, uczestniczyła w nim jako część wspólnoty państwowej Serbii i Czarnogóry). Wkrótce potem zostało uruchomione stałe przedstawicielstwo przy kwatrze NATO w Brukseli. W przyjętej w 2008 roku przez czarnogórską skupsztinę (parlament) strategii obronnej jasno sformułowano cele stojące przed młodym państwem, przede wszystkim w kontekście integracji europejskiej i euroatlantyckiej. W ciągu minionego dziesięciolecia w armii czarnogórskiej przeprowadzono wiele reform: opracowano nową doktrynę obronną, wprowadzono prawo pozwalające na stacjonowanie w kraju obcych sił wojskowych oraz uczestnictwo jednostek własnych w misjach pokojowych za granicą. Dokonano również profesjonalizacji armii, zmniejszono jej liczebność, przeprowadzono zmiany strukturalne i organizacyjne.



WŚRÓD CZARNOGÓRCÓW 47% POPIERA INTEGRACJĘ Z NATO, 39% JEST PRZECIW, A POZOSTALI SĄ NIEZDECYDOWANI

DUSKO MILJANIC/NATO

Czarnogórcy żołnierze brali i biorą udział w misjach zagranicznych, przede wszystkim w Afganistanie, ale także w Liberii oraz na wodach wokół Somalii (w ramach operacji „Atalanta”). Oficerowie indywidualnie uczestniczą także w misjach szkoleniowych w Mali i Republice Środkowoafrykańskiej. Mówi się obecnie, że rząd pracuje nad nową ustawą, która zobliguje żołnierzy do uczestnictwa w zagranicznych misjach natowskich, bo dotychczas wyjeżdżali jedynie ochotnicy.

NA CELOWNIKU MOSKWY

Jawnie negatywne stanowisko wobec czarnogórskich dążeń zajęła Rosja. Tamtejsi politycy ostrzegali, że ewentualną akcesję republiki do sojuszu północnoatlantyckiego



Ministrowie spraw zagranicznych państw członkowskich NATO podpisali 19 maja 2016 roku protokół o przystąpieniu Czarnogóry do Organizacji Traktatu Północnoatlantyckiego. Na zdjęciu: premier Czarnogóry Milo Đukanović i sekretarz generalny NATO, Jens Stoltenberg

będą uważać za krok nieprzyjazny. Mówili o zagrożeniu trwającej setki lat przyjaźni między dwoma słowiańskimi i prawosławnymi narodami. Michaił Diegtiariow, jeden z deputowanych do rosyjskiej Dumy z partii Władimira Żyrinowskiego, powiedział nawet, że jeśli Czarnogóra wstąpi do NATO, to stanie się celem rosyjskich rakiet.

Choć rządowi czarnogórcy zależy na dobrych stosunkach z Moskwą, to nie przejął się jej ostrzeżeniami i pogroźkami. Więcej nawet, wykorzystuje je w wewnętrznych rozgrywkach politycznych, oskarżając opozycję o to, że ulega rosyjskim wpływom. Euroatlantyckiego kursu premiera Milo Đukanovicia nie podziela duża część mieszkańców tego kraju oraz partie opozycyjne. Gdy więc 17 września 2015 roku w sejmie przegłosowano rezolucję dotyczącą przystąpienia republiki do NATO, ostro zareagowała opozycja. Front Demokratyczny wyprowadził przeciwników integracji na ulicę. Impulsem, który wywołał demonstracje, była rezolucja, ale protestowano także przeciwko korupcji oraz autorytarnemu stylowi rządów.

Warto tu przypomnieć, że premier Milo Đukanović jest u władzy już dwie i pół dekady. Od początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku czterokrotnie był premierem, zdążył też być prezydentem. Pod jego adresem kierowano także oskarżenia kryminalne, mówiło się o tym, że dorobił się majątku na tolerowaniu przemytu, a nawet, że sam czynnie brał w nim udział.

Uczestnicy protestów domagali się ustąpienia Đukanovicia, powołania rządu przejściowego, który zorganizuje, jak to sformułowano, uczciwe wybory, te zaś doprowadzą do wyłonienia nowej elity politycznej. Do ambasadorów państw członkowskich NATO wysłali także list, w którym napisali, że przystąpienie Czarnogóry do sojuszu nie może się odbywać wbrew woli większości narodu. Protesty trwały kilka tygodni, a rząd do ich rozpędzania używał policji.

Kolejna fala sprzeciwu miała miejsce w grudniu 2015 roku, po tym jak sojusz wystosował do Czarnogóry oficjalne zaproszenie. Przywódcy opozycji domagali się referendum, w którym Czarnogórcy mogliby się wypowiedzieć, czy chcą przystąpić do NATO. Rząd Milo Đukanovicia, mając poparcie większości parlamentarnej, zdecydował →



LORENZO WARE / US ARMY

jednak, że nie będzie ono potrzebne. Tymczasem przeprowadzony w grudniu sondaż pokazywał, że w kwestii NATO społeczeństwo czarnogórskie jest mocno podzielone – 47% respondentów poparło integrację, ale aż 39% sprzeciwiało się jej, pozostali zaś byli niezdeterminowani. Protestujący przypominali, że w 1999 roku na Czarnogórę też spadały natowskie bomby, wznoszono prorosyjskie okrzyki, na manifestacjach widoczne były flagi Rosji i Serbii, a także transparenty z flagą NATO, na której róża wiatrów została przerobiona na swastykę. Đukanović nie przejął się jednak wystąpieniami. 19 maja 2016 roku, a więc w dniu, w którym ogłoszono podpisanie protokołu, miała miejsce rekonstrukcja rządu. Decyzją skłupstiny nowymi ministrami zostali m.in. przedstawiciele opozycji. Początkowo Đukanović nie chciał się zgodzić na dopuszczenie ich do władzy, ale uległ naciskom Unii Europejskiej. Osiągnął jednak to, co chciał: Czarnogóra jest już jedną nogą w NATO.

KORZYŚCI I STRATY

Czy przyjęcie Czarnogóry do sojuszu jest istotnym wydarzeniem? I tak, i nie. Nie, ponieważ ten kraj jest nieco mniejszy niż województwo małopolskie i liczy mniej więcej tyle mieszkańców, ile ma Wrocław. Niezbyt duże są również jego możliwości wojskowe. Dość powiedzieć, że według oficjalnych danych rządowych z marca 2016 roku personel wojskowy tego bałkańskiego kraju to zaledwie 1950 osób. Nie chodzi więc o kwestie militarne.

Z drugiej strony, przystąpienie Czarnogóry do NATO ma ogromne znaczenie, udowadnia bowiem dużą atrakcyjność sojuszu, który staje się obiektem aspiracji nowych państw i narodów. Mocniejsza obecność NATO w zachodnich Bałkanach, czyli w regionie, który w Europie jest postrzegany jako siedlisko trudnych do rozwiązania problemów, z pewnością działa stabilizująco i sprawia, że to miejsce staje się bezpieczniejsze.

Tymczasem na jakiegokolwiek wzmianki o rozszerzeniu NATO ostro reaguje Rosja, widząc w tym procesie zagrożenie dla własnych interesów na Bałkanach. To o tyle istotne, że jest ona ważnym partnerem gospodarczym Czarnogóry. Rosyjscy oligarchowie zainwestowali w tym kraju, przede wszystkim w nieruchomości na wybrzeżu, grube miliardy. Mówi się nawet, że w ich rękach może pozostawać do 40% najatrakcyjniejszych terenów i obiektów turystycznych nad Adriatykiem. Miał to być podobno sposób na powiązanie Czarnogóry z Rosją, ale niektórzy widzą w tym także sposób prania brudnych pieniędzy.

WEDŁUG OFICJALNYCH DANYCH RZĄDOWYCH, PERSONEL WOJSKOWY CZARNOGÓRY LICZY ZALEDWIE 1950 OSÓB

Rząd Đukanovicia deklaruje przyjaźń i chęć współpracy z Rosją, jeśli jednak chodzi o kwestie związane z członkostwem w NATO i Unii Europejskiej, potrafi być do bólu pragmatyczny. W 2013 roku głośnym echem odbiły się w prasie starania Moskwy o możliwość korzystania przez rosyjskie okręty z czarnogórskich portów w Barze i Kotorze w celu obsługi technicznej i uzupełnienia zaopatrzenia. Rosjanie szukali na Morzu Śródziemnym portów w krajach, które nie należą do NATO. Moskwa korzysta już z bazy w syryjskim porcie Tartus, ale rozglądano się za jeszcze jednym miejscem. Początkowo Rosjanie brali pod uwagę Cypr i Egipt, ale oba te kraje odmówiły, dlatego przyszła kolej na Czarnogórę. Tyle że ta też nie zgodziła się na propozycję Moskwy. Zaskakujące, lecz równie nieprzyjemne dla Rosjan było przyłączenie się tego kraju do nałożonych przez Unię Europejską sankcji w związku z konfliktem w Donbasie. Rosyjscy politycy nie ukrywali wówczas gniewu.

Moskwę drażni obecność NATO w Czarnogórze, ale głównym adresem nieprzychylnych komentarzy administracji rosyjskiej wobec rozszerzenia wpływów sojuszu na Bałkanach może być Belgrad. Serbia jest tradycyjnie prorosyjska, tamtejszy rząd nie przyłączył się do ogłoszonych przez Unię Europejską sankcji wobec Rosji i przy każdej okazji podkreśla, jak ważne są dla niego związki z tym krajem. W ostatnich wyborach parlamentarnych, które odbyły się w kwietniu 2016 roku, władzę utrzymała proeuropejska Serbska Partia Postępowa, która, co prawda, w swym programie ma zapisane zachowanie neutralności wojskowej kraju oraz utrzymanie go poza NATO, ale da się zauważyć, że równocześnie podejmuje środki zbliżające Serbię do sojuszu. Do tych kroków można zaliczyć np. podpisanie przez Belgrad w styczniu 2015 roku indywidualnego programu współpracy z NATO w ramach „Partnerstwa dla pokoju” albo przyjęcie w lutym 2016 roku prawa, które przewiduje współpracę logistyczną i immunitet dla natowskich żołnierzy na terenie Serbii, np. podczas tranzytu jednostek drogą lądową. Na razie nikt nie mówi o tym, że Republika Serbii mogłaby wstąpić do sojuszu, ale rozszerzanie współpracy między tym krajem a NATO jest dla Rosji równoznaczne z naruszeniem równowagi między Wschodem a Zachodem. ■

ROBERT SENDEK jest sławistą i bałkanistą, zajmującym się problematyką narodowościową i językową południowych Bałkanów.

SŁAWEK WIATR



Miasto Oleśnica



atol oleśnicki kompleks
rekreacyjny

ZAPRASZAJĄ NA

OLEŚNICKI BIEG BŁOTNY

POGROM 6 WICHRA

20.08.2016r.

START 12:00

STADION MIEJSKI W OLEŚNICY

IMPREZA TOWARZYSZĄCA:
VI MISTRZOSTWA OLEŚNICY
W RZUCIE BERETEM

WWW.POGROMWICHRA.PL



ARMIA

/ ANAKONDA



MICHAŁ ZIELIŃSKI

RAJD W RYTMIE ROCKA

2500 km, 400 pojazdów i ponad 1200 kawalerzystów to „Dragoon Ride 2” w liczbach. Za tymi statystykami kryje się jedna z największych operacji przerzutowych wykonanych we współczesnej Europie.



MICHAŁ ZIELIŃSKI

Przez słuchawki interkomu żołnierze meldują stan swoich pojazdów. Urywane, lekko przesterowane głosy brzmią jak w amerykańskich filmach. W chwili, w której dźwięk zaczyna uciekać, słychać trzaski przełączników umiejscowionych tuż przy słuchawkach. Szybka zmiana ich pozycji pozwala uzyskać lepszy sygnał. „W4I5 bez zmian. Utrzymujemy prędkość 45 mil, sir. W4I5 out. Navin, pilnuj lewej strony, zaraz będziesz miał tam żandarmerię”.

Kierowca „Jokera”, specjalista Navin, precyzyjnie sprowadza strykera ku prawej krawędzi jezdni. Z wysuniętej pozycji bez trudu może kontrolować drogę przed sobą, ale musi zakładać, że mijający go samochód może się znaleźć w martwej strefie. Jednocześnie utrzymuje tę samą prędkość i odległość od kolejnego pojazdu. Ważący prawie 20 t wóz opancerzony ma napęd na osiem kół i moc 350 KM. Mimo takich parametrów prowadzi się go z łatwością, niczym ciężarówkę, jednak należy zachować szczególną ostrożność.

W vanie jadącym razem z konwojem siedzą oficer US Army oraz jego podopieczni. Wnętrze samochodu wypełniają ciężkie, gitarowe riffy Nico Vegi, którego solistka z charakterystyczną chrypą śpiewa o bestii i wolności w kraju za oceanem. Major z satysfakcją patrzy na sunącą przed nim kolumnę strykerów. Przez chwilę zawiesza wzrok na bujającym się prawie równo w rytm słyszanej piosenki kawalerzyście, którego sylwetka odcina się na tle masywnego pancerza i jaskrawo błękitnego nieba. Ten jakby wyczuł na sobie spojrzenie, odwraca się w jego stronę i wciąż kiwając głową, unosi wyciągnięty kciuk. „Tylko popatrz, musieli w interkomie odpalić muzykę”, major odwraca się przez ramię i wolnym ruchem ręki poprawia swoje ray-bany. „Kilkaset strykerów jedzie autostradą przez wschodnią Europę

w rytm ciężkiego rocka. Witamy w »Dragoon Ride 2«”.

TO JEST MÓJ DOM

Kiedy w marcu 2016 roku pojawiły się pierwsze komunikaty o przejeździe wojsk amerykańskich przez Polskę oraz państwa bałtyckie, skrajnie prawicowe i lewicowe ugrupowania zareagowały protestami. W niektórych mediach rozgorzała dyskusja o zasadności takiej operacji. W końcu liczba 400 strykerów mogła mieć wydźwięk symboliczny, a ich aktywność na wschodniej flance mogła zaostrzyć i tak już trudne stosunki z Rosją. Jednocześnie sama obecność obcych wojsk, które kolumną przemieszczają się przez Polskę, korzystają z naszych dróg i zatrzymują w naszych miastach, może budzić złe skojarzenia. Nikt jednak nie wziął pod uwagę, że dla kawalerzystów z 2 Pułku Kawalerii US Army Europa to nie jest miejsce egzotyczne. Od września 2006 roku nasz kontynent to dla nich drugi dom.

„Dużo się mówi o aktywności NATO na wschodniej flance, że sojusz przewartościował swoją strategię i skierował uwagę w stronę nowych zagrożeń. Ale tak do końca nie jest. Proces ten trwa od kilku lat, więc mówimy raczej o nowej normie. Ćwiczymy z naszymi sojusznikami wewnątrz terytorium sojuszu. Prowadzimy dialog z państwami spoza NATO, ale jednocześnie pokazujemy, że jak będzie trzeba, to potrafimy przyłożyć. W zasadzie po raz pierwszy w swojej historii NATO jest tym, czym w założeniach być powinno”, mjr Neil Penttila, oficer 2 Pułku Kawalerii, od kilku lat mieszka w niemieckiej miejscowości Vilseck. To właśnie tam mieszczą się Rose Barracks, baza macierzysta amerykańskich kawalerzystów. Ze względu na bliskie sąsiedztwo, wielu żołnierzy doskonale zna Polskę. Stacjonowali w Drawsku Pomorskim, zwiedzali Kraków, Wrocław, Warszawę. Z uśmiechem na ustach mówią o Tatrach i Mazurach. O polskiej



Por. Griffin zapina ostrogi, wraz z kapeluszem jeden z elementów tradycyjnego stroju kawalerzystów.

MY NIGDY NIE PRZESTAJEMY BYĆ „DRAGOONAMI”. „TOUJOURS PRÊT”, JESTEŚMY ZAWSZE GOTOWI

gościnności. „Tutaj, w Europie, mam rodzinę, trzypokojo-
we mieszkanie, w którym żyję z żoną i dziećmi. Jestem
Amerykaninem, ale teraz to jest nasz dom”.

ŻOŁNIERZ, TAK JAK TY

Nad strykerami powiewają flagi polskie, amerykańskie
oraz sojuszu północnoatlantyckiego. Półprzezroczyste
płótna przepuszczają ostre, popołudniowe słońce, grając
feerią narodowych barw. Z włączonych pojazdów wychylają
się żołnierze, którzy z radosnym zakłopotaniem machają
w stronę zebranych przy drodze ludzi. W tłumie można
wypatrzyć nie tylko młode, zaciekawione twarze, ale rów-
nież ludzi dojrzałych, kobiety i mężczyzn. Każdy chce zo-
baczyć, jak naprawdę wyglądają przedstawiciele najwięk-
szej i najnowocześniejszej armii świata. Zestawić swoje

wyobrażenia z rzeczywistością. Przekonać się, czy za sce-
nami znanymi z filmów kryje się trudny do zrozumienia
obcy, czy po prostu zwykły człowiek.

Obraz ten jest niczym wyjęty z przesiąkniętego patety-
zmem filmu klasy B, ale właśnie tak wyglądają ulice Olsz-
tyna. W chwili, w której kolumna strykerów, humvee i nie-
mieckich fennków wąskimi, brukowanymi uliczkami wjeżd-
ża na rynek, wzdłuż pojazdów biegną roześmiane dzieci,
a z okien wychylają się kobiety. Jest 2016 rok, nie ma woj-
ny, nad Polską nie wisi widmo zbliżającego się wroga.
Wszyscy dobrze wiedzą, że nie witają odsiecz.

Na miejscu włączy opancerzonych kolosów zostały
otwarte na oścież i w ich wnętrzu buszują zaciekawieni
chłopcy. Sierż. mjr Douglas Merritt podchodzi do jednego
z nich, ubiera go w kamizelkę i hełm. Od tej chwili nasto- ➔



MICHAŁ ZIELIŃSKI (2)

Najdłuższe etapy trasy trwają do 18 godzin. Większość tego czasu kierowca spędza na swoim stanowisku.

latak staje się żołnierzem, a sierżant jego przełożonym. Na rozkaz, w pełnym ekwipunku ruszają pędem wokół strykerów. Po pierwszym okrążeniu chłopak jest wykończony, ale gotowy na dalsze „rozkazy”. W ręce dostaje ważącą ładnych parę kilogramów atrapę pocisku moździerzowego. Zaciska usta, bo chce udowodnić, że ciężar jest mu niestrasny. Amerykanin w żartach mówi, że wróci do niego później. Reszta dzieci krzyczy i każde chce być następne. Sierż. Merritt z teatralną powagą wyznacza kolejnego śmiałka. Scenę tę obserwuje starszy mężczyzna. W rękę trzyma dwie amerykańskie flagi, być może jedna z nich należy do bawiącego się razem z dziećmi wnuczka. W chwili, w której podchodzi do niego amerykański żołnierz, mężczyzna zagaja łamaną angielszczyzną o dane techniczne strykerów. Żołnierz pomaga mu wdrapać się na pancerz, pokazuje każdy szczegół, tłumaczy – to jest moździerz, to karabin maszynowy kalibru 12,7 mm, tutaj wąż kierowcy, a tam osłona silnika. Starszy pan przygląda się wszystkiemu w skupieniu. W pewnym momencie zbiera się na odwagę i salutuje. „Ja również byłem wojskowym, jestem kapitanem rezerwy. Byłem żołnierzem, tak jak ty.

Kapitanem”, patrzy wyczekująco na Amerykanina, który z kontekstu wyłapuje słowo kapitan. Odsalutowuje.

Na drugim końcu placu zbiera się kilka osób z transparentami. Krzyczą hasła piętnujące obce wojska na polskiej ziemi. Wyzywają ich od okupantów i najeźdźców, straszą bezpośrednim zagrożeniem narodowej suwerenności. Na początku niektórzy przystają i próbują zrozumieć, o co chodzi. Po paru minutach nikt nie zwraca na protestujących uwagi. Ci zaś nawet nie kryją, że reprezentowana przez nich frakcja jest zorientowana na wschód. Być może właśnie dlatego nie udaje się im wywołać żadnej reakcji.

POD WŁAZEM

O świcie, już przed godziną czwartą, wokół strykerów zaczyna się krzątanie. Żołnierze pośpiesznie pakują swoje rzeczy i przygotowują się do dalszej drogi. Ciszę przerywa rozruch silników. Załoga wkłada uprząże i podpiną je pod pasy bezpieczeństwa. Na głowach lądują hełmy z zintegrowanym interkomem oraz goglami ochronnymi. Dowódcy pojazdów nanoszą koordynaty trasy oraz omawiają jej szczegóły ze swoimi przełożonymi i z kierowcami.



KILKASET STRYKERÓW JEDZIE AUTOSTRADĄ W RYTM CIĘŻKIEGO ROCKA. WITAMY W „DRAGOON RIDE 2”

O szóstej kolumna wyrusza w trasę. Ci, którzy mogą, kula się na niewielkich krzesłkach, po czym szybko zapadają w półsen. Część żołnierzy staje na swoich pozycjach i, wychylając się z włazów, obserwuje mijany krajobraz. Mimo że twarze mają szczelnie zasłonięte kominami, niektórzy dygoczą z zimna. „Navin, podkręć trochę ogrzewanie, chociaż w nogi będzie ciepło. Ze strykerami jest tak, że albo jest za gorąco, albo za zimno. Po Iraku zaczęli montować klimatyzację, jest również ogrzewanie, ale nie zmienia to faktu, że od przestrzeni wokół dzieli nas tylko metal. Albo nic”, por. Griffin z zawadiackim uśmiechem wychyla się przez swój właz. Zza kłapy widać tylko szczerzące się zęby i wielkie gogle.

Podróż strykerem pod wieloma względami przypomina jazdę na motocyklu. Mocno wieje, ciało przeszywa zimno, jest niewygodnie. Po kilku kilometrach nieosłonięte policz-

ki i usta pokrywają się pyłem. Są tacy, którzy za to doświadczenie oddadzą wszystko, są też tacy, którzy usiądą i zamkną właz. Ci drudzy szybko rozumieją, że to nic nie zmienia. Wciąż będzie doskwierać im zimno oraz wiatr, do tego dojdzie poczucie klaustrofobii. Ciężki motocykl przestoczy się w również ciężką konserwę uzbrojoną w działo kalibru 105 mm, karabin maszynowy kalibru 12,7 mm albo wyrzutnię rakiet TOW.

„Braliśmy udział w wojnie secesyjnej, pierwszej i drugiej wojnie światowej. Podczas »Pustynnej burzy« nacieraliśmy w pierwszej linii, służyliśmy również w Bośni, Iraku i Afganistanie”, mówi por. Griffin. „Teraz jedziemy 2500 km przez wschodnią Europę. Spędzamy po 18 godzin dziennie w trasie, śpimy i jemy w strykerach. To tylko ćwiczenia, ale my nigdy nie przestajemy być »dragoonami«. »Toujours Prêt«, jesteśmy zawsze gotowi”.

KADR

/ ANAKONDA

MICHAŁ ZIELIŃSKI

Dragoni po godzinach

Kilkunastogodzinna jazda w konwoju wymaga dużego wysiłku nawet od sprawnego żołnierza. Podglądamy Amerykanów, jak wieczorem po takim dniu się regenerują.



MICHAŁ ZIELIŃSKI

Latem w okręgu poniewieskim noc zapada tuż przed północą. W ciągu najbliższych kilku godzin nie nastanie całkowity mrok, a okolicznych lasów nie spowije ciemność. Światło ustąpi miejsce mdłej, lekko przyblakłej szarówce, która niebawem płynnie przejdzie w kolejny dzień. Gdyby nie temperatura, która w tym czasie wynosi niewiele powyżej zera, dla żołnierzy 2 Pułku Kawalerii byłoby to całkiem przyjemne zjawisko. Część z nich śpi wewnątrz strykerów lub humvee, większość sypie się do snu na łóżkach polowych przy swoich pojazdach. Szczelnie okryci śpiworami, z czapkami naciągniętymi na głowy, szukają ciepła przy silnikach lub kołach transporterów opancerzonych. „Łap, to ocieplacze chemiczne. Otwierasz, potrząsas przez chwilę i wrzucasz do śpiwora. Będą grzały przez parę godzin, powinny wystarczyć”, sierż. Burns wyciąga dwa opakowania z czerwono-czarnymi oznaczeniami. Na szczęście przed wyjazdem wziął pod uwagę, że mogą się przydać nawet w środku czerwca.

Nieopodal kilku żołnierzy z 4 Skrzydła 2 Pułku Kawalerii wraz z kolegami z amerykańskiej policji wojskowej ćwiczy podania piłką futboloową. Ustawili się po dwóch stronach pasa lotniska, zwodzą, walczą o każde podanie. Na widok wycelowanego w nich obiektywu gra się zaostrza. Piłka lata jak wystrzelona z procy, każde uderzenie jest podkreślane. Mężczyźni wyskakują po nią w powietrze i walczą, przepychając się barkami. Czasami z krzykiem i głośnym śmiechem lądują na plecach.

To niejedyna aktywność sportowa, którą można zauważyć w tymczasowej bazie. Nieopodal dwóch Afroamerykanów ćwiczy rzuty piłką baseballową. Przy strykerze, w którym wciąż pracuje silnik, grupka szeregowych gra w zoskę. Upleciony ze szmaty zwitek więcej czasu jest na ziemi niż w powietrzu, ale nikomu nie przeszkadza to w dobrej zabawie. Mimo późnych godzin wieczornych i wymarszu zaplanowanego na piętą rano niektórzy żołnierze biegają i się rozciągają. O świcie nie będzie na to czasu.

„Co on robi?! No podaj tę piłkę, na prawo, prawa jest wolna. Poda... Neeeeeein!”, pionierzy z niemieckiego batalionu, którzy mają wspomagać Amerykanom podczas ćwiczeń „Saber Strike '16”, rozstawili projektor. Na boku jednej z ciężarówek rozwiesili płachtę, samo urządzenie podpięli pod przenośny satelitę, który po



kilkudziesięciu minutach regulacji jakimś cudem złapał sygnał. Teraz rozstawili składane krzesła i z wypiekami na twarzach oglądają mecz Niemcy – Ukraina. Na razie drużyna w biało-czarnych strojach prowadzi jednym punktem, ale nie wygląda na to, by widzowie byli tym usatysfakcjonowani.

Zza pobliskiego humvee dochodzi jednostajny dźwięk maszyny do włosów. Mówiący po



PODCZAS RAJDU NAWET NIEWIELKIE RZECZY NABIERAJĄ RANGI WYDARZENIA



MICHAŁ ZIELIŃSKI (5)

hiszpański sierżant rozłożył na masce pojazdu swój fryzjerski przybornik i właśnie strzyże kolegę z oddziału. Choć jest amatorem, przykłada się do swojej pracy, nieustannie komentując to, co robi. Ktoś z przenośnych głośników słucha czarnego rapu, twarze innych rozświetlają niebieskie ekrany telefonów, chociaż na chwilę kojąc tęsknotę za rodziną. Kierowcy, którzy ostatnie kilkanaście godzin jechali w konwoju, dawno już chrapią. Major otwiera kolejną porcję amerykańskiej racji żywnościowej

typu MRE (Meal Ready-to-Eat) w poszukiwaniu ulubionych cukierków. Z rezygnacją potrząsa głową i sięga ręką po kolejną paczkę. Za potrawkę z wołowiny czy makaron z kurczakiem mógłby pewnie dostać to, co usiłuje znaleźć, ale widocznie samo buszowanie po racjach sprawia mu większą frajdę.

„Wiesz, co powinieneś napisać w swoim artykule? ... Wszyscy amerykańscy żołnierze potrzebują skittlesów”, mówi.



MARCIN GÓRKA

Bitwa pod Toruniem

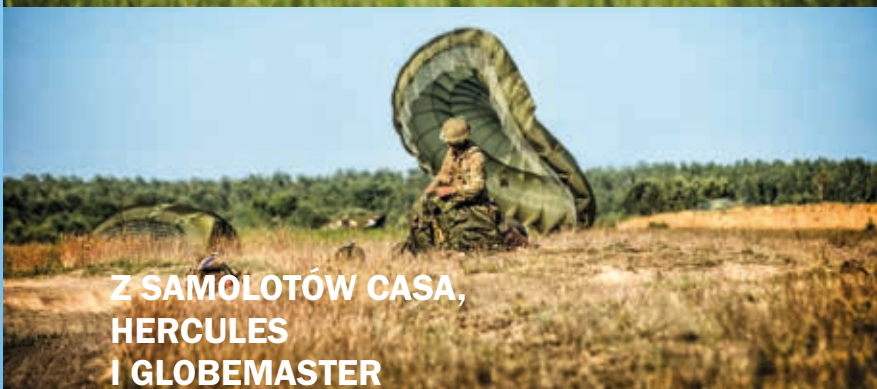
Amerykanie, Brytyjczycy i Polacy na poligonie w Kijewie przećwiczyli największą operację powietrznodesantową w dziejach NATO.

Pierwsi spadochroniarze, 33 żołnierzy tzw. połączonej grupy awangardowej, wylądowali pod Toruniem, by przygotować zrzutowisko dla połączonych sił aliantów. Desantowały się one kolejnego dnia z ponad 30 samolotów. Amerykanie z 82 Dywizji Powietrznodesantowej lecieli prosto ze swojej macierzystej bazy Fort Bragg w USA. Brytyjczycy z 16 Brygady Desantowo-Szturmowej wystartowali z leżącej na terenie Niemiec bazy Ramstein. Spadochroniarze z 6 Brygady Powietrznodesantowej przylecieli z kolei z podkrakowskich Balic.

Z samolotów zrzucono także haubice, pojazdy i tony zaopatrzenia. Maszyny nadlaty-

wały kaskadowo, jedna za drugą, bezpośrednio nad zrzutowisko. Najpierw przybyły te ze sprzętem. Po nich amerykańskie C-17, następnie polskie herculesy i pozostałe samoloty aliantów – polskie casy i herculesy z Amerykanami i Brytyjczykami.

Po wylądowaniu żołnierze musieli opanować wyznaczone tereny poligonu w Kijewie. Jednemu ze skoczków nie otworzył się spadochron, ale szczęśliwie wylądował na zapasowym. Główne zadanie spadochroniarze wykonali jednak dopiero kolejnego dnia. Oni, jako Niebiescy, mieli z rąk Czerwonych, których podgrywali żołnierze 18 Batalionu Desantowo-Szturmowego z Bielska-Białej, odbić most



COMCAM.PL

MICHAŁ NIWICZ (3)

Z SAMOLOTÓW CASA, HERCULES I GLOBEMASTER

DESANTOWAŁO SIĘ
NA SPADOCHRONACH
OKOŁO PÓŁTORA
TYSIĄCA ŻOŁNIERZY
ZE SPRZĘTEM, ŻEBY
KOLEJNEGO DNIA STO-
CZYĆ WALKĘ O MOST
W TORUNIU

im. gen. Elżbiety Zawackiej w Toruniu – jedną z dwóch przepraw łączących brzegi Wisły w mieście.

Najpierw jednak Amerykanie z 2 Regimentu Kawalerii na strykerach musieli przekroczyć Wisłę w Chełmnie. Przeprawę zbudował tam rano wielonarodowy batalion inżynierski złożony z Amerykanów, Polaków, Niemców i Holendrów. Z elementów typu M3 saperzy w zaledwie pół godziny postawili most, którym szybko przepравиło się około 70 amerykańskich pojazdów, żeby ruszyć na Toruń.

A tam rozegrała się prawdziwa bitwa. Czerwoni utworzyli stanowiska. Podejścia do nich „oczyścili”

z przeciwnika Amerykanie i Brytyjczycy, Polacy zaś zaatakowali od frontu. Po godzinie walk most został zdobyty, otwierając przejazd dla kolumny amerykańskich pojazdów. „Potwierdził, że jesteśmy w stanie przygotować tak wielkie militarne przedsięwzięcie, że jeste-

śmy dobrym partnerem w sojuszu i można na nas polegać”, komentował dowódca generalny rodzajów sił zbrojnych gen. broni Mirosław Różański. „Amerykanie udowodnili, że potrzeba im kilkudziesięciu godzin, żeby być razem z nami w razie potrzeby. To ważny sygnał”, dodał dowódca operacyjny RSZ, kierujący ćwiczeniami „Anakonda”, gen. broni Marek Tomaszewski. ■

BOGUSŁAW POLITOWSKI

Suchym kołem przez Odrę

**Umiejętności saperów decydują o tym, czy armia będzie
w stanie przerzucić wojska na duże odległości.**

Brytyjski batalion lekkiej piechoty, podporządkowany gen. bryg. Maciejowi Jabłońskiemu, dowódcy 10 Brygady Kawalerii Pancernej, ma po kilkudziesięciokilometrowym marszu pokonać Odrę, żeby przeprowadzić rozpoznanie rejonu na drugim brzegu rzeki, gdzie wejdą do działania główne siły pancerne brygady.

Dowódca brytyjski ppłk Ben Wilde stawia zadania. Kilka godzin później prawie 150 pojazdów i 600 żołnierzy rusza w drogę. Mjr Michał Idziaszczyk, oficer brytyjskiego wywiadu, z pochodzenia Polak, pełniący na ćwiczeniach funkcję tłumacza, wyjaśnia, że dla żołnie-

rzy z Wysp olbrzymie połacie lasów, przez które przejeżdżają, są czymś niespotykanym. Jego kolega, kpt. Nichols, dodaje żartem, że tyle słonecznych dni z rzędu w Wielkiej Brytanii to też rzadkość. Oficerowie Jej Królewskiej Mości nie ukrywają przy okazji, że kierowcy z ich kolumny są pod wrażeniem tego, że czeka ich niebawem przejazd przez ponadstumetrowy most pontonowy. „Wielu z nich pierwszy raz pokona rzekę w ten sposób.

MARCIN SPARZYŃSKI



W Wielkiej Brytanii, z wyjątkiem Tamizy, rzeki są tak wąskie, że można je przeskoczyć. Tutaj przyjdzie im się zmierzyć z prawdziwą przeszkodą wodną”, żartuje mjr Idziaszczyk.

BALANSOWANIE NA WODZIE

W tym samym czasie, na terenie ośrodka ćwiczeń Biała Góra koło Krosna Odrzańskiego żołnierze batalionu pontonowego ppłk. Artura Gruszczyka z 2 Pułku Inżynieryjnego w Inowrocławiu są już na wodzie. Śruby kilku-nastu kutrów KH-200 mieszają ją, pchając ciężkie metalowe bloki dwóch parków pontonowych PP-64. Most będzie się składał z 70 takich bloków pontonowych i dwóch brzego-

wych. Kilkadziesiąt czeka w rezerwie. „Wody Odry zmieniają poziom. Raz jej stan się obniża, raz rośnie, więc jesteśmy przygotowani na budowę mostu o długości nawet 180 m”, wyjaśnia ppłk Gruszczyk.

Aby tego dnia połączyć oba brzegi, wystarczy wstęga o długości 136 m. Musi być jednak podwójna – o szerokości ponad 10 m. Konstrukcja ma mieć bowiem nośność 80 t. Saperzy budują najpierw trzy odrębne przęsła. Gdy są gotowe,

kutry ustawiają je na osi przyszłej przeprawy. Gdy dwa przęsła brzegowe stoją na swoim miejscu, precyzyjnie wprowadza się między nie część środkową.

Robota wymaga sporego wysiłku i precyzji. Po zbudowaniu przeprawy pracy nadal nie brakuje. Na obu brzegach trzeba →

ROBOTA WYMA- GA SPOREGO WYSIŁKU I PRE- CYZJI. PO ZBU- DOWANIU PRZEPRAWY PRACY NADAL NIE BRAKUJE





Gen. broni Miroław Różański wręcza zegarek st. szer. Wojciechowi Rychlewskiemu

BOGUSŁAW POLITOWSKI

wykonać dojazdy. Utwardza się nawierzchnię tak, aby samochody przy wjeździe na most lub w trakcie jego opuszczania nie ugrzęzły w błocie. Tam, gdzie on stoi, rzeka w niektórych miejscach ma kilka metrów głębokości i muszą być zachowane wszelkie zasady bezpieczeństwa. Ppor. Karolina Berbec, pomocnik dowódcy punktu przeprawy, pilnuje, aby każdy, kto na nią wchodzi lub wjeżdża, miał na sobie kamizelkę ratunkową. „Most, którego jeden z odcinków wybudował mój pluton, jest bezpieczny. Przepisy jednak nakazują zachowanie daleko idącej ostrożności i każdy, kto się po nim porusza, musi mieć na sobie sprzęt ratunkowy”, oznajmia zdecydowanie. Nic więc dziwnego, że nad bezpieczeństwem użytkowników cały czas czuwa także grupa ratunkowo-ewakuacyjna. W jej składzie są m.in. sierż. Bernard Hajducki, dwóch podległych mu nurków oraz ratownik medyczny.

BARDZO WAŻNE POZORY

Kilkaset metrów w górę rzeki od budowanego mostu powstaje kolejna przeprawa. Czyżby most zapasowy? Jak wyjaśnia płk Marek Wawrzyniak, dowódca 2 Pułku Inżynieryjnego w Inowrocławiu, powstająca tam konstrukcja jest mostem pozornym. Gdy lotnictwo przeciwnika chciałoby zniszczyć przeprawę, piloci będą mieli problem z rozpoznaniem, który most należy zaatakować. „Do budowy przeprawy pozornej zaangażowaliśmy prawie stu rezerwistów powołanych na ćwiczenia »Anakonda '16«. Dla nich taka budowa jest doskonałym zadaniem szkoleniowym”, ocenia pułkownik.

Most pozorny również ma ponad 100 m długości. Jego elementy są jednak wykonane ze znacznie lżejszego tworzywa sztucznego. Jego nośność jest szacowana na około 300 kg. Przy zachowaniu odpowiedniej odległości mogą przechodzić po nim ludzie. W warunkach bojowych na takiej konstrukcji ustawia się zazwyczaj lekkie makiety czołgów, transporterów opancerzonych lub pojazdów samochodowych.

OBRONA PARAMILITARNA

Blisko pozornej przeprawy oraz mostu właściwego co jakiś czas przechodzą piesze patrole ochrony. Bystry obserwator może zauważyć w wielu miejscach wokół polygonowego zgrupowania wojsk posterunki

obsadzone dobrze uzbrojonymi i wyposażonymi żołnierzami. Ludzie mający bronić i ochraniać miejsce przeprawy nie są jednak żołnierzami, lecz członkami proobronnej organizacji Obrona Narodowa.pl – Ruch na rzecz Obrony Terytorialnej, którzy po raz pierwszy uzyskali zgodę Ministerstwa Obrony Narodowej na udział w tak ważnych manewrach.

Dzień przed forsowaniem Odry liczący stu ludzi pododdział został podporządkowany dowódcy 10 Brygady Kawalerii Pancernej. Gen. bryg. Maciej Jabłoński oraz dowódca paramilitarnego oddziału

chor. rez. Jacek Klimanek podpisali stosowne dokumenty. Dowódca brygady postawił pododdziałowi zadania. Od tej chwili mieli dbać o to, aby nikt nie zaatakował miejsca przeprawy i nikt nieupoważniony nie dostał się na teren zgrupowania.

FORSOWANIE RUSZYŁO

W sobotnie przedpołudnie 11 czerwca kolumny brytyjskiego batalionu docierają w pobliże rzeki. Punktualnie o godzinie 12 pierwsza grupa pojazdów wjeżdża na most. Pod ciężarem wielotonowych ciężarówek i cystern pontony lekko się uginają. Nic nie zakłóca jednak przejazdu. Wóz za wozem powoli pokonują Odrę. Po przejściu jednej kolumny, zanim pojawi się następna, saperzy podsypują żwir przy podejździe i odjeździe od rzeki, aby samochody „suchym kołem” mogły pokonać przeprawę. Widać, że wielu brytyjskich kierowców po zjechaniu z mostu oddycha z ulgą. Niektórzy pokazują polskim saperom kciuki uniesione w górę.

Przeprawę wojsk przez Odrę ogląda tego dnia także kilkudziesięciu obserwatorów OBWE, obserwują ją też zaproszeni na ćwiczenia przedstawiciele lokalnych władz oraz uczniowie klasy mundurowej Liceum Ogólnokształcącego w Zielonej Górze.

Zadowolony z tego, co zobaczył na Białej Górze nie kryje również gen. broni Miroław Różański, dowódca generalny rodzajów sił zbrojnych. Jeszcze w trakcie przeprawy odwiedził saperów. Przechodząc przez most, zapytał dowództwo pułku, który z operatorów kutrów jest najlepszy. Gdy wskazano mu jednostkę pływającą st. szer. Wojciecha Rychlewskiego, generał wskoczył na jej burtę i zaskoczonemu operatorowi pogratulował umiejętności, a na pamiątkę spotkania wręczył zegarek. ■

STANISŁAW TOŁWIŃSKI
Prezes Aeroklubu Krainy Jezior

&

GUSTAW MAREK BRZEZIN
Marszałek Warmii i Mazur

zapraszają na...



6-7.08.2016
Giżycko - j. Niegocin



Pokazy komentuje
Tadeusz Szuk
AirShow Radio 90,1 MHz

www.lotniskoketrzyn.pl
www.mazuryairshow.pl

Partnerzy:



Patron medialny:

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

Jedność, siła, bezpieczeństwo

**Kilkuset żołnierzy piechoty morskiej
z czterech krajów wylądowało na plaży
w Ustce. Desant morski stanowił ostatnią
odsłonę manewrów „Baltops '16”.**



Pierwsze do brzegu podeszły polskie trałowce. Miały oczyścić morze z zagród minowych i utorować drogę desantom. Kiedy zaczęły wykonywać swoje zadanie, w pobliskich lasach zawyły silniki. Po chwili na plażę wyjechały bojowe wozy piechoty BWP-1, które ustawiono w okopach i na umocnieniach. „Wysypali” się z nich żołnierze 7 Brygady Obrony Wybrzeża w Słupsku. To właśnie im przypadła rola sił próbujących zatrzymać desant. Na okręty spadł grad pocisków. Wysiłki na niewiele się jednak zdały. Trałowce wykonały zadanie i odeszły na pełne morze, a na horyzoncie majaczyły już m.in. amerykański okręt dowodzenia USS „Mount Whitney”, brytyjski śmigłowcowiec desantowy HMS „Ocean” i niszczyciel rakietowy z Hiszpanii SPS „Nunez Mendez”. W stronę Wybrzeża

ruszyły wypełnione żołnierzami piechoty morskiej oraz sprzętem pływające transportery opancerzone AAV i poduszkowce desantowe LCAC. Oddziały z 7 BOW zaczęły się wycofywać w głąb lądu. Po chwili, we mgłę i kłębach dymu, do plaży dotarły pierwsze pojazdy.

Łącznie pod Ustką wylądowało kilkuset żołnierzy piechoty morskiej ze Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Niemiec i Włoch. „Jesteśmy po dwóch tygodniach intensywnych ćwiczeń. Dzisiejszy desant stanowił ich zwieńczenie. Kierowaliśmy się mottem: »Jedność na Bałtyku równa się siła i bezpieczeństwo«. Jestem bardzo zadowolony z przebiegu naszych działań”, podkreślał wiceadm. James Foggo, dowódca STRIKFORNATO, czyli Morskich Sił Uderzeniowych i Wsparcia NATO – organizatora manewrów.



ĆWICZENIA „BALTOPS” SĄ PROWADZONE NA BAŁTYKU OD 1972 ROKU



TOMASZ MIELCZAREK / 7 BOW (4)

Tegoroczny „Baltops” rozpoczął się w Estonii. Początkowo okręty ćwiczyły w okolicach Szwecji i Finlandii. W każdym z tych państw został zorganizowany desant podobny do tego, który mogliśmy oglądać w Ustce. Potem siły skierowały się na południe Bałtyku. Manewry zakończyły się w niemieckiej Kilonii. W sumie wzięło w nich udział 15 państw NATO i dwa kraje w ramach „Partnerstwa dla pokoju”. Na ćwiczenia wysłały one 43 okręty, ponad 60 samolotów i śmigłowców (nad Bałtykiem pojawiły się m.in. amerykański bombowiec strategiczny dalekiego zasięgu B-52, brytyjskie śmigłowce Merlin i Chinook, a także samolot dozoru radiolokacyjnego dalekiego zasięgu AWACS), 4 tys. marynarzy

i około 700 żołnierzy piechoty morskiej z USA, Wielkiej Brytanii, Szwecji, Finlandii, Włoch i Niemiec. Od początku w manewrach brał udział okręt podwodny ORP „Kondor”. Przed usteckim desantem dołączyły do niego trałowce, samoloty i śmigłowce morskie, a także samoloty uderzeniowe, wcześniej zaangażowane w „Anakondę”.

„Braliśmy udział w »Baltopsie«, zanim jeszcze wstąpiliśmy do NATO. I nadal chcemy to robić. W przyszłym roku będziemy gospodarzami ćwiczeń. Manewry pokazały, że możemy liczyć na naszych partnerów z sojuszu, potwierdziły też znaczenie Bałtyku w systemie bezpieczeństwa”, podsumował gen. broni Mirosław Różański, dowódca generalny rodzajów sił zbrojnych. ■

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Żołnierze dla pielgrzymów

Wojsko włączyło się w przygotowania Światowych Dni Młodzieży. Zbudowało tymczasowe mosty i szykuje obozowisko namiotowe dla kilkudziesięciu tysięcy pielgrzymów.

Zaangażowanie mundurowych w przygotowania do Światowych Dni Młodzieży wynika z art. 30 ust. 1 ustawy z 18 marca 2016 roku o szczególnych rozwiązaniach związanych z organizacją wizyty Jego Świątobliwości Papieża Franciszka w Rzeczypospolitej Polskiej oraz Światowych Dni Młodzieży – Kraków 2016. „Zgodnie z ustawą minister obrony narodowej może udzielić organizatorom wsparcia w zapewnieniu właściwej organizacji Światowych Dni Młodzieży w takich dziedzinach, jak infrastruktura, logistyka, transport, łączność, bezpieczeństwo, porządek publiczny oraz zabezpieczenie medyczne i sanitarne”, podkreśla Bartłomiej Misiewicz, rzecznik prasowy ministra obrony narodowej. „Wojsko włącza się w organizację wizyty papieża Franciszka i spotkania młodych na prośbę komitetu organizacyjnego”, uzupełnia ppłk Wojciech Arcikiewicz z Ministerstwa Obrony Narodowej.

STALOWE GIGANTY

W organizację Światowych Dni Młodzieży zostało zaangażowanych około 3 tys. wojskowych z różnych miejsc. Wśród nich są inżynierowie z 2 Pułku Inżynieryjnego w Inowrocławiu wraz z podległymi jednostkami. „Przygotowanie infrastruktury mostowej to najważniejsze zadanie, jakie moi podwładni dostali w ostatnich latach”, mówi płk Marek Wawrzyniak, dowódca 2 Pułku. „Jestem z nich bardzo dumny, bo poradzili sobie z tym wyzwaniem doskonale”.

Od połowy maja ponad 60 żołnierzy jednostek odbudowy sformowanych na bazie 2 Pułku Inżynieryjnego stawiało mosty w rejonie campusu Misericordiae w Brzegach koło Krakowa. Wojskowych podzielono na trzy grupy montażowe, które miały do dyspozycji ponad 40 jednostek specjalistycznego sprzętu, m.in. koparki, dźwigi, spychacze.

Cztery tymczasowe mosty typu DMS-65 o łącznej długości 336 m powstały w Krakowie oraz w miejscowościach Kokotów i Brzegi. Najdłuższy z nich ma 65 m, a najszerszy niemal 40 m, czyli tyle, że zmieściło się tam aż siedem pasów jezdni. „Mosty mają zapewnić pielgrzymom bezpieczeństwo, a przede wszystkim sprawną ewakuację”, zaznacza ppłk Piotr Pytel, który dowodził całym zgrupowaniem.

Dowództwo 2 Pułku przyznaje, że budowa przepraw była zadaniem wymagającym, choćby pod względem organizacji pracy i konieczności zastosowania innowacyjnych rozwiązań technologicznych. „Na początku należało zorganizować transport stalowych modułów. Poszczególne elementy konstrukcji do Brzegów przywieziono z Dębłina, Niska i Głogowa. Stosowaliśmy nową technologię montażu, która polegała na tym, że mosty budowaliśmy jednocześnie z obu brzegów rzeki, łącząc całe moduły nad wodą”, tłumaczy ppłk Pytel. W pierwszych dniach czerwca gotowe obiekty zostały przekazane władzom samorządowym Wieliczki.

W połowie lipca kilkunastu żołnierzy z 2 Pułku Inżynieryjnego zostanie ponownie oddelegowanych do Małopolski. Zapewnią oni pielgrzymom energię elektryczną. „Trzecim etapem naszego zadania będzie demontaż mostów i przetransportowanie stalowej konstrukcji z powrotem do jednostek wojskowych. Zadanie powinniśmy zakończyć na początku września”, ocenia płk Wawrzyniak.

KOMPLEKSOWA POMOC

Armia będzie wspierać pielgrzymów także pod względem medycznym. Na terenie 8 Bazy Lotnictwa Transportowego w Krakowie razem z zespołem ewakuacji medycznej zostanie sformowane tzw. wojskowe zgrupowanie medyczne, przygotowane do zapewnienia transportu poszkodowanych wozami sanitarnymi i dwoma samolotami C-295M (do szpitali poza obszarem wo-

DOPIĘTE NA OSTATNI GUZIK

Według szacunków MON-u, koszt zaangażowania wojska wyniesie ponad 4 mln zł. Za organizację Światowych Dni Młodzieży w resorcie obrony jest odpowiedzialny wiceminister Bartosz Kownacki. Ordynariat Polowy WP, z biskupem Józefem Guzdkiem na czele, odpowiada zaś za przyjęcie wojskowych pielgrzymów.



**ŚWIATOWE DNI
MŁODZIEŻY
POŁĄCZONE
Z WIZYTĄ OJCA
ŚWIĘTEGO FRANCISZKA
ODBEDĄ SIĘ OD 26 DO
31 LIPCA 2016 ROKU
W KRAKOWIE**



ARMIA NA ŚDM

760 żandarmów	360 żołnierzy	100 żołnierzy	200 żołnierzy
zadba o bezpieczeństwo	pokieruje ruchem pojazdów i pieszych	pomoże w budowie obiektów	zorganizuje dziesięć punktów wydawania prowiantu
5000	7500	1500	10
namiotów typu NS	łóżek polowych	łóżek składanych	cystern wodnych

GOŚCIE Z NATO

Na uroczystości i nabożeństwa z udziałem papieża Franciszka przyjedzie do Krakowa około 400 podchorążych i żołnierzy z kilkunastu krajów. Będą to wojskowi m.in. z Australii, Austrii, Francji, Irlandii, Hiszpanii, Litwy, Łotwy, Niemiec, Stanów Zjednoczonych i Włoch. W Światowych Dniach Młodzieży weźmie także udział około 400 polskich żołnierzy. Zanim jednak wojskowi pielgrzymi pojawią się w Krakowie, będą gośćmi Ordynariatu Polowego WP. Odwiedzą m.in. w Warszawie Katedrę Polową Wojska Polskiego, Muzeum Wojska Polskiego, Muzeum Powstania Warszawskiego i Muzeum Katyńskie. Zwiedzą Stare Miasto, Zamek Królewski i Wilanów. Zobaczą także Wadowice, Jasną Górę i obóz zagłady Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu.

BEZPIECZNI Z WOJSKIEM

Dla zapewnienia właściwego poziomu bezpieczeństwa uczestnikom Światowych Dni Młodzieży minister obrony powołał resortowy zespół ds. udziału resortu obrony narodowej w ramach wsparcia działań podmiotów krajowych odpowiedzialnych za zapewnienie bezpieczeństwa podczas ŚDM 2016. Kieruje nim gen. bryg. Andrzej Tuz z Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

jewództwa małopolskiego). W gotowości będą także dwa śmigłowce Mi-8 z 3 Grupy Poszukiwawczo-Ratowniczej z Balic wraz z ratownikami. 8 Baza ma ponadto kwaterować i żywić ponad 300 cywilnych zespołów ratownictwa medycznego.

Kierownictwo resortu obrony narodowej zobowiązało się także do zabezpieczenia terenu głównych uroczystości. Saperzy sprawdzą około 240 ha w rejonie kampusu Misericordiae, poszukując przedmiotów wybuchowych i niebezpiecznych. Żołnierze będą patrolować wyznaczone odcinki Wisły, a operatorzy GROM-u przeprowadzą szkolenia z dziedziny zagrożenia terrorystycznego z kadrą kierowniczą Małopolskiego Urzędu Wojewódzkiego, służb inspekcji i straży pożarnej. O bezpieczeństwo podczas Światowych Dni Młodzieży będzie także dbać 760 żandarmów. Dołączą oni do pododdziałów Po-

licji, Straży Granicznej, Biura Ochrony Rządu. Oprócz tego 360 żołnierzy zostanie wyznaczonych do kierowania ruchem pojazdów i pieszych, 100 będzie pomagało w budowie tymczasowych obiektów w rejonie uroczystości, a 200 wojskowych zorganizuje dziesięć punktów wydawania suchego prowiantu.

To jednak nie wszystko. Armia do 24 lipca rozstawi do 5 tys. namiotów typu NS, 7,5 tys. łóżek polowych i 1,5 tys. łóżek składanych. Zapewni także dziesięć cystern wodnych wraz z obsługą. Na tym zaangażowanie wojska w organizację ŚDM może się jednak nie skończyć. Jak informuje rzecznik prasowy ministra obrony narodowej, do resortu cały czas wpływają kolejne wnioski od komitetu organizacyjnego i wojewody małopolskiego o udzielenie wsparcia. Są one w trakcie procedowania. ■

KRZYSZTOF WILEWSKI

Wsparcie wojska

Organizacje proobronne działające w naszym kraju potrzebują nie tylko pomocy materialnej. Powinien dla nich powstać jednorodny program szkolenia podstawowego.

Jeszcze niedawno wojsko w Ostródzie kojarzyło się z przeszłością. W 2011 roku zlikwidowano ostatnią jednostkę wojskową stacjonującą w tym mieście – 2 Ośrodek Szkolenia Kierowców, który wcześniej jako 6 Ośrodek Szkolenia Specjalistów Samochodowych, a jeszcze wcześniej jako 6 Szkolny Pułk Samochodowy od 1958 roku stacjonował w kompleksie zwanym czerwonymi koszarami. Teraz wojsko wraca do Ostródy.

IDEA KONSOLIDACJI

W pierwszym tygodniu czerwca miasto zostało opanowane przez obronę terytorialną. Po pierwsze, na targach „Pro Defense” najnowsze wyroby dla nowo tworzonego rodzaju wojsk polskiej armii zaprezentowała ponad setka krajowych firm zbrojeniowych. Po drugie, na Kongresie Organizacji Proobronnych spotkali się członkowie ponad stu organizacji

paramilitarnych, które działają w naszym kraju, oraz przedstawiciele struktur tego typu z państw należących do NATO, m.in. z Litwy, Łotwy, Estonii i USA. Po trzecie, na zlot klas mundurowych przyjechało ponad ośmiuset uczniów z: Elbląga, Giżycka, Gródka, Węgorzewa, Białegostoku, Ciechnowic, Suwałk, Zambrowa, Radoryża Smolanego, Urli, Warszawy, Ostrołęki, Iwonicza, Krosna, Leżańska, Mielca, Rzeszowa, Bujnowa, Gronowa, Bircza, Zamościa, Lublina. Przez cztery dni młodzież na podostródzkim poligonie doskonaliła pod okiem instruktorów z organizacji proobronnych oraz jednostek wojskowych swoje umiejętności w strzelaniu i taktyce. Z nastolatkami spotkał się szef resortu obrony narodowej, Antoni Macierewicz. „To wy będziecie w obronie terytorialnej odgrywali najważniejszą rolę!”, zwrócił się do młodzieży minister.



BUDOWA ZAPLECZA

Z Waldemarem Zubkiem

o współpracy resortu obrony z organizacjami proobronnymi rozmawia Krzysztof Kowalczyk.

Jak resort obrony chce wpływać na organizacje proobronne w Polsce?

W żaden sposób nie możemy takim organizacjom nakazywać drogi rozwoju. Możemy natomiast, widząc ich zapał i energię, opiekować się nimi, koordynować ich działania,

podpowiadać, w jakim kierunku mogą pójść, tak by wesprzeć siły zbrojne. Jest zatem konieczne wypracowanie modelu ścisłej współpracy z takimi organizacjami.

A jak Pan widzi możliwość wspierania ich rozwoju w przyszłości?

Ministerstwo Obrony Narodowej już je wspiera, i to na kilka sposobów. Przede wszystkim pomagamy im merytorycznie i logistycznie, kiedy partnerzy społeczni zgłaszają swoje przedsięwzięcia do planów współpracy tworzonych na szczeblach dowódców jednostek

Organizatorem kongresu było Stowarzyszenie FIA – Fideles et Instructi Armis – Wierni w Goty pod Bronią. Karol Bandurski, prezes Stowarzyszenia, podkreśla, że celem spotkania było przede wszystkim pobudzenie nieco spowolnionej w ostatnim czasie integracji środowisk proobronnych. „Powołanie dwa lata temu Federacji Organizacji Proobronnych stworzyło płaszczyznę do konsolidacji. Proces ten jednak ostatnio mocno osłabł i liczymy, że uda się dać mu nowy impuls”, komentował Bandurski. I ten cel w Ostródzie udało się osiągnąć. Temat integracji stowarzyszeń i związków proobronnych zdominował bowiem pierwszy dzień obrad. Uczestnicy debaty nie kryli podczas gorących dyskusji swoich obaw i wątpliwości.

„Idea konsolidacji organizacji proobronnych jest piękna. Bo jedność ludzi działających w imię patriotycznych wartości nie może być oceniana inaczej. Jednak musimy się poważnie zastanowić, czy w ogóle jest możliwe scalenie ze sobą organizacji mających tak różne profile działania, jak nasze”, zastanawiał się Marek Matuła, komendant Związku Strzeleckiego „Strzelec” Józefa Piłsudskiego. Podkreślał też, że jego organizacja, choć jest strukturą proobronną i przygoto-



CZY JEST MOŻLIWE SCALENIE ORGANIZACJI, KTÓRE MAJĄ TAK RÓŻNE PROFILE DZIAŁANIA?

jest więc przede wszystkim podnoszenie wojskowych umiejętności”, podkreślał Marek Klasa, zastępca dowódcy Jednostki Strzeleckiej 1313 AON.

Uczestnicy debaty byli zgodni nie tylko w ocenie przeszkód stojących na drodze integracji środowisk proobronnych. Wszyscy wskazywali też na powody, dla których warto postawić na współpracę. „Mierzymy się z takimi samymi problemami, jeśli chodzi o wsparcie ze strony państwa i wojska. Wszędzie napotykamy taki sam mur biurokracji, labirynt nieżyciowych przepisów”, przyznawał jeden z komendantów strzeleckich. „Aby sprawnie działać, potrzebujemy wsparcia ze strony wojska i pań-

wuje swoich członków do pracy w służbach mundurowych, ma nieco inne zadania. „Strzelec» Józefa Piłsudskiego to organizacja społeczno-wychowawcza, która zajmuje się krzewieniem wartości patriotycznych wśród młodzieży”.

Obawa o różne cele przyświecające działającym w kraju organizacjom proobronnym przewijała się we wszystkich wystąpieniach. „Płaszczyzn do porozumienia jest bardzo wiele. Nasze zadania i cele jednak często są diametralnie różne. My zrzeszamy studentów i doktorantów największej uczelni wojskowej, Akademii Obrony Narodowej. Celem naszego działania

wojskowych. Dotyczy to np. udostępniania wojskowej bazy szkoleniowej.

Przykładem wsparcia merytorycznego będzie wysłanie oficera na prelekcję o Siłach Zbrojnych RP do szkoły z klasami mundurowymi czy przekazanie organizacjom proobronnym mienia ruchomego uznanego za zbędne. Organizacje mogą dostać np. mundury albo sprzęt wojskowy.

Kolejną formą wsparcia jest możliwość udzielania przez resort obrony pomocy finansowej w formie dotacji celowej na realizację zadania publicznego z zachowaniem procedur określonych w usta-

wie o działalności pożytku publicznego i o wolontariacie. Cyklicznie są ogłaszane otwarte konkursy ofert, na które organizacje mogą zgłosić swoje propozycje, czyli np. starać się o dofinansowanie szkoleń lub obozów.

Jaka rolę w tych kontaktach będzie odgrywało Pana biuro?

Rolą Biura ds. Proobronnych jest budowa zaplecza społecznego obrony terytorialnej. Będziemy się starali, żeby pojawiło się jak najwięcej osób wyszkolonych, zmotywowanych i nadających się do aktywności proobronnej lub służby w wojskach obrony terytorialnej.

Jakie wymagania musi spełnić taka organizacja, by mogła z wami współpracować?

Ważna jest część proceduralna. Dokument podstawowy, jakim jest statut organizacji proobronnej, nie może zawierać przeciwwskazań do współpracy i musi być uzgodniony z MON-em, ewentualnie muszą być wprowadzone do niego poprawki umożliwiające taką współpracę. Jeśli wszelkie wymagania proceduralne są spełnione, wówczas jest możliwe podpisanie porozumienia, na różnym poziomie, z ministrem obrony narodowej lub dowódcami jednostek wojskowych.

stwa. Chodzi nie tylko o pieniądze, bo te można zdobyć wewnątrz organizacji, np. w formie składek. Wsparcie rządowe polegające na udostępnieniu strzelnic, obiektów poligonowych oraz instruktorów jest nam jednak niezbędne do sprawnego i skutecznego szkolenia naszych członków”, uzupełniał Karol Bandurski.

IDA ZMIANY

Jest jednak spora szansa, że dzięki kongresowi uda się rozwiązać przynajmniej część problemów, jakie napotykają w swoim działaniu organizacje proobronne. Grzegorz Kwaśniak, pełnomocnik ministra obrony do spraw utworzenia obrony terytorialnej, który przedstawił uczestnikom spotkania planowaną strukturę, przewidziane uzbrojenie i zakładaną liczebność nowego rodzaju wojsk Sił Zbrojnych RP, zapowiedział, że MON pracuje nad rozwiązaniami prawnymi mającymi ułatwić funkcjonowanie organizacji proobronnych. Mają być m.in. zmienione przepisy, które regulują przekazywanie na potrzeby tego rodzaju struktur zbędnego mienia i sprzętu wojskowego. „Mnie nie trzeba opowiadać, jak trudno się współpracuje z armią. Wiem doskonale, jak wiele wysiłku trzeba było włożyć w to, aby zdobyć buty dla zakładanej przeze mnie organizacji strzeleckiej”, komentował i dodał, że zebrane w trakcie kongresu wnioski w sprawie nowelizacji przepisów trafią do stosownych komórek w resorcie obrony.

Zmiany ustaw i rozporządzeń to jednak nie koniec podjętych działań. Waldemar Zubek, dyrektor Biura ds. Proobronnych MON, zapowiedział w Ostródzie, że

dla członków organizacji proobronnych zostanie opracowany jednolity program szkolenia podstawowego. „Dziś każda organizacja szkoli się według swoich zasad. To nie jest złe, ale wojsko nie ma pewności, jakie zadania może jej powierzać”, mówił.

DOŚWIADCZENIA SĄSIADÓW

Zaletą Kongresu Organizacji Proobronnych był udział gości z kilkunastu państw NATO. Przewodniczący FIA, Karol Bandurski podkreślał, że ze względu na zagrożenia, do jakich przygotowują się członkowie rodzimych organizacji proobronnych, najbardziej wartościowe były rozmowy z przedstawicielami podobnych struktur z Litwy, Łotwy i Estonii. „Przygotowują się do walki z tym samym wrogiem co i my. Mamy więc o czym porozmawiać”, podkreślał Bandurski.

Ciekawe, że Litwini, Łotysze i Estończycy nie współpracują ze sobą zbyt blisko. Litwini np. ściślej kooperują z organizacjami z Ukrainy niż z podobnymi z Łotwy czy Estonii. Prawdopodobnie powodem jest to, że Estończycy mają jedną organizację, która działa na podobnych zasadach jak polska Liga Obrony Kraju. Litwini natomiast poszli w zupełnie innym kierunku. „Przygotowujemy się do wojny partyzanckiej. Od klasycznej jest armia, a od obrony terytorium jest obrona terytorialna”, mówił Ignac Babusis, reprezentujący liczący około 10 tys. członków Związku Strzelców Litewskich. ■

➤ O tym, jaki sprzęt zaprezentowano na targach, czytaj na stronach 74–76.

Na czym konkretnie polega procedura uzgadniania statutu?

Osoby pragnące założyć stowarzyszenie prowadzące działalność bezpośrednio związaną z obronnością albo bezpieczeństwem państwa są zobowiązane do przesłania projektu statutu stowarzyszenia do Departamentu Edukacji, Kultury i Dziedzictwa MON. Następnie wniosek jest weryfikowany pod kątem zgodności z prawem.

Czy to wszystko?

Są też inne warunki, które trzeba spełnić, ale nie tak istotne. Zwracamy uwagę na uporządkowanie spraw związanych z umun-

duowaniem i ujednolicenie oznaczeń. Podstawą umundurowania jest polski mundur polowy i czasami społeczeństwo ma problemy z odróżnieniem, kto jest żołnierzem, a kto członkiem organizacji proobronnej. W tym wypadku dla obu stron jest ważne rozporządzenie ministra obrony, wprowadzające wytyczne porządkujące sprawy, o których mówimy. Widzimy, że organizacje się do niego stosują. Należy jednak pamiętać, że oznaczenie organizacji proobronnych zgodnie z rozporządzeniem nie oznacza braku możliwości wprowadzania własnych oznaczeń przez organizację.

Jak Pan ocenia przygotowanie Polaków na wypadek sytuacji konfliktowych?

Tego typu wiedza w społeczeństwie powinna być dużo większa. Okres pewnego spokoju i stabilizacji spowodował, że dziś mało kto potrafi rozróżnić sygnały alarmowe. Musimy teraz pracować nad tym, aby znajomość zasad bezpieczeństwa w razie jakiegokolwiek ataku i umiejętność reagowania na sytuacje kryzysowe były lepsze. ■

WALDEMAR ZUBEK
jest dyrektorem Biura
ds. Proobronnych MON.

ST. KPR. ALAN SZTORC


Data i miejsce urodzenia:

24 czerwca 1980 roku,
Kolbuszowa.

W wojsku służy od: września 2002 roku.

Tradycje wojskowe: brak.

Edukacja wojskowa: Szkoła Podoficerska Wojsk Lądowych w Poznaniu.

Zajmowane stanowisko: dowódca drużyny rozpoznawczej.

Jednostka wojskowa: 1 Batalion Strzelców Podhalańskich, 21 Brygada Strzelców Podhalańskich.

Zostałem żołnierzem, bo: było to moim marzeniem z dzieciństwa. Dziś wiem, że podjąłem dobrą decyzję, bo armia pozwala mi realizować zainteresowania, dostarcza emocji. A jednocześnie zapewnia przyzwoite warunki bytowe.

Moje największe osiągnięcie: każde osiągnięcie związane ze służbą wojskową jest dla mnie ważne, m.in. zdobycie pierwszej lokaty na kursie podoficerskim, ukończone kursy i misje. Najważniejszy jest jednak stan obecny, wypracowany przez całą służbę. Myślę, że największe osiągnięcia są jeszcze przede mną.

Gdybym nie został żołnierzem, byłbym dziś: kaskaderem.

Co robię po służbie: gram na gitarze elektrycznej, jeżdżę na dłuższe wyprawy rowerowe, czytam literaturę science fiction, dbam o sprawność fizyczną i sportowo się rozwijam.



Przełomowe wydarzenie w życiu: służba zasadnicza w kompanii rozpoznawczej 21 BSP.

Moja książka życia: „Gra Endera” Orsona Scotta Carda.



Misje i ćwiczenia: V i IX zmiana PKW Irak, VI i XIII zmiana PKW Afganistan. Ukończyłem poza tym Basic Winter Mountain Training Course w Gruzji i zaawansowany kurs instruktorski SERE.

Najlepsza broń: dobry plan i zaskoczenie dają lepsze rezultaty niż niejedna broń. Gdybym jednak musiał wybrać, to byłby to HK416 kalibru 5,56 mm oraz Glock-17 kalibru 9 mm.

Niezapomniany film: „Łowca Androidów” w reżyserii Ridleya Scotta.

W umundurowaniu polskiego żołnierza podoba mi się: przede wszystkim jego funkcjonalność. Dobrze chroni przed czynnikami zewnętrznymi i zapewnia komfort użytkowania. Warto byłoby jedynie odrobinę rozjaśnić kamuflaż.

Gdybym mógł zmienić coś w wojsku: wprowadziłbym system oceniania na wzór obowiązującego w armii amerykańskiej. Transparentny, punktujący konkretne osiągnięcia i doświadczenia. Dzięki temu żołnierze mieliby przekonanie, że od tych elementów zależy ich awans. To z kolei przełożyłoby się na motywację do samodoskonalenia.

OPRAC. MAGDALENA KOWALSKA - SENDEK
FOT. KONRAD RADZIK / 21 BSP

MISTER MASTER

Z Konradem Madejem

**o szkoleniu na samolotach M-346 Master we Włoszech
i późniejszej eksploatacji tych maszyn w Polsce rozmawia
Magdalena Kowalska-Sendek.**

Lotnicze doświadczenie zdobywał Pan jako pilot samolotu TS-11 Iskra i instruktor. Jest Pan pierwszym Polakiem, który uzyskał uprawnienia instruktorskie na amerykańskim T-38C. Jako pierwszy usiadł Pan też za sterami M-346. Czy zdobyte wcześniej umiejętności pomogły Panu w szkoleniu na masterach?

Za sterami samolotu TS-11 Iskra spędziłem 2 tys. godzin, zdobywając wszystkie możliwe uprawnienia, w tym także jako pilot doświadczalny. Dwa lata temu podczas szkolenia w Stanach Zjednoczonych uzyskałem uprawnienia instruktorskie na samolocie T-38C. Zbierane przez lata doświadczenia stanowią więc doskonałe podstawy do kolejnego etapu w mojej lotniczej karierze, jakim jest szkolenie na M-346. Oczywiście zadania wykonywane na masterach są bardziej skomplikowane i kompleksowe niż np. na iskrach, ale podstawowe umiejętności nabyte na poprzednich typach samolotów procentują.

Niektórzy sądzą, że gdy się ma duże doświadczenie w pilotowaniu samolotów wyposażonych w klasyczną awionikę, można mieć problemy ze szkoleniem na maszynach w cyfrowym standardzie glass cockpit...

Absolutnie nie jest to prawda. Kabiny w wersji glass cockpit są tak skonstruowane, by można było je obsługiwać intuicyjnie. Już po paru lotach szkoleniowych, wspartych treningami na symulatorach, przechodzi się do nowego standardu w sposób naturalny. Paradoksalnie, większy problem może być w odwrotnej sytuacji, gdy po przeszkoleniu na wersji glass cockpit pilot przechodzi na samolot wyposażony w klasyczną awionikę. Ale to chyba wynika z natury człowieka – łatwo jest bowiem przyzwyczaić się do wygodnych i intuicyjnych

rozwiązań, trudniej zaś wrócić do tych skomplikowanych i wymagających.

Kontrakt na zakup samolotów szkolenia zaawansowanego M-346 Master obejmował także przeszkolenie lotników. Jak zostało ono zorganizowane?

Na początku cały personel musiał zaliczyć kurs językowy. Kontrakt zakłada przeszkolenie wszystkich pilotów do poziomu ICAO [Organizacja Międzynarodowego Lotnictwa Cywilnego, International Civil Aviation Organization], w tzw. operational English na poziomie 4, w certyfikowanym włoskim centrum szkolenia językowego sił powietrznych w Loreto. Tylko te osoby, które uzyskają certyfikat potwierdzający ukończenie kursu, zostają dopuszczone do wykonywania lotów we włoskiej przestrzeni powietrznej. Takie obostrzenie dotyczy nie tylko obcokrajowców, ale też wszystkich Włochów. Oczywiście kurs jest dla pilotów doskonałą okazją do ugruntowania zdobytej wcześniej wiedzy, bo każdy z nas ma odpowiednie certyfikaty, uprawniające do używania języka angielskiego na poziomie operacyjnym. Po czterotygodniowej nauce zdaliśmy egzamin, tzw. test of aviation English for flight crew.

Po części językowej rozpoczęliście szkolenie teoretyczne. Ile czasu spędził Pan w salach wykładowych?

Szkolenie teoretyczne trwało cztery tygodnie i obejmowało naukę budowy oraz funkcjonowania wszystkich systemów samolotu, ze szczególnym uwzględnieniem działania w sytuacjach awaryjnych. Zajęcia nie były jednak prowadzone metodą tradycyjną. Uczyliśmy się z wykorzystaniem systemu CBT, czyli Computer Based Training. Za pomocą narzędzi multimedialnych,

takich jak prezentacje, animacje, interaktywne testy, przeprowadza się pilota przez kolejne części szkolenia teoretycznego. Oczywiście, w czasie sesji z CBT zawsze istnieje możliwość podjęcia dyskusji z instruktorem, który jest obecny na sali. Ten sposób kształcenia uczy przede wszystkim systematyczności, samodzielności i obowiązkowości, jednocześnie standaryzując szkolenie.

Zatem dopiero po dwóch miesiącach nauki usiadł Pan za sterami mastera. To chyba najbardziej wyczekiwany przez pilotów moment szkolenia...

Teoria jest podstawą do dalszej działalności, ale prawdziwą radość przynosi właśnie latanie. Etap praktyczny jest podzielony na trzy główne części: CT, IFF oraz IPUG, a każda jest wspierana intensywnym treningiem na symulatorze.

Co się kryje pod tymi skrótami?

CT [Conversion to Type] to przeszkolenie na nowy typ samolotu. Podczas nauki wykonywaliśmy loty z widocznością, tzw. VFR [Visual Flight Rules]. Ćwiczyliśmy starty i podejścia do lądowania, loty do wyznaczonej strefy. Wszystko po to, by opanować pilotaż samolotu. Poznawaliśmy też możliwości szkoleniowe maszyny od strony taktycznej. Lataliśmy również w dzień i w nocy według przyrządów.

Kolejny etap, czyli IFF [Identification Friend or Foe], jest nieco bardziej specjalistycznym szkoleniem z taktyki i użycia uzbrojenia. On właśnie trwa i uczymy się taktyki walki powietrznej, wykorzystania radaru oraz zastosowania uzbrojenia powietrze–powietrze i powietrze–ziemia.

Ostatnim etapem jest szkolenie IPUG [Instructor Pilot Upgrade], na poziomie instruktorskim.

Ile lotów wykonał Pan za sterami mastera?

Pierwszy etap nauki zakłada, że każdy z pilotów wykona dziesięć lotów i w powietrzu spędzi 15 godzin. Na początku uczyli nas piloci firmy Finmeccanica. Później każdy z lotników w powietrzu szkolił się przez 50 godzin →



i trenował pod okiem specjalistów z włoskich sił powietrznych. Program, którym zostaliśmy objęci, nie zakłada wykonywania samodzielnych lotów na terenie Włoch. Chodzi o to, że włoska wersja mastera różni się od tej, która będzie używana w Polsce. Ich M-346 ma przygotowywać pilotów na potrzeby programu Eurofighter i F-35, a nasz – na F-16. Stąd różnice w wyposażeniu maszyn i ich konfiguracji. Dlatego samodzielne loty będą się odbywać tylko na polskiej wersji, zaraz po dostarczeniu samolotów.

Czy 65 godzin nalogu pozwala na dobre zapoznanie się z maszyną nowego typu?

Myślę, że tak. Proszę pamiętać, że mamy do czynienia z doświadczonymi pilotami, którzy nie uczą się od podstaw, lecz jedynie przeszkalają na nowy typ. Samolot jest elementem całego systemu, który oprócz samej maszyny tworzą symulatory, naziemny system szkolenia, zintegrowany system zarządzania szkoleniem oraz logistyczny system zarządzania szkoleniem. Jak więc widać, jest to dość skomplikowane.

Jakiego rodzaju zadania może pilot przećwiczyć z wykorzystaniem symulatora M-346? Czy jest możliwe symulowanie scenariuszy taktycznych na ziemi i w powietrzu?

Wirtualne ćwiczenie scenariuszy taktycznych i różnych sytuacji bojowych nie ogranicza się tylko do symulatorów. Istotnym elementem szkolenia jest także ETTS [Embedded Tactical Training System]. Służy on do kreowania sił własnych i przeciwnika, na ziemi i w powietrzu, w samolocie i na symulatorze. W zależności od etapu szkolenia pilot może wykonać lot bojowy z użyciem konkretnego uzbrojenia, nie wykorzystując go realnie. M-346 potrafi odegrać zagrożenia na ziemi i w powietrzu, zobrazować sytuację w kabinie oraz pozwala pilotowi na reakcję. Ten zaś ma możliwość wykonywania równocześnie ataków na symulowane cele w trybie powietrze–powietrze oraz powietrze–ziemia. Jeden samolot



ARCH. KONRADA MADEJA

CHCIELIBYŚMY, ABY NASZ SAMOLOT NAZYWAŁ SIĘ BIELIK. NAWIĄZALIBYŚMY DO TRADYCJI NADAWANIA NAZW PTAKÓW DRAPIEŻNYCH

może wykonać zadanie przewidziane np. dla sześciu maszyn, pokonując obronę przeciwlotniczą, której w rzeczywistości nie ma potrzeby angażować, i kończąc scenariusz atakami na cele nawodne lub naziemne, również wygenerowane przez ETTS.

A jak wrażenia z pierwszego realnego zadania na masterze?

Pierwszy lot na każdym nowym samolocie jest niezapomniany. Myślę jednak, że szczególnie na tym. Przede wszystkim pomyślałem o tożsamości szkolenia symulatorowego z tym w powietrzu. To co widziałem i robiłem w powietrzu oraz na ziemi w trakcie wykonywania pierwszego zadania, było dokładnym odzwierciedleniem sytuacji widzianej uprzednio na symulatorach.

Czy M-346 to wymagająca maszyna?

W eksploatacji jest bardzo przyjazna dla pilota. Dzięki czytelnemu interfejsowi – prezentacji danych, ergonomii kabiny – pozwala na bezproblemowe interpretowanie docierających informacji. Pilot czuje

się w kabinie jak jej integralny element. Wszystkich zadziwia też przy pierwszym kontakcie z samolotem energia, jaką się w nim czuje. Moc silników zapewnia osiąganie dużych przyspieszeń i przeciążeń, co jest wyraźnie odczuwalne szczególnie w czasie pierwszego startu. Piloci nazwali ten efekt „windą do nieba”. Nie da się ukryć, że pilotując M-346, czułem po prostu wielką radość. Cieszę się, że to właśnie do mnie uśmiechnęło się szczęście i mogę brać udział w tak epokowym dla polskich sił powietrznych projekcie.

Czy master ma wady?

Zacznę od zalet... Przede wszystkim trzeba wskazać na nowoczesność, dzięki czemu z powodzeniem posłuży on do szkolenia pilotów samolotów wielozadaniowych. Pozwoli to przesunąć niektóre elementy nauki z eskadr bojowych do jednostki szkolnej. W ten sposób pilot po przygotowaniu na M-346 będzie potrzebował znacznie mniej czasu niż obecnie na osiągnięcie pełnej

gotowości operacyjnej w jednostce bojowej. To z kolei przełoży się na opłacalność ekonomiczną. Dzisiejsze szkolenie na samolotach bojowych jest znacznie droższe niż na maszynach szkolnych mających takie możliwości jak M-346. Włosi oceniają, że na 180 godzin, które pilot bojowy musi wylatać w ciągu roku na samolocie F-35, 80 można wykonać na M-346. Już obecnie odbywają pierwsze loty razem z włoskimi eurofighterami w roli agresorów, co również odciąża jednostki bojowe, pozwalając im się skupić na działalności operacyjnej.

Niewątpliwą zaletą tej maszyny jest kompatybilność z nowoczesnymi samolotami bojowymi w aspekcie zadań, do których może przygotowywać. Umożliwia np. szkolenie z wykorzystaniem amunicji precyzyjnej i nieprecyzyjnej oraz kierowanych pocisków rakietowych średniego i małego zasięgu. Dodatkowo atutem tego systemu szkolenia jest liczba i jakość symulatorów. Ale najbardziej widoczną zaletą, którą dostrzega każdy pilot po wykonaniu paru lotów, jest manewrowość M-346 i dynamika w powietrzu – dzięki temu ten samolot pod względem możliwości zbliża się do maszyn bojowych czwartej i piątej generacji.

Co jest natomiast wadą? Chcielibyśmy mieć więcej masterów – osiem samolotów powinniśmy traktować jako początek systemu w Polsce. A tak naprawdę to dopiero poznajemy ten samolot, tak więc na konstruktywne uwagi przyjdzie jeszcze czas.

Porozmawiajmy o wykorzystaniu masterów w Polsce. Czy ten samolot będzie rzeczywistym wsparciem i rozwinięciem narodowego systemu szkolenia na odrzutowcach? Osiem egzemplarzy nam wystarczy?

M-346 stanie się głównym elementem narodowego systemu szkolenia na samolotach odrzutowych. Dzięki tym maszynom będziemy mogli stworzyć kompleksowe rozwiązania w tej dziedzinie z wykorzystaniem możliwości narodowych. Pierwszy etap systemu to szkolenie w Wyższej Szkole Oficerskiej Sił Powietrznych, potem – podstawowe szkolenie na PZL-130 Orlik, kolejno – zaawansowane szkolenie na M-346 i przeszkolenie na samolot docelowy w jednostce bojowej. Jest to koncepcja całościowa, pozwalająca przygotować w kraju pilotów maszyn F-16. Umożliwi uniezależnienie się od szkolenia w USA, które nie zawsze jest dla nas osiągalne, tak jak byśmy sobie tego życzyli. Liczba kupionych samolotów pozwoli zaspokoić nasze potrzeby szkoleniowe, ale jeżeli planujemy rozwinąć ten system na skalę europejską, to musimy pomyśleć o jej zwiększeniu. Odnosi się to również do modernizowania konstrukcji w kierunku lekkiego samolotu wsparcia pola walki – należałoby wziąć pod uwagę dokupienie kolejnych eg-

zemplarzy. Obecnie jesteśmy jednak w fazie wdrażania systemu w Polsce, tak więc w tych analizach trzeba będzie uwzględniać nasze interesy narodowe oraz perspektywy w kontekście ekonomicznym.

Mówi Pan, że M-346 ułatwi i uzupełni program szkolenia. Czy może Pan podać jakieś konkretne przykłady? Czy wdrożenie masterów zmieni także sposób szkolenia podchorążych w Szkole Orląt?

Szkolenie podchorążych odzwierciedli zapotrzebowanie jednostek bojowych. Oceniam, że pakiet szkoleniowy obejmie 100 godzin spędzonych w powietrzu. Precyzyjnie będzie można określić ten czas po pierwszych doświadczeniach z polską wersją samolotu. Podchorążowie zapoznają się z podstawami nowoczesnej taktyki, wykorzystania nowego uzbrojenia, w tym kierowanego. Przede wszystkim zaś zaczną działać w skomplikowanym środowisku bojowym, gdzie będą musieli się nauczyć zarządzać informacją. Umiejętności nabyte w czasie szkolenia na M-346 pozwolą zmniejszyć liczbę godzin przeznaczonych na naukę latania na F-16. Docelowo chcielibyśmy stworzyć profil uczenia pilotażu na M-346 w sposób, który ograniczyłby do minimum wykorzystanie samolotów F-16 w początkowej fazie szkolenia w jednostce bojowej. Innym rozpatrywanym aspektem jest możliwość prowadzenia części zajęć dla pilotów wyszkolonych i wykonujących loty na F-16.

Czy piloci wyszkoleni na F-16, wracając na trening na masterze, nie będą się uwsteczniać?

Zdecydowanie nie. Możliwości związane z tym samolotem są duże, np. wykorzystywanie M-346 do podtrzymania nawyków już wyszkolonych pilotów, prowadzenie wyspecjalizowanych szkoleń z nowej taktyki czy użycia nowoczesnego uzbrojenia, a także nowego rodzaju amunicji, zanim się usiądzie za sterami F-16.

Master to nazwa włoskiej wersji samolotu. Czy wiadomo, jak będzie nazywała się nasza maszyna?

Chcielibyśmy, aby nasz samolot nazywał się bielik. Nawiązalibyśmy do tradycji nadawania nazw ptaków drapieżnych. PZL-130 to orlik. Na nim odbywa się szkolenie wstępne pilotów. Tak więc podchorążowie szkoliliby się początkowo na orliku, by przesiąść się na bielika i dopełnić swoich marzeń na jastrzębiu w jednostce bojowej. Myślę, że jest to logiczny ciąg nazw. ■

Ppłk pil. dr KONRAD MADEJ jest zastępcą dowódcy grupy działań lotniczych 41 Bazy Lotnictwa Szkolnego w Dęblinie.

POZNAJCIE
Z NAMI SPECYFIKĘ
SŁUŻBY ŻOŁNIERZY W RÓŻ-
NYCH JEDNOSTKACH POLSKIEGO
WOJSKA. W CYKLU „WOJSKO
OD KULIS” PRZECZYTAJCIE O MARY-
NARZACH, PILOTACH,
LOGISTYKACH, ARTYLE-
RZYSTACH, PRZECIW-
LOTNIKACH CZY
CHEMIKACH.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

Chemik w moro

Byli na wojnie w Iraku, brali udział w misji afgańskiej, osłaniali szczyt sojuszu północnoatlantyckiego i mistrzostwa Europy w piłce nożnej, teraz pełnią dyżur w Siłach Odpowiedzi NATO.

Wystarczy pół godziny pracy w kombinezonie ochronnym, z maską przeciwgazową na twarzy i butlą wypełnioną powietrzem na plecach, aby paść ze zmęczenia. Zwłaszcza latem, kiedy temperatura oscyluje w granicach 30°C, a tutaj trzeba coś dźwigać, ciągnąć, przenosić i jeszcze radzić sobie ze stresem. Pot leje się z ciała strumieniami, serce wali jak młot, oddech staje się coraz szybszy, cięższy. „Po każdym takim wysiłku żołnierze chudną po 2–3 kg”, przyznaje kpt. Remigiusz Mierzczała, dowódca zespołu ratownictwa chemicznego w 4 Brodnickim Pułku Chemicznym. Za chwilę zobaczę niewielką część tego, czym się zajmują jego ludzie.

IPERYT CZY AMONIAK?

W fabryce, która będzie dziś „podgrywana” przez dwupoziomowe pomieszczenie w jednym z budynków pułkowych koszar, doszło do awarii. Wyciekły szkodliwe substancje, nastąpiła reakcja chemiczna, uszkodzonych zostało dwóch pracowników. Dyrekcja zakładu niewiele więcej potrafi powiedzieć, wiadomo jednak, że sama sobie z problemem nie poradzi. Na pomoc wzywa armię. Wkrótce na miejscu pojawiają się wojskowy star i fiat ducato, a w nich sprzęt specjalistyczny oraz żołnierze z zespołów ratownictwa i pobierania prób. Łącznie: 13 osób.

Na placu przed fabryką rozkładają punkt likwidacji skażeń, a kilka minut później pierwsi dwaj żołnierze zaczynają wkładać na siebie kombinezony, maski, butle. „Nie wiemy, co nas czeka w środku, dlatego musimy być przygotowani na każdą ewentualność”, podkreśla kpt. Mierzczała. „W rejon działania żołnierze zawsze wchodzi parami. Gdyby jeden zasłabł, drugi mu pomoże”, dodaje. Ścisła współpraca zaczyna się jeszcze na placu. Każdy z żołnierzy sprawdza, czy kolega dobrze włożył kombinezon, czy nie ma w nim żadnych nieszczelności, czy maska dobrze przylega do twarzy. Wreszcie ruszamy: w dół po stromych schodach, prosto w półmrok

piwnicy, dalej po metalowych podestach, w końcu trafiamy na dwie podejrzane wyglądające beczki. W ruch idą detektory AP4RC, które pokażą, jakie substancje skażyły halę. Czy w powietrzu unosi się iperyt? A może opary chloru lub amoniaku?

Specjaliści z zespołu ratownictwa mogą pozostać w pomieszczeniu przez pół godziny, góra 40 minut. Na tyle wystarczy powietrza w butlach. Po wyjściu stamtąd ich kombinezony są dokładnie odkażane przy rozstawionych na placu stołach. Potem żołnierze przechodzą jeszcze przez bramkę, gdzie ich ubiory są spryskiwane wodą. W skrajnych wypadkach odzież może zostać nawet poddana utylizacji.

Tymczasem żołnierzy z zespołu ratownictwa zastępują specjaliści od pobierania prób. Do skażonej hali wchodzi z przybornikiem pełnym szklanych naczyń. Wypełnią je szkodliwymi substancjami. Dzięki krótkofalówkom żołnierze przez cały czas utrzymują kontakt z kolegami pozostającymi na zewnątrz. Każdy ich krok jest zapisywany w tzw. dzienniku działań. To na wypadek, gdyby coś poszło nie tak. Analiza zapisów pozwoli ustalić, co się stało, a w przyszłości pomoże uniknąć ewentualnych błędów.

Kiedy żołnierze ostatecznie się przekonają, z jakim związkiem chemicznym mają do czynienia, zaczną likwidować źródło skażenia – zbierać rozlane substancje, wieźć hale, wywozić beczki. Wiadomo będzie, co z nimi począć, a przede wszystkim, w jaki sposób pomóc poszkodowanym.

CIEŃ WIELKIEJ WODY

„Jeszcze do niedawna byliśmy szkoleni głównie po to, by przeciwdziałać skutkom ataku bronią masowego rażenia. Teraz coraz częściej musimy reagować na zagrożenia związane z infrastrukturą czy klęskami żywiołowymi”, przyznaje ppłk Marek Kurkowiec, zastępca dowódcy 4 Brodnickiego Pułku Chemicznego. Tak było chociażby w ubiegłym roku, kiedy w fortach na warszawskim Bemowie spacerowiczka odkryła kilkadziesiąt butli na nie-



4 BRODNICKI PUŁK CHEMICZNY

ARCH. 4 PUŁKU CHEMICZNEGO

Początki brodnickiego pułku sięgają 1956 roku. Wówczas to decyzją resortu obrony została utworzona 51 Kompania Rozpoznania Chemicznego i Odkazania Uzbrojenia. Stacjonowała w Grupie koło Grudziądza. Rok później rozrosła się do batalionu, który został przeniesiony do Torunia. W skład nowej jednostki wchodziła jedna kompania rozpoznania skażeń i dwie zajmujące się odkazaniem uzbrojenia. Kolejny etap rozpoczął się w 1961 roku. Jednostkę przekształcono wówczas w Batalion Zabiegów Specjalnych i Rozpoznania Skażeń. Dwa lata później trafił on do Brodnicy. W 1995 roku batalion został Pułkiem Obrony Przeciwichemicznej, w 2001 roku zaś zmienił nazwę na 4 Pułk Chemiczny. 20 maja 1995 roku chemicy otrzymali sztandar ufundowany przez mieszkańców, patrona, którym został przedwojenny prezydent Polski Ignacy Mościcki, z wykształcenia... profesor chemii, a także tzw. miano wyróżniające. Odtąd w nazwie figuruje przymiotnik „Brodnicki”,

który jeszcze mocniej wiąże jednostkę z miejscem stacjonowania. W 1995 roku data pułkowego święta została wyznaczona właśnie na 20 maja. Tego dnia świętował 67 Pułk Piechoty, który przed wojną był związany z Brodnicą.

Żołnierze 4 Pułku wielokrotnie zapisałi się w historii polskiej armii.

W 2003 roku wzięli udział w drugiej wojnie w Iraku, osiem lat później dwie sekcje obrony przeciwichemicznej pojechały na misję do Afganistanu. Pułk dwa razy wydzielał też batalion do Sił Odpowiedzi NATO. Pierwszy dyżur żołnierze pełnili w 2009 roku, drugi rozpoczął się 1 stycznia i potrwa do końca grudnia 2016 roku. Od 2012 roku brodnickim pułkiem dowodzi płk Andrzej Żmuda. Podlega mu też 6 Batalion Chemiczny Sił Powietrznych w Śremie.



mieckie i rosyjskie gazy bojowe z czasów I wojny światowej. Chemicy przebadali znalezisko, zidentyfikowali je i pomogli w unieszkodliwieniu.

W 2015 roku specjaliści z Brodnicy pracowali również w Świętoszowie. Podczas porządkowania posowieckiego poligonu odkryto tam beczki z tajemniczym białym proszkiem. Widniał na nich napis w języku rosyjskim: „śmiertelna trucizna”. Wojewoda dolnośląski powołał sztab kryzysowy i poprosił o pomoc wojsko. Żołnierze zbadali substancję w laboratorium mobilnym. Okazało się, że to mieszanka pozorująca broń chemiczną, wykorzystywana do ćwiczeń. Beczki trafiły

do hermetycznych pojemników. Zostały wywiezione z poligonu i poddane utylizacji. Prawdziwa trucizna była za to w 200-litrowym pojemniku, który sześć lat wcześniej znaleźli bezdomni w Bornem Sulimowie. Zawierał iperyt. Wojskowi chemicy odkazili teren, a beczkę unieszkodliwili.

Starsi żołnierze do dziś wspominają 1997 rok i wielką powódź, która nawiedziła południowe rejony Polski. Kiedy woda opadła, specjaliści z Brodnicy pojechali na Dolny Śląsk. „Trzeba było odkazić całe miejscowości: drogi i place, budynki mieszkalne, zabudowania gospodarcze, maszyny. Żołnierze nawet wyciągali z gospodarstw padłe ➔



NIE DZIAŁAMY NA PIERWSZEJ LINII, Z REGUŁY POZOSTAJEMY W CIENIU. ALE STANOWIMY WAŻNE OGNIWO KAŻDEJ ARMII

zwierzęta. A wszystko po to, by zapobiec epidemii”, opowiada ppłk Kurkowicz. „Skala zniszczeń okazała się ogromna, w pracy trzeba było zaangażować naprawdę potężne siły”, dodaje. W takich wypadkach chemicy ściśle współpracują z cywilną administracją, samorządami, strażą pożarną. Niezależnie jednak od tego ich główne zadania nadal pozostają ściśle związane z armią i polem walki.

LABORATORIUM NA PLACU BOJU

Długo pozostają niewidoczni wśród wysokiej trawy i kęp krzaków, które porastają lekko pofałdowany teren. Maskującą siatkę widzę dopiero wówczas, gdy mam ją na wyciągnięcie ręki. Dosłownie. Siatka pokrywa opancerzony wóz BRDM. Oto posterunek obserwacji skażeń. Obsługuje go trzech ludzi. Śledzą zmiany na niebie i co pół godziny przeprowadzają pomiary za pomocą specjalistycznego sprzętu. W ten sposób dowiadują się, czy okolica nie została skażona substancjami chemicznymi (tu są pomocne urządzenia PChR, PPChR, GSA 12) lub promieniowaniem po wybuchu bomby atomowej (tu pomogą DP 75 i DPS-68). Kilkadziesiąt metrów dalej po-

nad trawy wystaje przenośny zestaw meteorologiczny. Mierzy kierunek i siłę wiatru, a także temperaturę 0,5 m i 2 m nad ziemią. „Dzięki niemu możemy określić, jak się przemieszczają masy powietrza. To pozwala oszacować zagrożenie i skutki ataku”, tłumaczy kpr. Wiesław Potajczuk, dowódca drużyny rozpoznania skażeń.

Załoga BRDM może prowadzić pomiary tak jak tutaj – stacjonarnie, ale też kiedy pojazd jest w ruchu – wprost z jego wnętrza. Skażone tereny oznacza chorągiewkami.

INSTALACJE DO ODKAŻANIA LUDZI, SPRZĘTU CZY DRÓG, WOZY BOJOWE Z PRZYRZĄDAMI DO WYKRYWANIA SKAŻEŃ CHEMICZNYCH I PROMIENIOWANIA, URZĄDZENIA DO STAWIANIA ZASŁON DYMNYCH

to podstawowe wyposażenie, z którego korzystają żołnierze 4 Brodnickiego Pułku Chemicznego. Służący tam chemicy mają do dyspozycji np. instalacje IRS-2C (M) zamontowane na ciężarówkach Star 266. Podstawowa część zestawu to cysterna o pojemności 3650 m³, w której można przygotowywać specjalistyczne roztwory, ale którą można też napęlić zwykłą wodą. Pojazd porusza się, zraszając teren odpowiednio dobranymi substancjami. Szerokość odkazanego pasa wynosi 5 m, wydajność zaś instalacji została obliczona na 90 dm³/min. IRS-2C (M) służy do dezaktywacji, dezynfekcji oraz odkazania sprzętu bojowego i transportowego,

utwardzonych nawierzchni, np. dróg czy placów, a także budynków i mostów. Załoga pojazdu składa się z dwóch osób: kierowcy oraz dowódcy.

Wóz rozpoznania skażeń chemicznych i promieniotwórczych BRDM-2RS został zaprojektowany w ZSRR. To maszyna wyposażona w 140-konny silnik, pancerz chroniący przed odłamkami (w razie potrzeby również szyby pojazdu można nakryć metalowymi płytami), karabin maszynowy PKT kalibru 7,62 mm, przede wszystkim zaś specjalistyczne oprzyrządowanie. BRDM potrafi pływać, ma też odporne na przebicie opony. Jest wykorzystywany m.in. do pomiaru mocy promieniowania, wykrywania środków trują-

cych, określania parametrów eksplozji jądrowych czy pobierania próbek. Swoje zadania może wykonywać zarówno stacjonarnie, jak i w marszu. Jego załoga składa się z trzech osób.

Generator dymu GD-2 zamontowany na starze służy do stawiania zasłon maskujących własne wojska. Może on pracować zarówno wówczas, gdy ciężarówka stoi, jak i w czasie ruchu. Pojemność zbiornika z substancjami, które służą do wytwarzania dymu, wynosi 2400 dm³. Instalacja może działać bez uzupełniania zapasów przez trzy godziny i w tym czasie postawić zasłonę długą na 150 m i szeroką na 1500 m. Generator obsługują dwaj żołnierze. ■

Sam wóz daje spore możliwości: potrafi pływać, forsować pagórki i rowy. Został wyposażony w trudne do przebicia opony oraz karabin kalibru 7,62 mm i zapas 2 tys. pocisków. „Możemy działać samodzielnie, ale też w plutonie. Jeśli wyjeżdżamy w teren większą formacją, posterunki zostają rozstawione co 5–7 km”, tłumaczy kpr. Potajczuk. Wszystkie informacje, które zbierze załoga, dzięki zamontowanym w wozie systemom łączności wędrują dalej, do dowództwa. A ono decyduje o dalszych działaniach.

W takich wypadkach sytuacja zwykle jest skomplikowana. Pierwsza rzecz: trzeba działać szybko. Kolejna jednak: należy zebrać i zweryfikować jak najwięcej informacji. Kiedy chodzi o zneutralizowanie niebezpiecznych znalezisk, pomocne okazuje się akredytowane laboratorium. W warunkach bojowych zazwyczaj nie ma jednak na to czasu. I tu przydaje się zamontowane na ciężarówce mobilne laboratorium chemiczno-radiometryczne. Kiedy wchodzę do jego wnętrza, momentalnie znajduję się w innej rzeczywistości. Na zewnątrz zielone namioty, żołnierze w dwuszeregu, padające ponad ich głowami ko-

mendy. Tutaj z kolei cisza, sterylna czystość, białe fartuchy i fiolki pełne odczynników.

„Próbka zawierająca np. skażony grunt jest podawana z zewnątrz wprost do dygestorium, czyli sterylnej komory”, tłumaczy por. Bogumiła Trzebiatowska, kierownik laboratorium. Można ją badać, wkładając ręce w specjalne rękawy. Potem próbka wędruje do komory laminarnej, gdzie jest poddawana kolejnym zabiegom. Trwa to tak długo, aż eksperci ostatecznie potwierdzą, jakiego środka bojowego użył nieprzyjaciel lub jaka jest moc promieniowania.

DROGA CZYSTA

Tymczasem jakieś 2 km dalej, na placu ćwiczeń nieopodal koszar, rozpoczyna się wielkie odkazanie dróg, którymi będzie się poruszać wojsko. Do akcji wkraczają zamontowane na ciężarówkach Star instalacje rozlewcze IRS-2C (M). Ich głównym elementem są cysterny oraz zainstalowane z przodu pojazdu zraszacze. Żołnierze zasiadający w sfoferce muszą mieć na sobie kombinezony ochronne.



Wszystko to mam okazję oglądać na placu ćwiczebnym w pobliżu koszar. Na sygnał dowódcy ciężarówki ruszają wolno po gruntowej drodze. „Prędkość musi być dostosowana do rodzaju skażenia, z jakim walczymy”, wyjaśnia chor. Marcin Cyrana, dowódca drużyny likwidacji skażeń (w jej skład wchodzi trzy pojazdy). „Jeśli mamy do czynienia z promieniowaniem, pojazdy muszą się poruszać z prędkością 5–7 km/h. Gdy usuwamy skażenia chemiczne, jadą nieco szybciej – od 10 do 12 km/h”.

Jeden wóz może odkazić drogę o szerokości 5 m. Kiedy trzeba oczyścić lotnisko, obok siebie poruszają się nawet cztery samochody. „Jedna cysterna wystarczy, by usunąć skażenia z 300-metrowego odcinka drogi. Potem zbiornik trzeba ponownie napełnić, ale wcale nie musi to trwać długo. Wodę, na której bazie powstaje specjalistyczna mieszkanka, można pobrać np. wprost z rzeki czy jeziora”, informuje chor. Cyrana.

Na tym jednak nie koniec. Po ataku bronią chemiczną często trzeba pomóc samym żołnierzom. Czyni się to w punktach likwidacji skażeń, które mieszczą się w rozstawianych przez chemików namiotach. Tam poszkodowani splukują ciało specjalnymi substancjami. Oddzielnie są odkazane ich mundury.

OD IRAKU DO EURO

Wróćmy jednak na chwilę do zamaskowanego BRDM. Posterunek obserwacji skażeń, który miałem

BRODNICCY CHEMICY DO KOŃCA ROKU PEŁNIĄ DYŻUR W SIŁACH ODPOWIEDZI NATO. W KAŻDEJ CHWILI MOGĄ BYĆ WYŚLANI W DOWOLNĄ CZĘŚĆ ŚWIATA

okazję obejrzeć, został zorganizowany nieprzypadkowo. Żołnierze czuwają nad bezpieczeństwem obozu. Kilkaś set metrów dalej, pośród okopów i zasieków, stanęły namioty. Pod maskującą siatką został stworzony kawałek Afryki. Ale żeby to zrozumieć, należy cofnąć się o kilkanaście miesięcy.

W ubiegłym roku z brodnickiego pułku wydzielono kilkuset żołnierzy, którzy mieli stanowić trzon międzyna-



TRZY PYTANIA DO

ppor. Marek Kurkowiec

Co wyróżnia 4 Brodnicki Pułk Chemiczny spośród innych jednostek polskiej armii?

Rzadko spotykana specjalizacja. W całej armii jest około 1800 żołnierzy chemików. Nie zostaliśmy przeznaczeni do walki na pierwszej linii, ale stanowimy niezwykle ważne ogniwo w działaniach armii. Wkraczamy, kiedy dochodzi do ata-

ku bronią chemiczną bądź nuklearną. Na tym jednak nie koniec. Wykonujemy również zadania na rzecz administracji publicznej, wspólnie z saperami czy strażą pożarną. W ostatnich latach tak było choćby w starych fortach na warszawskim Bemowie, w Bornem Sulimowie czy w Świętoszowie, gdzie neutralizowaliśmy starą amunicję. Mnó-

stwo pracy mieliśmy też w 1997 roku, podczas powodzi stulecia. Na Dolnym Śląsku oczyszczaliśmy tereny, przez które przeszła woda, odkazaliśmy domy, drogi, ocalały sprzęt.

Jakim przygotowaniem i predyspozycjami muszą się wykazać żołnierze pułku?

rodowego batalionu, pełniącego roczny dyżur w Siłach Odpowiedzi NATO. Chemicy rozpoczęli żmudne przygotowania. Potem przyszedł czas na sprawdzian. Jesienią 650 żołnierzy z Brodnicy zostało przerzuconych do bazy San Jorge w Hiszpanii, gdzie wzięli udział w „Trident Juncture '15” – największych ćwiczeniach NATO od czasu zakończenia zimnej wojny. Ich scenariusz zakładał konflikt dwóch fikcyjnych państw afrykańskich o złoża wody. Siły, w których skład wchodził Polacy, miały przywrócić w regionie pokój. „Pierwsza faza operacji była prowadzona w przestrzeni wirtualnej. Druga odbywała się już na poligonach”, wspomina mjr Jarosław Wojciechowski, zastępca dowódcy batalionu.

Żołnierze z Brodnicy wykonywali zadania zarówno w Hiszpanii, jak i w Portugalii. Współpracowali z różnymi rodzajami wojsk, które reprezentowały kilkanaście państw. „Wykrywaliśmy skażenia, prowadziliśmy operacje specjalne. Odkazaliśmy drogi, samoloty, śmigłowce, a nawet okręty”, opowiada mjr Wojciechowski. „Dla nas był to niezwykle cenny sprawdzian, ponieważ musieliśmy przestawić myślenie z taktycznego na operacyjne. Skupialiśmy się na naszych zadaniach, ale mieliśmy przed oczami również polityczne i społeczne skutki, które z nich wynikają”. Certyfikacja wypadła znakomicie.

I trudno się dziwić. Brodnicki pułk od lat stanowi jedną z wizytówek polskiej armii. W 2003 roku chemicy wzięli udział w drugiej wojnie w Iraku. „Wówczas wiele mówiło się o tym, że Saddam Husajn może użyć

przeciwko wojskom koalicji broni masowego rażenia. Zostaliśmy więc przerzuceni do Jordanii, a potem Iraku. Momentami było naprawdę gorąco, na szczęście armia Husajna szybko poszła w rozsypkę”, wspomina ppłk Marek Kurkiewicz, który wówczas w Brodnicy był szefem sztabu.

Siedem lat później żołnierze 4 Pułku wzięli udział w dwóch zmianach Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Afganistanie. Do tej listy należy dopisać służbę w Siłach Odpowiedzi NATO (SON), osłanianie szczytu sojuszu północnoatlantyckiego, igrzysk olimpijskich w Atenach, pracę nad zabezpieczeniem mistrzostw Europy w piłce nożnej, których gospodarzami były Polska i Ukraina.

Od stycznia 2016 roku brodnicki chemicy znów pełnią służbę w SON. Raz po raz biorą udział w treningach przygotowujących do sytuacji awaryjnych. Jeden z nich był prowadzony właśnie w obozowisku, które miałem okazję oglądać. „Scenariusz »Trident Juncture« został napisany w taki sposób, że sytuacja w nim naszkicowana może mieć ciąg dalszy”, tłumaczy mjr Wojciechowski.

W Siłach Odpowiedzi NATO chemicy pozostaną do końca roku. W każdej chwili mogą być wysłani w dowolną część świata, wszędzie tam, gdzie dojdzie do kryzysu, wybuchnie wojna, a NATO zdecyduje się interweniować. „Nie działamy na pierwszej linii. Z reguły pozostajemy w cieniu. Ale stanowimy niezwykle ważne ogniwo każdej armii”, podsumowuje ppłk Kurkiewicz. ■

Oczywiście chemik, jak każdy żołnierz, musi być zdrowy i sprawny. Ważne też, by wykazywał się samodzielnością i operatywnością. Dotyczy to zwłaszcza podoficerów i oficerów. U nas raczej nie będą działać w dużej grupie. Największy pododdział, który kierujemy do poszczególnych zadań, to kompania, a sytuacja często wymaga od jej dowódcy podjęcia już na miejscu działań niestandardowych. Nie wszystko można opisać w regulaminach i rozkazach. Jeśli chodzi o oficerów, trafiają do nas przede wszystkim absolwenci Wojskowej Akademii Technicznej, czasem też, choć zdecydowanie rzadziej, Wyższej Szkoły Oficerskiej

Wojsk Lądowych, którzy studiowali na kierunku związanym z bronią masowego rażenia. W ogóle żołnierzy z wykształceniem chemicznym jest w Polsce niewielu. W tym roku np. WAT ukończy bodaj siedmiu. A nasze potrzeby są dużo większe...

Czy trafiają do was żołnierze z innych rodzajów wojsk lub innych specjalizacji, którzy chcą służyć właśnie w pododdziałach chemicznych?

Z innych rodzajów wojsk czasami przychodzą podoficerowie oraz żołnierze niższego stopnia, tym bardziej że nie wszystkie nasze pododdziały zajmują się obroną przeciwochemicz-

ną. Mamy np. swoich logistyków. A służba logistyka w wojskach przeciwlotniczych i u chemików właściwie niczym się nie różni. Mamy też dwóch żołnierzy innych specjalizacji. Takich przypadków było więcej, kiedy zlikwidowano brygadę artylerii w Toruniu. Napłynęło do nas wówczas sporo nowych osób, które zdążyły już jednak przejść na emeryturę lub do innych jednostek. Zmiana specjalizacji jest oczywiście możliwa, ale dla żołnierza, który się na to decyduje, to ogromne wyzwanie. ■

Ppłk MAREK KURKOWICZ jest zastępcą dowódcy 4 Pułku Chemicznego w Brodnicy.



BOGUSŁAW POLITOWSKI

Sztuka pakowania

Nowoczesna armia musi być przygotowana do szybkiego przerzutu wojsk na duże odległości. Mobilność to jednak nie tylko samoloty, lecz także specjaliści, którzy potrafią je sprawnie załadować i rozładować.

Dwa lata temu na lotnisku w Bagram tuż po starcie rozbił się boeing B-747. Zginęło siedmiu członków załogi. Po śledztwie okazało się, że amerykańskiego samolotu nie zestrzeli talibowie. Katastrofa była skutkiem złego zamocowania ładunku na pokładzie maszyny. Podczas startu zerwały się łańcuchy mocujące MRAP-y i wążący ponad 80 t sprzęt przemieścił się na tył ładowni, co zdestabilizowało lot i ściągnęło sa-

molot na ziemię. Jak widać, od umiejętności zespołów załadunkowych często zależy życie ludzkie.

Transportowanie drogą lotniczą towarów jest obwarowane wieloma przepisami. W wojsku, oprócz zasad cywilnych, obowiązuje jeszcze wiele zarządzeń resortowych, a w transporcie strategicznym na dodatek – procedur NATO. Szczególnie restrykcyjne są te dotyczące przewożenia materiałów uważanych za niebezpieczne, takich jak



„ZDARZAŁO SIĘ TAKŻE,
ŻE TRANSPORTOWCY
ZNAJDUJĄCY SIĘ NA
PŁYCIE LOTNISKA
STAWALI SIĘ CELAMI
DLA SNAJPERÓW”,
OPOWIADA O SŁUŻBIE
W AFGANISTANIE
KPT. KAROL BIBIK

Od 2010 do 2015 roku na lotniskach krajowych i w portach lotniczych w wielu krajach świata żołnierze mobilnego zespołu transportu i przeładunków lotniczych Komendy Obsługi Lotniska we Wrocławiu przeprowadzili 277 operacji przyjęcia różnych typów samolotów. Na pokładzie tych maszyn do miejsc docelowych dotarło 10 238 pasażerów oraz 6128 t ładunku. W tym samym czasie specjaliści z Wrocławia wyeksponowali w drogę powietrzną z różnych lotnisk 415 samolotów, na których pokładach było 10 634 pasażerów oraz 5892 t towarów.

ADAM ROIK/COMBAT CAMERA DORSZ

broń, amunicja, materiały wybuchowe i środki chemiczne. Niektóre substancje pod wpływem zmiany ciśnienia mogą bowiem stanowić olbrzymie zagrożenie. Podobnej uwagi wymagają towary wielkogabarytowe i niezwykle ciężkie. Dlatego też, aby w ładowni największych transportowców świata typu Boeing C-17 Globemaster, Il-76 czy An-124 Rusłan znalazł się czołg, transporter opancerzony czy śmigłowiec, do drogi muszą go przygotować specjaliści.

Zespołem transportu i przeładunków lotniczych dysponuje Komenda Obsługi Lotniska we Wrocławiu. Około stuosobowy pododdział, podporządkowany 8 Bazie Lotnictwa Transportowego, jest jedyną mobilną grupą takich specjalistów w Wojsku Polskim. „Żołnierzy przygotowano do wykonywania zadań na lotniskach w kraju oraz poza jego granicami w każdych warunkach atmosferycznych i klimatycznych. Doświadczenie zdobyte w operacjach transportowych na całym świecie daje gwarancję bezpiecznego załadunku każdego statku powietrznego”, twierdzi płk pil. Krzysztof Cur, dowódca 8 Bazy Lotnictwa Transportowego.

Wrocławscy specjaliści od 2003 roku byli szkoleni przez Amerykanów, którzy mają w tej dziedzinie naj-

wieksze doświadczenie w NATO. O tym, jak cenią swoich uczniów, może świadczyć to, że w 2005 roku po huraganie Katrina amerykańscy transportowcy właśnie ich poprosili o pomoc. W trakcie swojej służby specjaliści transportu lotniczego wiele razy wspierali także żołnierzy innych armii, m.in. z Węgier, Litwy, Łotwy, Bułgarii i Albanii.

ĆWICZENIA ZA ĆWICZENIAMI

Podczas zakończonych niedawno ćwiczeń „Brilliant Jump '16” na wrocławskim lotnisku lądowały m.in. potężne transportowce Il-76. Dowódcą operacji wylądunku jednego z tych kolosów był plut. Wiktor Grzesik. Wydawało się, że zadanie będzie trudne, ponieważ sprzęt należał do żołnierzy hiszpańskich, dostarczył go samolot wycarterowany w Azerbejdżanie, a rozładować mieli Polacy. Okazało się jednak, że nie ma powodu do obaw. „Nie ma dla nas znaczenia, jakiego typu samolot przyjmujemy do rozładunku lub załadunku. Nie jest ważne też, jakiej narodowości jest załoga. Procedury NATO we wszystkich armiach sojuszu są takie same. Hiszpanie wiedzieli, jak przygoto- ➔

wać sprzęt do drogi i jak go zabezpieczyć, my zaś jak go wyładować”, wyjaśnił podoficer. Plutonowi dodaje, że on i jego koledzy załadowywali lub wyładowywali już znacznie większe samoloty. Manewry tzw. szpicy NATO zakończyły się 27 maja, ale w tym czasie lotniczy transportowcy zajmowali się już kolejnymi ćwiczeniami – „Anakonda ’16”. Przyjmowali statki powietrzne z żołnierzami i sprzętem w Warszawie, Babich Dołach i na lotnisku macierzystym we Wrocławiu.

O ile rozładunek samolotu tuż po wylądowaniu nie jest obciążony nadmiernym ryzykiem, o tyle przygotowanie sprzętu do lotu jest trudne i łączy się z wielką odpowiedzialnością. Bywa, że wyekspediowanie towaru od chwili zapotrzebowania do momentu wylotu trwa wiele dni. Każda rzecz, która ma trafić na pokład samolotu, musi być obejrzana, zważona, czasami zmierzona. Cargo trzeba odpowiednio ułożyć na palecie lub w kontenerze, zabezpieczyć i opisać zgodnie z instrukcjami międzynarodowymi.

SZKOŁA TRANSPORTOWANIA

Żołnierze zespołu największe doświadczenie zdobyli podczas misji w Afganistanie – 100% żołnierzy biorących udział w tej operacji oraz 99% sprzętu, uzbrojenia, amunicji i wyposażenia trafiło do nich drogą powietrzną. Większość ładunków odprawiano z lotniska Strachowice, gdzie stacjonuje zespół. Wrocławscy specjaliści byli zaangażowani w transport strategiczny z kraju do Afganistanu oraz w roszyłanie ludzi i ładunków powietrznym transportem taktycznym do baz Międzynarodowych Sił Wsparcia Bezpieczeństwa (International Security Assistance Force – ISAF) rozsianych po całym kraju ogarniętym wojną.

„Podczas każdej operacji w rejonie objętym kryzysem lotnisko jest niewrażliwym miejscem systemu dostaw ludzi i sprzętu... I ważnym celem dla rebeliantów. Bywało, że w Afganistanie musieliśmy przerwać pracę, bo zaczynał się ostrzał moździerzowy. Zdarzało się także, że transportowcy znajdujący się na płycie lotniska stawali się celami dla snajperów”, tak o specyfice służby w Afganistanie opowiada kpt. Karol Bibik, komendant obsługi lotniska z Wrocławia.

Lotniska są miejscem, przez które w rejon konfliktu najszybciej mogą dotrzeć wojska ze sprzętem i wyposażeniem. Im sprawniej będzie przebiegał wyładunek, tym większa jest gwarancja powodzenia całej operacji. Z tego względu na terenie lotnisk w strefach kryzysu specjaliści transportu lotniczego w razie alarmu muszą umieć bar-

NA TERENIE LOTNISK W STREFACH KRYZYSU SPECJALIŚCI TRANSPORTU LOTNICZEGO W RAZIE ALARMU MUSZĄ UMIEĆ SZYBKO PRZEKSZTAŁCIĆ SIĘ W PODODDZIAŁ BOJOWY MOGĄCY ODEPRZEĆ ATAK PRZECIWNIKA

dzo szybko przekształcić się w zwarty i dobrze wyszkolony pododdział bojowy mogący odeprzeć atak przeciwnika. Bywa, że kierowca wózka widłowego błyskawicznie staje się strzelcem wyborowym, a kierowca samochodu chwyta za karabin maszynowy. Żołnierze zespołu, działając na lotniskach w rejonie konfliktu, oprócz normalnych czynności związanych z załadunkiem lub wyładunkiem, muszą także dbać o zapewnienie bezpieczeństwa załodze statku powietrznego.

W sytuacjach newralgicznych powinni skracać czas postoju samolotu do minimum.

W niedalekiej przyszłości wrocławscy specjaliści zamierzają przejść przeszkolenie i uzyskać certyfikaty pozwalające im wykonywać zadania w warunkach taktycznych na lotniskach utworzonych w terenie przygodnym, czyli tzw. lotniskach polowych. Wiąże się to z umiejętnością przygotowania takich lądowisk, organizacją na nich startów i lądowań oraz szybkiego załadunku i rozładunku. Ambicją zespołu jest też zdobycie kompetencji do przygotowania sprzętu i środków materiałowych do zrzutu tary desantowej podczas działań taktycznych i specjalnych. Jego żołnierze mają również zamiar przeszkolić się w praktycznym wsparciu pododdziałów wojsk specjalnych w rejonach podejmowania grup zadaniowych.

UDZIAŁ W KAŻDEJ MISJI

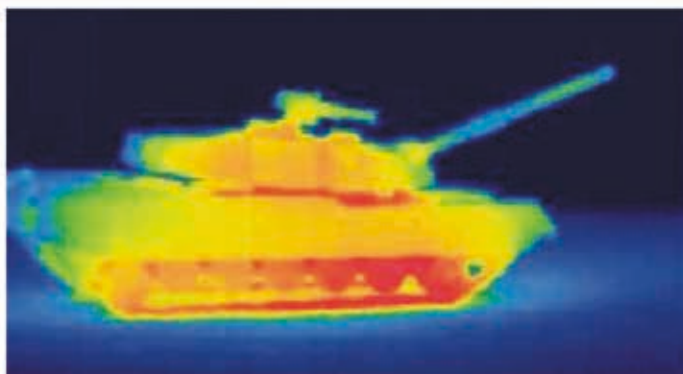
Żołnierze zespołu transportu i przeładunków lotniczych są niezwykle mobilni. Oprócz wykonywania zadań związanych z obsługą transportową Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Afganistanie, w 2008 roku brali udział w przemieszczaniu polskich wojsk do Czadu, w 2009 roku zaś z Czadu do kraju. Poszczególni specjaliści zespołu uczestniczyli w transportowaniu żołnierzy i sprzętu podczas wcześniejszych misji w Iraku, Libanie, Kosowie oraz późniejszych w Mali i Republice Środkowoafrykańskiej.

Każdego miesiąca żołnierzy KOL-u z Wrocławia można spotkać na wielu lotniskach w kraju i na świecie. W tym samym czasie, gdy trwała obsługa majowych ćwiczeń „Brilliant Jump ’16”, dwóch specjalistów zespołu było w drodze do Saragossy w Hiszpanii. Inni dwaj przygotowali się do wylotu na ćwiczenia wojskowe do Norwegii, a dwaj następni podoficerowie na ćwiczenia w miejscowości Efez w południowo-zachodniej Turcji. Na przełomie lutego i marca tego roku grupa specjalistów z Wrocławia wspomagala także szkolenie operatorów wojsk specjalnych w Senegalu w zachodniej części Afryki. ■



XXX KONFERENCJA NAUKOWO-TECHNICZNA

INŻYNIERIA BEZPIECZEŃSTWA OCHRONA PRZED SKUTKAMI NADZWYCZAJNYCH ZAGROŻEŃ



13 - 16.09.2016 ZAKOPANE

TEMATYKA KONFERENCJI: Zagrożenia obiektów, osób i mienia
Zagrożenia środowiska
Zagrożenia militarne i terrorystyczne
Bezpieczeństwo techniczne
Bezpieczeństwo cywilne

W trakcie konferencji przeprowadzone zostaną dwa kursy: jeden dla osób zajmujących się eksploatacją infrastruktury technicznej i budowlano-mieszkaniowej oraz drugi dla personelu inżynieryjno-technicznego z obszaru ochrony ludności i obrony cywilnej kraju.

ARSENAŁ

/ PRZEGLĄD

Zaawansowana broń hipersoniczna będzie mogła zostać użyta do uderzenia w każde miejsce na Ziemi w ciągu godziny. Na zdjęciu model systemu hipersonicznego testowanego w specjalnym tunelu aerodynamicznym w bazie sił powietrznych Arnold w stanie Tennessee.



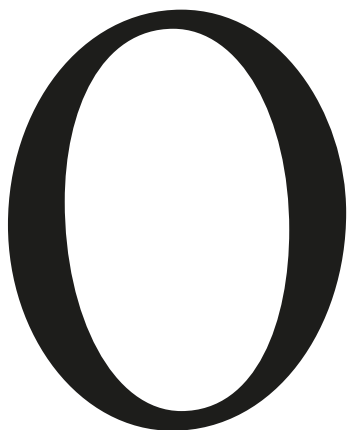
MIKE SMITH/USAF

RAFAŁ CIASTOŃ

BROŃ PIERWSZEGO UDERZENIA

**Czy wprowadzenie broni hipersonicznej
jest przełomem, który można porównać
do stworzenia broni jądrowej?**





Opracowywane przez Stany Zjednoczone w ramach programu „Conventional Prompt Global Strike” (CPGS) systemy uzbrojenia mają umożliwić atak w dowolnym punkcie globu w czasie nie dłuższym niż godzina. Celem, który przyświeca ich rozwojowi, jest ewentualny atak na obiekty lub osoby, których lokalizacja jest znana tylko chwilowo i powtarne namierzenie może się okazać niewykonalne. Dla państw aspirujących do roli potęg ponadregionalnych, takich jak Chiny czy Rosja, prace badawczo-rozwojowe nad nową klasą uzbrojenia są jednak jak rzucenie rękawicy. W hipersonicznym wyścigu zbrojeń nikt nie chce pozostać w tyle.

ELEMENT TRIADY

W Stanach Zjednoczonych pomysł opracowania systemów natychmiastowego globalnego uderzenia pojawił się w rezultacie prac nad przeglądem polityki nuklearnej „Nuclear Posture Review” w 2001 roku. Administracja George’a Busha przedstawiła wkrótce potem ideę tzw. nowej triady strategicznej, której jednym z elementów miał być właśnie ten rodzaj uzbrojenia. Warto dodać, że kolejnym jej elementem miały się stać strategiczne systemy obrony przeciwrakietowej (Missile Defense – MD).

Chociaż o nowej triadzie nikt już dzisiaj nie mówi, to zarówno Chiny, jak i Rosja wciąż łączą systemy CPGS z MD, dowodząc przy tym, że dzięki tej broni Stany Zjednoczone chcą uzyskać możliwość zadania tzw. pierwszego uderzenia. Zdziśiatkowane w jego wyniku strategiczne siły jądrowe tych państw nie byłyby w stanie odpowiedzieć uderzeniem, którego skala dawałaby gwarancję przedarcia się przez systemy MD. To właśnie ten argument jest podnoszony jako

główny powód sprzeciwu wobec CPGS, przy czym wspomniane państwa jednocześnie pracują nad własnymi systemami, najprawdopodobniej głównie o charakterze jądrowym.

GRANICA ZASTRASZANIA

Pierwszy test chińskiej głowicy szybującej przeprowadzono 9 stycznia 2014 roku. Do dziś odbyło się łącznie siedem prób (ostatnia 27 kwietnia 2016 roku), czyli znacznie więcej niż w Rosji (dwie). Jak zatem widać, intensywność chińskiego programu jest imponująca. Rodzi to przypuszczenia, że szybujące systemy hipersoniczne o zasięgu regionalnym mogą uzyskać gotowość operacyjną już około 2020 roku, a pięć lat później do produkcji być może trafią systemy o zasięgu globalnym, wyposażone w silniki strumieniowe. Takie wnioski zostały zawarte w dorocznym raporcie amerykańskiej komisji ds. gospodarczych i bezpieczeństwa. Autorzy dokumentu podkreślają jednak, że testowane głowice szybujące mogą być oparte na tej samej technologii co klasyczne głowice pocisków balistycznych. Może to rodzić poważne trudności przy podjęciu prób nad wydłużeniem ich zasięgu (w pierwszych testach wynosił on około 1750 km). Rozmieszczenie do roku 2020 systemu o zasięgu do 2 tys. km jest określane w dokumencie jako cel ambitny ale nie nierealny.

Gdyby jednak Pekin faktycznie decydował się na rozmieszczenie broni o takim zasięgu, należałoby zadać pytanie o uzbrojenie głowicy – czy miałaby ona przenosić ładunek konwencjonalny, czy jądrowy i przeciwko jakim celom byłaby używana. Według niektórych opinii, broń hipersoniczna może np. posłużyć do wydłużenia zasięgu pocisków balistycznych do zwalczania okrętów, słynnych „zabójców lotniskowców” DF-21D. Wyposażone w głowice szybujące mogłyby atakować cele na dystansie powyżej 3 tys. km, choć jednocześnie zakłada się, że rozwój takiego systemu zająłby Chińczykom kolej-



DARPA

Wizja oddzielenia się amerykańskiego eksperymentalnego HTV-2 od rakiety nośnej

BROŃ HIPERSONICZNA MOŻE POSŁUŻYĆ DO WYDŁUŻENIA ZASIĘGU POCISKÓW BALISTYCZNYCH DO ZWALCZANIA OKRĘTÓW

ne dwie dekady. W ocenie National Air and Space Intelligence Center, systemy hipersoniczne mają według Pekinu przede wszystkim znaczenie jądrowe, nawet jeśli początkowo ich zasięg byłby jedynie regionalny. Użycie tej broni dawałoby gwarancję skutecznej penetracji systemów obrony przeciwrakietowej, szczególnie w połączeniu ze zwiększeniem jej zasięgu. Jak bowiem ocenia dr James Acton z Carnegie Endowment for International Peace, broń hipersoniczna lepiej się sprawdza użyta przeciwko strategicznej obronie przeciwrakietowej niż przeciwko obronie przeciwrakietowej teatru działań. Na tym założeniu opiera on wniosek, że systemy hipersoniczne średniego czy też pośredniego zasięgu nie zmienia w zasadniczy sposób układu sił w Azji Wschodniej. Wydaje się jednak, że stwierdzenie to, aby było prawdziwe, powinno się odnosić jedynie do głowic jądrowych, których potencjalne użycie zależy od decyzji polityków, a nie wojskowych.

W wypadku pocisków średniego (do 3,5 tys. km) czy też pośredniego (do 5,5 tys. km) zasięgu ta kwestia nie

wygląda równie jednoznacznie, chociażby w przypadku odniesienia jej do wyposażenia w głowice szybujące pocisków DF-21D, których użycie przeciwko lotniskowcom już dziś budzi obawy planistów w USA. Niezależnie od amerykańskich zapewnień co do przyszłości systemu MD, zarówno Pekin, jak i Moskwa, obawiają się, że ostatecznym celem jego rozbudowy będzie podważenie zdolności ich sił strategicznych do zadania uderzenia odwetowego. Świadczy o tym nie tylko dążenie do posiadania broni hipersonicznej. Przede wszystkim wskazują na to działania własnych wojsk raketowych.

W odniesieniu do Chin nie od dziś mówi się o tzw. podziemnym wielkim murze, tj. sieci tuneli, podziemnych dróg, często wykutych w skałach, służących jako schronienie i trasy redyslokacji dla mobilnych wyrzutni rakietowych – takich jak DF-31A czy DF-41 – nowego pocisku, który, według przypuszczeń Zachodu, będzie systemem wielogłowicowym (MIRV). Również kotwicowiska dla strategicznych okrętów podwodnych klasy Jin zostały wy- ➔

kute w skałach wyspy Hajnan. Ukrycie wyrzutni i wielokrotna zdolność penetracji głowic – to dwa cele, które przyświecają dziś Pekinowi, a DF-ZF, wcześniej znany jako WU-14, jest narzędziem służącym realizacji drugiego z nich. Nie wyklucza to oczywiście wykorzystania tego rodzaju głowic w systemach konwencjonalnych, choć w tym wypadku raczej nie w międzykontynentalnych. Chiny, w przeciwieństwie do USA, nie potrzebują systemów, które miałyby wypełniać misje natychmiastowego globalnego uderzenia. Mogą za to dostrzegać potrzebę posiadania broni, która da gwarancję skutecznego ataku konwencjonalnego na cele (również ruchome) w regionie.

DANIEL TOSCHLÄGER

STRATEGICZNE SYSTEMY

Rosja rozwija dziś dwa systemy hipersoniczne. Pierwszym jest pocisk manewrujący Cyrkon, w który mają zostać wyposażone m.in. krążowniki typu Kirow, a także uderzeniowe podwodne okręty atomowe nowej generacji typu Husky (następca jednostki typu Jasień), choć pod względem technicznym nie będzie przeszkod, by przebroić w nie okręty podwodne wcześniejszych typów (Jasień i Akula-B). Pociski hipersoniczne tego typu mają trafić także na bombowce strategiczne Tu-160, których wznowienie produkcji się przewiduje, oraz

PAK DA, gdy zostanie on ostatecznie opracowany. Przy zasięgu 400 km i prędkości $Ma=5-6$ pocisk zostanie bez wątpienia uzbrojony

zarówno w głowice konwencjonalne, jak i jądrowe.

Po raz pierwszy gotowość operacyjną pocisk ma szansę uzyskać na krążowniku „Admirał Nachimow”, bliźniaku „Piotra Wielkiego”, którego remont zakończy się za dwa lata. Obie jednostki będą mogły przenosić do 80 pocisków Cyrkon i Kalibr. Rosjanie mają doświadczenie w budowie ponaddźwiękowych pocisków manewrujących – pocisk systemu Onyks może poruszać się z prędkością $Ma=2,6$, wspomniany pocisk Kalibr zaś, choć prędkość przelotową ma na poziomie $Ma=0,9$, to w fazie ataku przyspiesza do $Ma=2,9$. Nowe uzbrojenie znacząco wzmocni potencjał bojowy jednostek rosyjskiej floty, która od czasów zimnej wojny zawsze poszukiwała formy przeciwsymetrycznej (czy też, jak kto woli, niesymetrycznej) odpowiedzi wobec znaczącej przewagi US Navy. Coraz bardziej zaawansowane technologicznie, poruszające się z coraz większą prędkością i mające coraz większy za-

się pociski klasy woda–woda i powietrze–woda były, i jak widać są, taką właśnie odpowiedzią.

Ju-71 to system przeznaczenia strategicznego. Dotychczas był testowany za pomocą pocisku balistycznego SS-19, który wynosił go w przestrzeń (podobnie jak w DF-ZF), gdzie głowica szybująca może przejść do fazy ataku, wykonywanego z prędkością około 11 tys. km/h. Według danych „Jane’s Intelligence Review”, Rosja może rozmieścić w latach 2020–2025 do 24 pocisków przenoszących Ju-71. Brytyjskie źródło łączy prawdopodobny czas wejścia do służby głowicy szybującej z rozmieszczeniem pocisku systemu Sarmat, który może stać się jej nosicielem. Nie ma wątpliwości, jakiego rodzaju ładunek będzie umieszczony w głowicy – jej ułożenie na pocisku balistycznym niemal to definiuje. Start takiego pocisku byłby i tak wzięty za start pocisku jądrowego, więc uzbrojenie go w głowicę inną niż nuklearna w zasadzie mijaloby się z celem. Ju-71 to system zaprojektowany do konkretnego rodzaju misji – po jego rozmieszczeniu amerykański system obrony przeciwrakietowej nie będzie gwarantować przechwycenia nawet pojedynczej głowicy atakującej tego typu. Jak to określił wicepremier Dmitrij Rogozin, wprowadzenie broni hipersonicznej zmieni reguły gry. Znaczenie tego wydarzenia przyrównał, nieco na wyrost, do przełomu, jaki się dokonał po stworzeniu broni jądrowej.

Modernizując strategiczne wojska rakietowe, Rosja zwiększa udział w nich systemów mobilnych, zarówno kołowych, jak i kolejowych, co ma być odpowiedzią na program CPGS. Opracowanie nowych pocisków wielogłowicowych i wyposażonych w głowice hipersoniczne Moskwa traktuje jako odpowiedź na MD.

KLUCZ DO PRZYSZŁOŚCI

Warto zwrócić uwagę na jeszcze jeden wątek dotyczący rozwoju broni hipersonicznej. Wraz z jej pojawieniem się w linii skuteczność systemów przeciwrakietowych opartych na rakietowych interceptorach będzie coraz mniejsza. Wysoce manewrowe i nieporuszające się po trajektorii balistycznej głowice mogą się okazać zbyt trudnym celem dla tradycyjnych pocisków rakietowych.

Adm. James Syring, dyrektor amerykańskiej Agencji Obrony Przeciwrakietowej (Missile Defense Agency – MDA), oznajmił ostatnio na posiedzeniu podkomisji sił strategicznych w Kongresie, że złożył wniosek o 23 mln USD na prace badawczo-rozwojowe demonstratora lasera niskiej mocy, który byłby rozwijany do 2021 roku i w przyszłości mógłby zwalczać tego rodzaju cele. Rozwój środków ofensywnych może więc w perspektywie dekady wymusić zmianę podejścia do systemów obrony przeciwrakietowej, która nie będzie już obroną przeciwbalistyczną. ■



Wizja chińskiego rozwijanego szybującego systemu hipersonicznego DF-ZF (HGV)



VI BIEG TYGRYSA

POLIGON W ORZYSZU! / 20 / 08 / 2016

NAJTRUDNIEJSZY BIEG WOJSKOWY W POLSCE!

6 KATEGORII
BIEGOWYCH

NOWA KATEGORIA BIEGOWA:
BIEG DLA SAPERÓW
W STROJU EOD!



 www.facebook.com/biegtygrysa

www.biegtygrysa.pl





Coś dla ochotnika

Na czerwcowych targach Pro Defense wystawcy zaprezentowali sprzęt i wyposażenie dla grup paramilitarnych i organizacji proobronnych.

C-BORG FOOD, MARTECH PLUS, EURONA TRADE

Samopodgrzewające się dania

W trakcie targów Pro Defense kilku wystawców prezentowało gotowe racje żywnościowe podgrzewane chemicznie. Były to produkty polskie, firm: C-Borg Food i Martech Plus, a także zagraniczne – dystrybutora Eurona Trade. Zaletą tego typu rozwiązania jest łatwość i wygoda użycia. Dania są podgrzewane do wysokiej temperatury dzięki procesom chemicznym. Wystarczy przebić szpipek lub wcisnąć otwory

w opakowaniu. Im dłużej po uruchomieniu reakcji chemicznej zaczekamy, tym danie będzie miało wyższą temperaturę – po około 10 minutach potrafi być naprawdę gorące, co ma duże znaczenie, gdy posiłek jest spożywany np. na mrozie. Gotowe danie eliminuje też potrzebę stosowania kuchenek przenośnych czy otwartego ognia do podgrzewania, co może być bardzo wygodne podczas krótkich wypraw survivalowych lub w trakcie akcji wojsko-

wych. Porcje mają 400–500 g i, jak zachwalają producenci i dystrybutorzy, są komponowane przez wytrawnych kucharzy z naturalnych składników. Pomimo tego mają dość długie terminy przydatności do spożycia. Także skład potraw jest różnorodny – producenci oferują kilka dań do wyboru. Oprócz drugich dań na bazie mięsa, np. wołowego lub kurczaka, są też dostępne zupy, a także samopodgrzewająca się kawa i czekolada (Eurona Trade). To dość nowy produkt, więc wytwórcy wciąż pracują nad jego udoskonaleniem, wprowadzając kolejne smaki czy przedłużając – za sprawą nowych procesów konserwujących – ich terminy przydatności. **Cena jednej racji żywnościowej to około 25–30 zł.** ■



POLSKA GRUPA ZBROJENIOWA

Naboje przeciwpancerne

W Ostródzie na targach pokazano nowe naboje 5,56x45 mm. **Nabój przeciwpancerny AP5**, z pociskiem bezołowiowym z rdzeniem z węgla spiekanego i stali, służy do zwalczania pojazdów opancerzo-

nych, lekkich umocnień połowych i przebijania osłon balistycznych. Jest w stanie przebić siedmiomilimetrową stalową płytę z odległości 200 m. Nabój przeciwpancerny AP6, z rdzeniem z węgla spiekanego

i ołowiu, może być wykorzystany do zwalczania umocnień połowych i przebijania osłon balistycznych. W odległości 100 m od wylotu lufy pocisk przebije siedmiomilimetrową płytę pancerną. ■

TEL DAT

Jaśmin

System do zarządzania walką na wszystkich szczeblach dowodzenia.

Sieciocentryczną platformę teleinformatyczną Jaśmin na targach Pro Defense zaprezentował Teldat. Jest to system do zarządzania walką na wszystkich szczeblach dowodzenia. Jest już używany w pol-

skich siłach zbrojnych i może być wykorzystany przez żołnierzy obrony terytorialnej. Na targach zwracano uwagę na cechy związane z funkcjonalnością jaśmina. Podkreślano możliwość pełnej integracji i współpracy z innymi systemami, w tym z najnowszą wersją systemu wirtualnego pola walki VBS3, który dzięki zastosowaniu szczegółowej grafiki 2D i 3D umożliwia zaawansowaną symulację taktycznych działań lądowych, powietrznych i morskich oraz interaktywne wyświetlanie obrazu na każdej płaskiej powierzchni, co pozwala zamienić ją w ekran dotykowy służący do obsługi systemu wsparcia dowodzenia. ■



POLSKA GRUPA ZBROJENIOWA



POLSKA GRUPA ZBROJENIOWA

PPK Spike

Przeciwpancerny pocisk kierowany jest przeznaczony do zwalczania czołgów, pojazdów opancerzonych wyposażonych w pancerze reaktywne oraz śmigłowców bojowych.

To pocisk rakiety z głowicą bojową o działaniu kumulacyjnym. PPK Spike umieszczony w pojemniku wyrzutni jest wyposażony w optoelektroniczną, dwuzakresową głowicę samonaprowadzania z kamerą telewizyjną i detektorem podczerwieni, co umożliwia za pomocą łączy światłowodowego transmisję obrazu z głowicy pocisku do wyświetlacza wyrzutni. Spike to broń dobrze znana w polskim wojsku, ale Polska Grupa Zbrojeniowa chwali się modernizacjami tego pocisku: zmniejszonym smużeniem i zwiększonym zasięgiem. ■

JAN BRZOSOWSKI

Lekki system raketowy Pirat

Wofercie PGZ, a dokładnie zakładów Mesko, to pocisk nowy. Ma on uzupełnić uzbrojenie polskich żołnierzy w kolejny pocisk przeciwpancerny – obok spike'ów, które są bronią bardzo drogą. Prze-

znaczenie pirata to zwalczanie umocnień, czołgów, transporterów i wozów bojowych, samochodów, grup wojsk oraz śmigłowców. Maksymalny zasięg wynosi 2500 m. Pocisk został wyposażony w głowicę

kumulacyjną i ma system naprowadzania półaktywny na odbity promień laserowy.

Program budowy pirata jest finansowany przez państwo i ma się zakończyć w 2018 roku. ■



Dron rozpoznawczy może odlecieć ponad 2 km od miejsca startu i tam wykrywać zagrożenia.

OPTIMUM

System Pszczoła

Jest to zestaw dronów o przeznaczeniu wojskowym: obserwacyjnych i uderzeniowych, który może być montowany na wozach bojowych, np. na KTO Rosomak.

System składa się z dwóch bezzałogowych statków powietrznych rozpoznawczych i czterech uderzeniowych. Dron rozpoznawczy może odlecieć ponad 2 km od miejsca startu i tam wykrywać zagrożenia. Lecąc na wysokości większej niż 100 m, jest praktycznie niewidoczny i niesłyszalny z ziemi. Cele wykryte przez bezzałogowce rozpoznawcze mogą być niszczone drona-

mi uderzeniowymi, które zawierają środki wybuchowe i wykonują misję samobójczą. Jest to szczególnie użyteczne w sytuacji, gdy przeciwnik jest ukryty i niedostępny za pomocą innych środków ogniowych. Dron uderzeniowy może wlecieć do budynku, poruszać się w lesie między drzewami, a także zaatakować przeciwnika od strony najsłabiej opancerzonej. ■

PARTNER SYSTEM

Magazyn wody w plecaku

Spółka z Człuchowa specjalizuje się w produkcji urządzeń filtracyjnych przeznaczonych do uzdatniania wody w sytuacjach kryzysowych, takich jak klęski żywiołowe czy ataki terrorystyczne, kiedy może dojść do jej skażenia, oraz urządzeń do magazynowania wody pitnej w warunkach polowych. Zaprezentowany przez Partner System **plecak do magazynowania i transportu wody** ma pojemność 25 l. Jest wykonany z odpornych na uszkodzenia materiałów i dodatkowo – dzięki folii termoaktywnej – chroniących wodę przed nadmiernym nagrzaniem lub wystudzeniem. Materiały, z jakich został wykonany, zapobiegają też rozwojowi bakterii i grzybów. Plecak ma specjalnie wyprofilowane szelki oraz plecy i pas biodrowy poprawiające komfort przenoszenia wody na większe odległości. ■

OPTIMUM

Cyklop

Jest to urządzenie do nauki, kontroli i oceny dokładności celowania podczas szkolenia i treningów ogniowych z broni strzeleckiej krótkiej i długiej. Dzięki połączeniu komputera z przyrządami celowniczymi broni, urządzenie pozwala trenować strzelania na dalsze odległości nawet w niewielkich pomieszczeniach zamkniętych. Zapewnia możliwość obserwacji na ekranie pulpitu sterowniczego punktu wycelowania broni. Po oddaniu „strzału” pokazuje miejsce celowania i zapisuje powstały obraz w pamięci. Umożliwia obejrzenie 25 ostatnio zapamiętanych obrazów. ■

OPRAC. KRZYSZTOF KOWALCZYK

PULSAR

Termowizory Quantum XQ

Urządzenia optoelektroniczne tego typu, analizujące promieniowanie i na tej podstawie tworzące obraz, umożliwiają widzenie w całkowitej ciemności ze skutecznością niespotykaną w urządzeniach noktowizyjnych. Dzięki nim bez problemu można dostrzec osoby perfekcyjnie zamaskowane, nawet przez trawę, krzaki



czy mgłę, bo zdradzi je ciepło emitowane przez organizm. Termowizory z tej serii cechuje **bardzo szybki czas uruchomienia – 2 s**. Można do nich podłączać dodatkowe wyświetlacze led i rejestrować obraz za pomocą zewnętrznych rejestratorów. Są one lekkie, małe i wstrząsoodporne, bez trudu mieszczą się w kieszeni. ■



nr 31.

*Celowniczy karabin
maszynowy, 7 Brygada Obrony
Wybrzeża (2014 rok)*

rys. Monika Rokicka



NR 31.

UBIÓR POLOWY

CELOWNICZY KARABINU
MASZYNOWEGO, 7 BRYGADA
OBRONY WYBRZEŻA (2014 ROK)

Předstawiamy żołnierza 7 Brygady Obrony Wybrzeża w ubiorze polowym wzór 1993, w kamuflażu pantera. Na lewym rękawie kurtki widać oznakę przynależności państwowej, a pod nią – oznakę rozpoznawczą 1 Batalionu Zmechanizowanego z Łęborka. Na głowie żołnierz ma hełm kompozytowy bez pokrowca. Ubioru dopełniają trzewiki ćwiczebne, a także taktyczne rękawiczki oraz kamizelka. Przy lewym udzie widoczna torba z maską przeciwgazową. Bronią żołnierza jest uniwersalny karabin maszynowy PKM kalibru 7,62 mm. ■

7 POMORSKA BRYGADA OBRONY
WYBRZEŻA IM. GEN. BRYG. STANISŁAWA
GRZMOTA-SKOTNICKIEGO

Wchodzi w skład 12 Dywizji Zmechanizowanej. Jednostka powstała 1 maja 1994 roku na bazie 16 Pułku Zmechanizowanego Ułanów Wielkopolskich oraz 34 Batalionu Obrony Wybrzeża jako 7 Brygada Zmechanizowana. Decyzją ministra obrony narodowej nr 77/MON brygadzie nadano nazwę wyróżniającą „Pomorska” i imię

gen. bryg. Stanisława Grzmota-Skotnickiego. Jednostka przejęła tradycje brygad i dywizji piechoty oznaczonych cyfrą „7”. Święto 7 BOW jest obchodzone 26 lipca, w rocznicę bitwy pod Szczurowicami, którą stoczyła 4 Brygada Jazdy z 1 Armią Konną Budionnego. W jej składzie walczył 16 Pułk Ułanów Wielkopolskich. ■



nr 32.

*Absolwent Akademii Marynarki
Wojennej (2013 rok)*

RAFAŁ
CIASTOŃ

Broń przeklęta



Wynalezienie kuszy nie zrewolucjonizowało może świata, ale broń ta niejednokrotnie odegrała decydującą rolę w bitwie. Anna Komnena, córka cesarza bizantyjskiego, tak opisała jej moc: „strzały wypuszczane gwałtownie mocą cięciwy, napiętej z wielkim wysiłkiem, przebijają na wylot tarczę czy pancerz z grubego żelaza i lecą dalej. Cangra [kusza] działa tak, jakby strzelał sam diabeł. Kogo dosięgnie pocisk, ten pada nieszczęsny”. Nic zatem dziwnego, że papież zakazał jej używania.

Wynalezienie kuszy najczęściej przypisuje się Chińczykom, choć jest możliwe także, że broń ta powstała pierwotnie wśród ludów barbarzyńskich zamieszkujących na terenach graniczących z Państwem Środka. Pierwsze wzmianki o niej pojawiają się już w źródłach z V wieku p.n.e., a dwa, trzy wieki później stanowiła ona uzbrojenie armii cesarstwa. W 36 roku p.n.e. miało dojść do starcia dwóch imperiów tego okresu – chińskiego cesarstwa Han i republiki rzymskiej. Oddział rzymski, który podjął wyprawę przeciwko Partii, miał natknąć się na Chińczyków w okolicach Sogdiany. To właśnie dzięki użyciu formacji kuszników Rzym został pokonany. Podobnymi do kuszy pod względem zasady działania były grecki euthytonon i rzymska carroballista, maszyny oblężnicze miotające ciężkie pociski, nawet kilkudziesięciokilogramowe – bełty. W starożytności kusze nie odgrywały jednak decydującej roli na europejskich polach bitew. Formacje kuszników były mniej rozpowсюżnione niż oddziały łuczników, którzy znacznie przewyższali ich szybkostrzelnością. Renesans kuszy nastąpił w późnym średniowieczu.

Jedną z podstawowych przewag kuszy nad łukiem jest łatwość obsługi. Kusznik nie musi doskonalic się latami, przez co zastąpienie poległego kolejnym nie narażało na większe trudności. Oprócz siły przebiccia, umożliwiającej przestrzelenie nawet rycerskich zbroi – w tym okresie osiągnęły one kulminacyjny punkt swego rozwoju w postaci tzw. zbroi kompletnej – był to jeden z powodów, dla którego papież Innocenty II podczas soboru laterańskiego wymógł wprowadzenie zakazu stosowania kuszy w wojnach przeciwko chrześcijanom. Wciąż jednak można było jej użyć przeciwko innowiercom. Dzięki tej broni bowiem każdy, niezależnie od stanu, z jakiego się wywodził, mógł położyć trupem rycerza. Tak na marginesie – można uznać to postanowienie za pierwszą konwencję o zakazie danego typu broni.

Oddziały kuszników odgrywały, podobnie jak ciężka jazda, znaczącą rolę w armiach krzyżowców, zawsze cierpiących na niedostatek ludzi. Podczas podejmowanych przez Saracenów prób oblężeń miast i fortów za kusze chwyтали również mieszczanie, wzmacniając siły załogi. Broń ta wróciła także do łask w Europie – francuskie zwycięstwa w wojnie stuletniej, m.in. pod Crécy, Poitiers, Azincourt, to tryumfy kuszników. Schyłek kuszy jest związany z pojawieniem się broni palnej. Choć początkowo była mniej celna i nie bardziej szybkostrzelna, to wciąż ją udoskonalano. Poza tym, co było istotne w epoce odkryć geograficznych i starć z ludami Ameryk i Afryki, wywoływała efekt paniki z powodu huku wystrzału.

W wielu krajach, również u nas, kusza do dziś znajduje się na cenzurowanym, a na jej posiadanie są wymagane odpowiednie zezwolenia. Współczesne kusze myśliwskie to drogie i skomplikowane urządzenia, z celownikami optycznymi i podajnikami bełtów, których przewagą nad bronią palną jest to, co kiedyś zdecydowało o rezygnacji z tej broni – cichość działania. ■



Autor jest doktorantem Akademii Obrony Narodowej,
ekspertem Fundacji im. Kazimierza Pułaskiego.

STRATEGIE

/ ZAGROŻENIA



TOMASZ OTŁOWSKI

KOSZTOWNE AMBICJE

**Państwo Islamskie nie przebiera
w środkach. I chodzi nie tylko o prowadzenie
walki, lecz także zdobywanie pieniędzy.**



„Technicalsy”
z mobilnych formacji
zmechanizowanych ISIL

REUTERS/STRINGER/FORUM



iemal dwa lata od powstania kalifat Państwa Islamskiego (IS) funkcjonuje – pod względem wewnętrznej organizacji – bez większych zmian, pomimo utraty części terytorium i kilku spektakularnych porażek militarnych. Tak duża aktywność w Lewancie nie byłaby możliwa, gdyby IS nie dysponowało znacznymi funduszami, do tego zdobywanymi całkowicie samodzielnie. Niewyobrażalne wręcz bogactwo, do niedawna liczone nawet w miliardach dolarów, pozwoliło Państwu Islamskiemu skutecznie zaistnieć w Syrii i Iraku, a później rozszerzyć działalność na inne części świata, nieraz bardzo odległe.

RELIGIJNY OBOWIĄZEK

Do pewnego momentu dochody dzisiejszego Państwa Islamskiego – początkowo Al-Kaidy w Iraku, później Islamskiego Państwa w Iraku i Lewancie (ISIL) – stanowiły głównie wpływy od indywidualnych, hojnych darczyńców. Pochodzili oni głównie z krajów regionu Zatoki Perskiej (zwłaszcza z Kataru, Zjednoczonych Emiratów Arabskich i Arabii Saudyjskiej), a także Turcji i wielu miejsc na świecie, gdzie rzesza bezimiennych współwyznawców w ramach ummy (społeczności wiernych islamu) dawała swój zakat (jałmużnę) na walkę o prymat islamu, traktując to jako wypełnienie jednego z religijnych obowiązków. Było to zgodne z klasycznym schematem finansowania aktywności struktur Al-Kaidy, która nie wypracowała systemowych, ponadregionalnych mechanizmów samodzielnego zabezpieczenia swych działań.

Z czasem okazywało się to jednak dla islamskich radykałów w Lewancie niewystraszające, zwłaszcza wobec ambitnych zamierzeń strategicznych i militarnych. Nie bez znaczenia było to, że tego typu operacje finansowe w pewnym

sensie ograniczają rozmach działań, bo sponсорzy są mimo wszystko nieprzewidywalni, oraz uniemożliwiają utrzymanie tak rozległych terenów, jakimi już w 2013 roku dysponowało ISIL. Co równie ważne, takie transakcje mogą być łatwo namierzone i blokowane. Biorąc to pod uwagę, kierownictwo organizacji wolało postawić na finansową samowystarczalność. Trzeba przyznać, że rezultaty tej decyzji przeszły wszelkie oczekiwania.

Abu Bakr al-Baghdadi – lider ISIL i późniejszy kalif Ibrahim – ryzykowną decyzję o przejściu na samofinansowanie podjął na przełomie 2013 i 2014 roku, po zajęciu przez podległe mu oddziały rozległych obszarów w Syrii i północno-zachodniego Iraku. Od tamtej pory kierownictwo tej organizacji zaczęło przykładac coraz większą wagę do samodzielnego zdobywania funduszy i środków materialnych na swą działalność. Jak wszystko w ISIL, proceder ten był ściśle scentralizowany i poddany rygorystycznej kontroli. Dowódca każdej grupy bojowej musiał się rozliczać co do syryjskiego funta, irackiego dinara czy amerykańskiego dolara, zdobytych w trakcie prowadzonych działań. Po powstaniu kalifatu, sprawa stała się prostsza – „centrala” pobiera jedynie tradycyjny, należny „podatek” w wysokości 1/5 zdobyczy lub dochodów poszczególnych oddziałów, prowincji itd.

Zanim jednak do tego doszło, ISIL zaczęło zarabiać w każdy możliwy sposób. Sięgnięto nawet po metody typowe dla struktur przestępczych, takie jak wymuszenia, porwania dla okupu, reket czy pospolita grabież. Im bardziej ISIL (a od czerwca 2014 roku IS – Państwo Islamskie) rosło w siłę, tym większe stawały się zdobywane samodzielnie dochody. W ten sposób wprost proporcjonalnie malała zależność ISIL lub IS od zewnętrznych donatorów, choć wszelkie datki i dotacje nadal przyjmowano z otwar-

ISIL ZARABIA W KAŻDY MOŻLIWY SPOSÓB. EKSPORTUJE ROPE, A TAKŻE STOSUJE METODY TYPOWE DLA STRUKTUR PRZESTĘPCZYCH, TAKIE JAK WYMUSZENIA CZY PORWANIA



tymi ramionami. Warunek był jeden – darczyńcy dawali pieniądze, ale nie mogli formułować żadnych politycznych żądań, oczekiwać czy postulatów co do kierunków działalności obdarowywanego podmiotu. Ci spośród sponsorów, którzy nie chcieli się podporządkować tej zasadzie, z dnia na dzień przestawali być darczyńcami. IS wyróżniało się na tym tle negatywnie i bardzo szybko saudyjscy czy katarscy szejkwowie zrezygnowali z bezpośredniego wspierania organizacji. Ale, jak pokazały przyszłe wydarzenia, ani Arabia Saudyjska, ani inne państwa Zatoki Perskiej nie pozostawiły kalifatu samemu sobie, nawet jeśli formalnie są z nim dzisiaj w stanie wojny. Ultrasunnickie Państwo Islamskie, absorbujące uwagę strategiczną, siły i środki szyickiej Islamskiej Republiki Iranu – głównego geopolitycznego rywala państw regionu Zatoki Perskiej – jest zbyt cennym atutem, aby pozwolić na jego eliminację.

FINANSOWE ELDORADO

Na początku powstania kalifatu islamiści dysponowali środkami szacowanymi na około 800 mln USD (w gotówce i różnego rodzaju precjozach). Z tych funduszy kupowali na czarnym rynku nie tylko nowoczesne wyposażenie wojskowe (np. systemy łączności, noktowizory) i uzbrojenie, lecz także dobra luksusowe, niedostępne w objętej wojną Syrii czy północnym Iraku. Część z tych zakupów była dokonywana niemalże na skalę masową. Tajemnicą poliszynela jest np. to, że na początku 2014 roku ISIL kupiło za granicą (głównie w Jordanii, Turcji i krajach Zatoki Perskiej), oczywiście przez pośredników, w sumie około tysiąca nowych samochodów terenowych typu pick-up jednej ze słynnych azjatyckich firm motoryzacyjnych, przyczyniając się do skokowego wzrostu jej dochodów i ratingów. Pojazdy te sprowadzano później partiami na tereny kontrolowane przez kalifat, gdzie natychmiast zostawały poddawane militarnym modyfikacjom i już jako osławione „technicalsy” zasilały szeregi mobilnych formacji zmechanizowanych ISIL. Dzięki spo-



rym zasobom gotówki islamiści z ISIL byli także w stanie na bieżąco finansować zaciąg i utrzymywanie lokalnych i cudzoziemskich ochotników „świętej wojny” – każdy rekrut mógł liczyć na około 400 dolarów amerykańskich miesięcznego żołdu i pełne wyposażenie (średnia płaca w Iraku to 200 dolarów).

Bogactwo ISIL uległo zwielokrotnieniu po zajęciu Mosulu w czerwcu 2014 roku. Islamiści przejęli z tamtejszych banków gotówkę o wartości niemal 0,5 mld dolarów amerykańskich, a do tego wiele wartościowych depozytów. Iracki wywiad szacował wartość aktywów organizacji Al-Baghdadię na 1,5 mld dolarów. Wliczając w te zestawienia wartość zdobycznego sprzętu wojskowego, porzuconego przez irackie siły bezpieczeństwa, suma ta rosła nawet do ponad 2 mld (dżihadysty zdobyli m.in. dziesiątki pojazdów typu Humvee – każdy o rynkowej wartości około 250 tys. dolarów amerykańskich – a także kilka czołgów ciężkich M1A1 Abrams – cena jednostkowa to 10 mln dolarów amerykańskich).

Zresztą Mosul przez pierwszych kilka tygodni po zdobyciu był dla islamistów z IS istnym eldorado. Ocenia się, że dzienne dochody dżihadystów z różnego rodzaju aktywności przestępczej w tym mieście wynosiły wówczas nawet 10–12 mln dolarów amerykańskich. Szybko się to jednak skończyło. Konieczność przywrócenia działalności podstawowych służb komunalnych i administracji wymusiła bowiem na IS przeznaczenie znacznej części zdobycznych dochodów na podstawowe zarządzanie milionowym miastem, podobnie jak i pozostałymi częściami, szybko rozrastającego się w tamtym czasie, kalifatu.

Znacznym zastrzykiem gotówki dla IS okazała się też – zwłaszcza w początkowym okresie istnienia kalifatu – grabież mienia lokalnych społeczności chrześcijańskich i jazydzkich. Przede wszystkim majątki chrześcijan w północnym Iraku (w okolicach Mosulu), często tworzących w lokalnych społecznościach majątne warstwy kupców, handlowców lub hodowców, były od początku łakomym kąskiem dla islamistów. Nic dziwnego, że pod hasłami walki z niewiernymi posiadłości miejscowych chrześcijan skonfiskowano na potrzeby kalifatu, a ich majątki wystawiono na licytację. Według wiarygodnych źródeł, jeszcze na początku 2016 roku w Mosulu istniał, założony latem 2014 roku, targ o nazwie Bazar Nazarejczyków (w początkach islamu wyznawców Chrystusa nazywano właśnie nazarejczykami), gdzie sprzedawano, nieraz za bezcen, rzeczy zagrabione chrześcijanom. Dochody z tej działalności w całości szły na prowadzenie dżihadu.

ISLAMSCY TROFIEJCZYCY

Równie dochodowa dla Państwa Islamskiego stała się grabież zabytków i artefaktów archeologicznych, szcze-

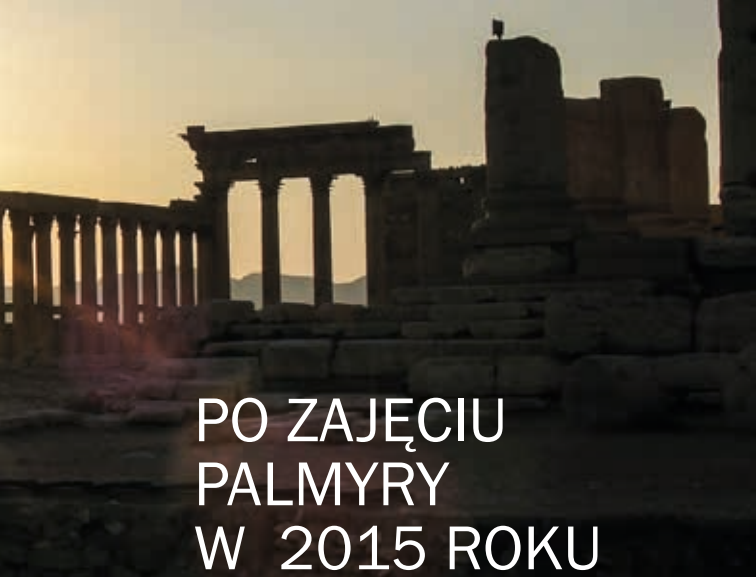
gólnie na terenie Syrii. Niektóre z nich pochodziły nawet sprzed 8 tys. lat, a ich sprzedaż na czarnym rynku kolekcjonerskim przez podstawionych pośredników miała przynieść kalifatowi tylko w drugiej połowie 2014 roku około 50 mln dolarów amerykańskich, a przecież kolejne lata obfitowały w nowe zdobycze.

I tak po zajęciu Palmyry w maju 2015 roku specjalne „trofijne komanda” Państwa Islamskiego spłądowały tamtejsze muzeum, a większość drobnych, czyli łatwych do przemycenia artefaktów wystawiły na sprzedaż. Przy okazji powstały, bulwersujące międzynarodową opinię publiczną, propagandowe nagrania przedstawiające niszczenie posągów i dużych zabytków, których nie dałoby się wywieźć z Lewantu i spieniężyć na Zachodzie. Niemożliwe dzisiaj do weryfikacji informacje wskazują też, że gdy kalifat zdecydował się zniszczyć tamtejszą świątynię Baala, to część jej szczątków oferowano zachodnim kolekcjonerom jako unikatowe pamiątki po bezpowrotnie zlikwidowanym pomniku starożytności. Podobno rozchodzily się jak ciepłe bułeczki.

Warto zauważyć, że ta „handlowa” działalność IS była możliwa (i w dużym stopniu jest nadal) niemal wyłącznie dzięki faktycznej bierności tureckich służb granicznych, które przyskują oczy na proceder przemytu różnego typu dóbr z terenu kalifatu. Dotyczy to także najważniejszego i najbardziej dochodowego towaru eksportowego Państwa Islamskiego, jakim jest ropa naftowa i jej pochodne.

PŁYNNE ZŁOTO

Zyski ze sprzedaży ropy i benzyny od początku działalności ISIL (a później IS) stanowiły główne źródło dochodów islamistów Al-Baghdadię. Na zdobytych przez kalifat w 2013 i 2014 roku terenach znalazło się około 60% złóż syryjskich oraz kilka pomniejszych na północy Iraku. Tempo, z jakim rozpoczęto eksploatację tych odwiertów, świadczy o tym, że przejęcie złóż było zaplanowaną operacją islamistów, a ich głównym zamiarem – jak najszybsze uruchomienie produkcji, zarówno na potrzeby własne, jak i czarnorynkowego eksportu. Szacuje się, że w pierwszym – najlepszym dla islamistów z IS – okresie działania kalifatu (tj. mniej więcej do końca 2014 roku) był on w stanie wycisnąć z tych instalacji około 80 tys. baryłek dziennie (50 tys. w Iraku i 30 tys. w Syrii), z czego 30 tys. trafiało od razu „na eksport” (głównie do Turcji, ale też do... irackiego Kurdystanu). Średnia wartość rynkowa wydobywanego w tamtym czasie w kalifacie surowca wynosiła 8 mln dolarów amerykańskich dziennie, wartość czarnorynkowa zaś to 3 mln dolarów. W ciągu roku dawało to astronomiczną kwotę co najmniej miliarda dolarów.



PO ZAJĘCIU PALMYRY W 2015 ROKU „TROFIEJNE KOMANDA” IS SPŁĄDROWAŁY TAMTEJSZE MUZEUM, A WIĘKSZOŚĆ DROBNYCH ARTEFAKTÓW WYSTAWIŁY NA SPRZEDAŻ

F. BANDARIN / UNESCO

Nie sposób określić, ile ropy wydobywa się obecnie na terenach kontrolowanych przez Państwo Islamskie. Można jednak śmiało zakładać, że produkcja z całą pewnością istotnie spadła w porównaniu do złotego okresu sprzed półtora roku. Ostrożne i oczywiście niemożliwe do weryfikacji szacunki wskazują, że wartość eksportowanej dziś na czarnym rynku ropy z kalifatu to być może wciąż nawet około 1 mln dolarów amerykańskich dziennie. Oznacza to trzykrotny spadek wolumenu sprzedaży w stosunku do poziomu sprzed półtora roku, ale i tak jest to wynik znaczący, wzięwszy pod uwagę, że ostatnie kilkanaście miesięcy to pasmo klęsk militarnych i problemów strategicznych kalifatu. Do najpoważniejszych należą coraz skuteczniejsze naloty sił koalicyjnych na instalacje i infrastrukturę naftową IS, a także utrata przez kalifat wielu terenów w północnej Syrii, graniczących bezpośrednio z Turcją. Zmniejszyło to możliwości „eksportowe” Państwa Islamskiego, jednocześnie jednak sprawiło, że wzrosło znaczenie „szlaku kurdyjskiego” w Iraku i współpracy z tamtejszymi strukturami przemytniczymi, powstałymi jeszcze w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku.

Prężny czarny rynek w regionie irackiego Kurdystanu powstał w czasie, gdy eksport ropy z Iraku był objęty sankcjami ONZ (1991–2003), a dzięki wieloletniej tradycji wykształciła się tam szeroko rozbudowana, profesjonalna i ponadnarodowa siatka szmuglerów i pośredników. To dzięki nim – paradoksalnie – kalifat wciąż może zarabiać na wydobywanej na swym terenie ropy naftowej. Władze pogrążonej w kryzysie ekonomicznym kurdyjskiej autonomii nie bardzo kwapią się do ukrócenia procederu, który daje zatrudnienie setkom osób w regionie, mogącym dzięki temu utrzymać swe rodziny, a także zaopatruje lokalny rynek w tani, chociaż kiepski olej napędowy. Oprócz tego i tak nie ma nikogo, kto mógłby zaprowadzić porządek – większość kurdyjskich peshmergów od dawna nie otrzymuje regularnego żołdu i wielu z nich „po godzinach” zatrudnia się jako ochroniarze konwojów przemycających ropę z kalifatu. To jeszcze jeden z wielu paradoksów, których pełen jest Bliski Wschód...

Obecnie eksport płynnego złota jest już jednak jednym z niewielu – oprócz przemytu artefaktów archeologicznych i zakatu – sposobów zarabiania pieniędzy przez Państwo Islamskie, który nie stracił na swym znaczeniu w ostatnich miesiącach. Dlatego być może niedawno w zachodnich mediach pojawiły się doniesienia, że kalifat zaczyna mieć finansowe problemy. Po raz pierwszy od powstania tego parapaństwowego tworu jego władze miały zacząć odczuwać braki gotówki – spadły dochody z przemytu ropy, na terenach kontrolowanych przez IS nie ma już nic więcej do spłądrowania, wyczerpały się też inne sposoby na zarabianie, takie jak porwania dla okupu czy ściąganie haraczy. Jak się jednak wydaje, prawdziwe kłopoty finansowe Państwa Islamskiego polegają raczej na zmniejszeniu się skali dochodów oraz są związane z utrzymaniem płynnej dystrybucji środków pieniężnych w ramach struktury organizacyjnej i terytorialnej kalifatu w Lewancie. Nie utraciło ono jednak płynności finansowej, a nawet wciąż jest najbogatszą sunnicką organizacją dżihadystyczną na świecie.

Część metod pozyskiwania funduszy, które z racji zmieniającego się środowiska strategicznego i nowych uwarunkowań militarnych zostały wyczerpane, zastąpiono innymi, bardziej rokowującymi na przyszłość, takimi jak choćby pobieranie od ludności opłat za energię elektryczną i wodę czy też organizowanie zbiórek wśród zwolenników IS na Zachodzie i szmuglowanie tak zebranej gotówki do Lewantu. Kalifat, jak wszystko na to wskazuje, wciąż pozostaje strukturą samowystarczalną finansowo, choć już nie tak bogatą jak u swego zarania, co sprawia, że walka z nim jest i nadal będzie niezwykle trudna. ■

RAFAŁ CIASTOŃ

KALIFAT NA E-CELOWNIKU

**Ataki wojsk lądowych na Państwo
Islamskie są prowadzone równoległe
z działaniami w sieci.**

PAUL PETERSON / USMC

W połowie maja w Iraku i w Syrii ruszyła ofensywa przeciwko tzw. Państwu Islamskiemu (IS). Armia rządowa, wspierana przez milicje szyickie (Siły Ludowej Mobilizacji) i irańskich doradców, ruszyła na Faludżę, drugie co do wielkości spośród irackich miast opanowanych przez kalifat. Kurdyjscy peszmergowie, wspierani z kolei przez milicje sunnickie, zbliżyli się do Mosulu, choć jak na razie nie ma mowy o próbie jego zajęcia. W Syrii natomiast kurdyjsko-arabska koalicja, znana pod nazwą Syryjskich Sił Demokratycznych (SDF), rozpoczęła marsz w kierunku Rakki, którego celem na początek jest opanowanie północnej części stolicy islamiistów. Kilka miesięcy temu rozpoczęła się też ofensywa innego rodzaju – w sieci.

Byłoby naiwnością sądzić, że działania w cyberświecie przeciwko tzw. Państwu Islamskiemu zapoczątkowano niedawno. Trwają one zapewne dłużej niż prowadzone przez dwie koalicje kampanie nalotów na cele islamiistów w Iraku i Syrii. Stany Zjednoczone nie od dziś postrzegają świat wirtualny jako piąty wymiar pola wal-

ki – po przestrzeni lądowej, morskiej, powietrznej i kosmicznej. Zmieniło się jednak coś innego – charakter tych działań. Trzy zasadnicze ich formy to: gromadzenie informacji, obrona własnych danych oraz atak na zasoby przeciwnika. Do niedawna USA ograniczały się w zasadzie jedynie do pierwszej z tych działalności. Impulsem do zmiany podejścia były wydarzenia z końca 2015 roku z Paryża i San Bernardino.

Krwawe zamachy inspirowane przez kalifat pokazały, że bezpośrednie zagrożenie, jakie on stwarza, nie ogranicza się do Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej, ewentualnie również Azji Centralnej. Aby je zlikwidować, nie można podejmować jedynie działań kinetycznych – trzeba też utrudniać propagowanie przez Państwo Islamskie ideologii, której nośnikiem bardzo często jest sieć internetowa. M.in. dlatego, pod koniec 2015 roku Ashton Carter, sekretarz obrony USA, zażądał od podległych mu dowódców, by w ciągu 30 dni przedstawili wykaz działań, jakie mogą być prowadzone w cyberprzestrzeni przeciwko Państwu Islamskiemu.



JOSHUA J. WAH / US NAVY

Celem hakerów US Cyber Command jest m.in. wywołanie niepewności, tak żeby przeciwnicy nie wiedzieli, czy dane problemy wynikają z wymierzonych weń akcji, czy też są one techniczne.

UCHYLENIE RĄBKĄ TAJEMNICY

Amerykańskie dowództwo ds. operacji cybernetycznych – US Cyber Command – zostało utworzone w 2009 roku jako odpowiedź na nowe zagrożenia w tej dziedzinie oraz na rosnącą rolę tworzonych przez pewne państwa (m.in. Chiny czy Rosję) jednostek, których przeznaczeniem jest walka w świecie wirtualnym. Mieści się ono w Fort Meade w stanie Maryland, czyli w siedzibie Agencji Bezpieczeństwa Narodowego (National Security Agency – NSA). Obie instytucje mają jednego szefa, a nawet wspólnych pracowników, którzy często, w zależności od wykonywanych zadań, działają w ramach jednego lub drugiego urzędu.

Dotychczasowa aktywność dowództwa była okryta tajemnicą i bez wątpienia tak będzie w dalszym ciągu. Upublicznienie informacji na temat akcji podjętych przeciwko islamistom jest wyjątkiem i wynika z tego, że dotyczą one pozapaństwowej struktury terrorystycznej, niemającej podmiotowości prawnomiedzynarodowej. 29 lutego 2016 roku Ashton Carter ujawnił, że Stany Zjednoczone prowadzą działania, których celem jest

zakłócenie sieci łączności i dowodzenia dżihadystów, ataki typu DoS (denial of service) i DDoS (distributed denial of service) na wykorzystywane przez nich strony, co ma prowadzić zarówno do fizycznego uniemożliwienia korzystania z tego rodzaju łączności, jak i pogorszenia wizerunku IS. Carter zaznaczył również, że prowadzone współcześnie operacje to coś więcej niż znana z przeszłości walka radioelektroniczna rozumiana jako zakłócanie.

Wypowiedź sekretarza obrony uzupełnił gen. Joseph Dunford, przewodniczący Kolegium Szefów Sztabów, który stwierdził, że działań prowadzonych wobec kalifatu nie da się zastosować w stosunku do innych podmiotów. Jednocześnie odmówił podania bardziej szczegółowych informacji na ten temat, które mogłyby pozwolić islamistom na odpowiednią reakcję. Celem hakerów US Cyber Command jest więc m.in. wywołanie niepewności, tak żeby przeciwnicy nie wiedzieli, czy dane problemy wynikają z wymierzonych weń akcji, czy też są one po prostu techniczne. W wypowiedzi Cartera znalazł się jeszcze jeden istotny element – efektem zakłócenia funkcjonalności i niezawodności informatycznych systemów łączności ma być m.in. zmuszenie przeciwnika do przejścia na inne, bardziej zawodne i dające się łatwiej inwigilować systemy.

Warto jednak zwrócić uwagę na jeszcze jedną, niezwykle istotną kwestię. Dla islamistów internet, a w szczególności media społecznościowe, jest głównym nośnikiem przekazu ideologicznego. Z jednej strony monitorowanie, a z drugiej blokowanie użytkowanych przez nich kont pozwala zarówno na dotarcie →



WIRTUALNE ATAKI NA KALIFAT TO TAKŻE POKAZ SIŁY I WOLI DZIAŁANIA SUPERMOCARSTWA I SAMEGO US CYBER COMMAND

fizycznie do kryjących się za nimi osób, jak i śledzenie aktywności islamistów oraz zdobywanie przynajmniej częściowej wiedzy o ich planach.

W pewnym sensie Państwo Islamskie jest łatwym celem dla wyspecjalizowanych organów państwa. Korzysta ono bowiem z cywilnych sieci i aplikacji, a nie odseparowanych od internetu systemów, jak ma to miejsce w wypadku państw. Aby umieścić Stuxneta w irańskim ośrodku nuklearnym, było zatem konieczne podłączenie do znajdującego się tam komputera zainfekowanej pamięci typu flash, a włamania na konto, z którego są przekazywane treści propagujące Państwo Islamskie, można dokonać nawet bezpośrednio z Fort Meade.

ZRRUCENIE CYBERBOMB

Działania w piątym wymiarze pola walki przekładają się pośrednio na jego wymiar podstawowy – lądowy. W połowie lutego w Syrii zostało odbite miasteczko Asz-Szaddada, dzięki czemu przerwano linię zaopatrzeniową łączącą Rakkę z Irakiem. Według informacji przekazanych przez zastrzegających sobie anonimowość przedstawicieli administracji amerykańskiej, jedną z przyczyn sukcesu w czterodniowej bitwie było właśnie zakłócanie łączności i komunikacji on-line dżihadystów.

Prezydent Barack Obama potwierdził także, iż dzięki działaniom w cyberprzestrzeni i zdobytym w ten sposób informacjom udało się namierzyć, a w rezultacie zlikwidować znaczące postacie kalifatu, m.in. Sulejmana Dawuda al-Bakkara, szefa programu broni chemicznej, czy odpowiadającego za finanse Hadżiego Imana. Należy zwrócić uwagę, że celem ataków jest cały sektor finansowy tzw. Państwa Islamskiego, przy czym są to działania komplementarne z uderzeniami kinetycznymi. Według niektórych ocen, naloty na elementy infrastruktury naftowej mogły zmniejszyć nawet o połowę, czyli 250 mln dolarów rocznie, dochody uzyskiwane z tego źródła. Kroki podejmowane w świecie wirtualnym mają zaś blokować możliwość transferu gotówki.

Na początku kwietnia 2016 roku przedstawiciele Departamentu Obrony po raz kolejny zabrali głos w kwestii prowadzonej e-ofensywy. Zastępca Cartera, Robert Work, określił ją mianem „zrzucania cyberbomb”, co miało zwrócić uwagę na znaczenie tej formy działań. Sam Carter powiedział, że jest to pierwsza misja bojowa US Cyber Command i potwierdził, że odbywa się również on-line. Intensyfikacja działań w świecie wirtualnym zbiegła się z przygotowaniami do działań lądowych. Operacje prowadzone w cyberprzestrzeni mogą przyszykować grunt pod uderzenia kinetyczne, zarówno przez zdobycie informacji co lub kto powinien się stać celem ataku, jak i przez obezwładnienie w kluczowych momentach systemów przeciwnika. Jednak decydując o realizacji misji kinetycznej, dowódcy często stają przed dylematem: czy właściwsze byłoby dalsze skupienie się na zbieraniu informacji, co nie grozi dekonspiracją wykorzystywanych technik i zasobów, czy też zdecydowanie się na fizyczną eliminację celu, co często łączy się z przynajmniej tymczasową utratą dostępu do danego typu informacji?

Do niedawna w US Cyber Command dominował ten pierwszy sposób myślenia i prawdopodobnie w odniesieniu do podmiotów innych niż tzw. Państwo Islamskie tak będzie dalej. Jak bowiem zauważył jeden z ekspertów, w amerykańskich działaniach istotną rolę odgrywa element propagandowo-wizerunkowy. Tak jak Rosjanie zdecydowali o użyciu pocisków manewrujących odpalanych z pokładów okrętów na Morzu Kaspijskim, co było dowodem technicznych możliwości i politycznej woli wykonania takiego ataku i nie było podyktowane potrzebami operacyjnymi, tak samo Amerykanie zdecydowali się na użycie swych e-zdolności i zakomunikowanie o tym światu. Wirtualne ataki na kalifat to także pokaz siły i woli działania supermocarstwa i samego US Cyber Command, które do 2018 roku ma zatrudniać 6 tys. żołnierzy i pracowników, działających na co dzień w 133 zespołach. ■

200 stron **fotografii lotniczych** *zespołów akrobacyjnych z całego świata*



*Obejrzyj
fragment
albumu*

Jedyny taki album w Polsce
zamów u nas ↙

BIBLIOTEKA POLSKI ZBROJNEJ

sekretariat@zbrojni.pl tel.: (48) 261 845 365, (48) 261 840 400



RODNEY FURRY / US NAVY

TADEUSZ WRÓBEL

Niezasłużona nagroda?

Stany Zjednoczone postanowiły znieść wszelkie ograniczenia na eksport uzbrojenia do Wietnamu.

Pod koniec maja prezydent Barack Obama odwiedził Demokratyczną Republikę Wietnamu. W trakcie wizyty w stolicy zapowiedział, że Stany Zjednoczone zniosą embargo na sprzedaż broni, które wprowadzono przed 41 laty.

KROK PO KROKU

Po krwawej wojnie i latach wrogości, jakie potem nastąpiły, Stany Zjednoczone i Wietnam rozpoczęły stopniową normalizację wzajemnych stosunków dopiero w latach dziewięćdziesiątych XX wieku. W kwietniu 1991 roku administracja prezydenta George'a Busha przedstawiła „mapę drogową” mającą do tego doprowadzić. Wtedy strona wietnamska zgodziła się na otwarcie biura rządu USA, które miało się zająć, bu-

dzącą duże emocje w społeczeństwie amerykańskim, sprawą żołnierzy zaginionych podczas konfliktu w Indochinach. Oficjalnie zaczęło ono funkcjonować 7 lipca 1991 roku. Trzy miesiące później władze w Hanoi poparły plan Organizacji Narodów Zjednoczonych w sprawie zakończenia konfliktu w Kambodży, a Waszyngton w grudniu 1991 roku zrewanżował się zniesieniem zakazu organizowania podróży z USA do Wietnamu.

W następnych latach wzajemne relacje się poprawiały. 2 lipca 1993 roku administracja prezydenta Billa Clintona zgodziła się, by Wietnam mógł uzyskiwać pożyczki na międzynarodowym rynku finansowym, w tym kredyty udzielane przez Bank Światowy i Międzynarodowy Fundusz Walutowy. 3 lutego 1994 roku

Okręt dowodzenia
USS „Blue Ridge”
wpływa do portu
Da Nang.

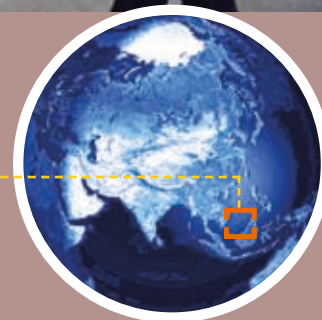
U.S. DEPARTMENT OF STATE



Sekretarz
stanu USA
John Kerry
w Wietnamie
w maju 2016 roku
entuzjastycznie
witany przez
mieszkańców
tego kraju.

SPORY Z CHINAMI

Jednym z powodów napięć wietnamsko-chińskich są spory o zwierzchność nad **wyspami na Morzu Południowochińskim**. Władze w Pekinie wysuwają roszczenia do większości obszaru tego akwenu, których nie uznają zarówno sąsiadujące państwa, jak i Stany Zjednoczone. Sprawa Morza Południowochińskiego jest istotna, gdyż ma ono strategiczne znaczenie ze względu na przebiegające tamteży szlaki żeglugowe. Chiny natomiast próbują polityki faktów dokonanych. Wietnamowi nie podobają się też chińskie plany budowy tam na rzece Mekong.



KRYTYKA POLITYKI OBAMY

Decyzję prezydenta Baracka Obamy o zniesieniu embarga na sprzedaż amerykańskiej broni Wietnamowi skrytykowali obrońcy praw człowieka. Według nich Waszyngton stracił w ten sposób skuteczne narzędzie nacisku na władze w Hanoi. Tak ocenił to Phil Robertson, zastępca dyrektora azjatyckiego oddziału Human Rights Watch: „Prezydent Obama po prostu dał Wietnamowi niezаслужoną nagrodę”.

THE WHITE HOUSE

zniesiono z kolei amerykańskie embargo handlowe wobec tego azjatyckiego kraju, a w maju zawarto porozumienie konsularne. Ważny w stosunkach amerykańsko-wietnamskich był również 1995 rok. Otóż 28 stycznia podpisano umowę o otwarciu biur łącznikowych w stolicach obu państw, a 6 lipca 1995 roku podczas wizyty sekretarza stanu Warren'a Christophera w Hanoi uroczystie otwarto amerykańską ambasadę w Wietnamie.

Na nawiązanie pierwszych kontaktów w sferze wojskowej trzeba było jednak czekać jeszcze pięć lat. 13 marca 2000 roku Hanoi odwiedził sekretarz obrony William Cohen. W listopadzie tegoż roku Clinton, jako pierw-

szy prezydent USA po zakończeniu wojny wietnamskiej, złożył wizytę w tym kraju. Trzy lat później, 10 listopada 2003 roku, Stany Zjednoczone odwiedził minister obrony Wietnamu Pham Văn Trà, dziewięć dni później zaś w południowowietnamskim mieście Ho Chi Minh zacumowała fregata rakietowa USS „Vandegrift”. Wizyta miał wymiar symboliczny – był to pierwszy amerykański okręt w wietnamskim porcie od zakończenia wojny w 1975 roku. W lutym następnego roku Wietnam odwiedził z kolei ówczesny dowódca sił morskich na Pacyfiku (US Pacific Command) adm. Thomas Fargo. Od tego czasu kontakty na wysokich szczeblach politycznych i woj- ➔

skowych oraz wizyty amerykańskich okrętów w wietnamskich portach stały się normalnością. Niemniej jednak Amerykanie utrzymywali zakaz sprzedaży broni dawnemu przeciwnikowi.

KONIEC OGRANICZEŃ

Sygnal, że podejście Waszyngtonu w tej kwestii się zmienia, pojawił się na początku października 2014 roku. Sekretarz stanu John Kerry po spotkaniu z pierwszym wicepremierem i ministrem spraw zagranicznych Pham Binh Minhem ogłosił, że ograniczenia w sprzedaży sprzętu wojskowego związanego z bezpieczeństwem morskim będą mniej restrykcyjne. Tyle że Wietnamczycy, mający z powodu sporów terytorialnych napięte stosunki z Chinami, zabiegali o całkowite zniesienie embarga.

Kolejnym krokiem było porozumienie o współpracy wojskowej podpisane na początku czerwca 2015 roku przez sekretarza obrony Asha Cartera i ministra obrony gen. Hung Luong Thanh. Amerykański polityk napomknął wówczas, że w przyszłości może dojść do koprodukcji sprzętu wojskowego. Taka zapowiedź ze strony prezydenta Baracka Obamy padła na wspólnej konferencji prasowej z wietnamskim prezydentem Tran Đai Quang 23 maja 2016 roku w Hanoi. „Decyzja o zniesieniu zakazu nie ma związku z Chinami”, zapewnił. „Zakaz sprzedaży broni był produktem zimnej wojny i nie powinien już istnieć”, oświadczyła rzeczniczka wietnamskiego ministerstwa spraw zagranicznych Hua Chunying. „Jest to bardzo dobra wiadomość, ma wielkie znaczenie dla Wietnamu”, powiedział CNN Nguyen Ngoc Truong, prezes wietnamskiego Centrum Studiów Strategicznych i Rozwoju Międzynarodowego, po czym zastrzegł: „To nie znaczy, że Wietnam będzie od razu bardzo dużym nabywcą amerykańskiej broni, ale jest to istotna deklaracja na przyszłość. Znacznie ważniejsza jest tutaj symbolika tego wydarzenia”.

Obama stwierdził, że zniesienie zakazu sprzedaży Wietnamowi śmiertelnej broni jest częścią głębszej współpracy obronnej z tym krajem. Podkreślił, że jest też pewnym zwieńczeniem długiego procesu normalizacji stosunków między obu państwami. W mediach pojawiły się natomiast spekulacje, że zniesienie zakazu sprzedaży broni jest powiązane ze zgodą władz Wietnamu na udostępnienie amerykańskim okrętom wojennym strategicznej bazy morskiej w zatoce Cam

KONTAKTY MIĘDZY HANOI I WASZYNGTONEM POPRAWIAJĄ SIĘ, GDY OBA PAŃSTWA MAJĄ NIE NAJLEPSZE RELACJE Z CHINAMI

Ranh, z której korzystały do początku lat siedemdziesiątych XX wieku.

W dyskusji o bazie pojawia się kwestia rosyjska. Moskwa, mająca aspiracje do odgrywania roli globalnego mocarstwa, jest zainteresowana korzystaniem z lotnisk i portów w tym południowoazjatyckim kraju. Ponadto dostarcza Wietnamowi większość uzbrojenia. Otwarcie Obamy ma więc

ograniczyć wpływy rosyjskie w Hanoi.

Z DRUGIEJ RĘKI

Z pewnością prezes Centrum Studiów Strategicznych i Rozwoju Międzynarodowego ma rację, że Wietnam nie będzie wielkim importerem amerykańskiego uzbrojenia, bo jego możliwości finansowe są ograniczone. Produkt krajowy brutto w 2015 roku wyniósł około 215 mld dolarów. Wojskowi z Hanoi mogą być jednak zainteresowani sprzętem z drugiej ręki, zbędnym siłom zbrojnym USA. Wendel Minnick w artykule na portalu Defense News wskazał, że główne dziedziny związane ze zdolnościami militarnymi, które Wietnam może zechcieć wzmocnić, posiłkując się wyrobami amerykańskimi, to obrona powietrzna i bezpieczeństwo morskie.

W wypadku obrony powietrznej w grę wchodzi używane myśliwce F-16, które będą wycofywane wraz z wprowadzaniem do US Air Force nowej generacji samolotu bojowego F-35A Lightning II. W ostatnich latach ze Stanów Zjednoczonych w ramach programu „Excess Defense Articles” (EDA) – przekazywania państwom sojuszniczym używanego sprzętu wojskowego po znacznie obniżonych cenach, 24 sztuki F-16C/D Block 25 trafiły do Indonezji. Wietnam kupił kilkadziesiąt nowych myśliwców Su-27 i Su-30, ale nadal potrzebuje następców nie tylko używanych Su-22, lecz także wycofanych ze służby MiG-21.

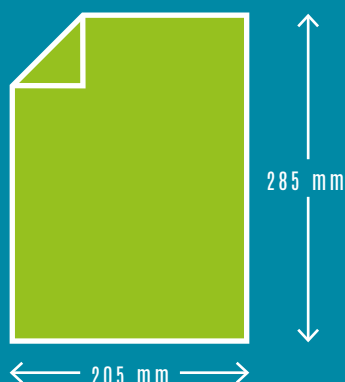
Atrakcyjną ofertą dla Wietnamu mogą być też patrolowe morskie samoloty P-3 Orion, które w lotnictwie US Navy są zastępowane przez P-8I Poseidon. Ich uzyskanie zwiększyłoby znacząco potencjał Wietnamu w kontekście sporów terytorialnych o wyspy na Morzu Południowochińskim. Innym sprzętem potrzebnym do zadań patrolowych mogą być drony, systemy radiolokacyjne, sprzęt łączności, śmigłowce i łodzie patrolowe. ■

Wojskowy Instytut Wydawniczy, wydawca m.in. „Polski Zbrojnej”, „Przeglądu Sił Zbrojnych”, „Kwartalnika Bellona” oraz portalu polska-zbrojna.pl, serdecznie zaprasza do współpracy marketingowej w wydaniach specjalnych.

REKLAMA I PROMOCJA NA ŁAMACH WYDAWNICTW SPECJALNYCH

Wydania specjalne:

- **Prezentuj Broń – MSP0** (6–9.09.2016)
- **Jubileusz 95-lecia Polski Zbrojnej** (5.10.2016)
- **Prezentuj Broń – Cyber Security 2016** (17–19.11.2016)



REKLAMA	
IV okładka	8000 PLN
II okładka	7000 PLN
III okładka	6000 PLN
wewnątrz	5000 PLN

ARTYKUŁ SPONSOROWANY	
tekst + grafika	5000 PLN
tekst	5000 PLN

Upusty:

10% – współpraca w dwóch tytułach specjalnych

20% – współpraca w min. trzech tytułach specjalnych

* wszystkie ceny są w kwotach netto

Wydawnictwa specjalne WIW-u regularnie trafiają do Kancelarii Prezesa Rady Ministrów i Kancelarii Prezydenta RP, przedstawicieli rządu, przedstawicielstw wojskowych w Polsce, departamentów Ministerstwa Obrony Narodowej, dowództw i instytucji wojskowych, dowódców, żołnierzy, pracowników i fanów wojska. Dodatkowo są dystrybuowane także podczas targów, konferencji, imprez oraz innych wydarzeń z udziałem i pod patronatem Wojskowego Instytutu Wydawniczego.

Zapraszamy do współpracy!!!

wiw
WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Aleje Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa, tel.: +48 261 845 365, e-mail: sekretariat@zbrojni.pl

Wydział Marketingu i Promocji

tel.: +48 261 845 180, e-mail: reklama@zbrojni.pl



Bartłomiej Grabski: Obrona terytorialna jest jednym z filarów mających wzmocnić bezpieczeństwo naszego państwa. Można rozważyć stworzenie ochotniczych jednostek cyberżołnierzy, obejmujących teleinformatyków czy specjalistów IT.



CYBERŻOŁNIERZE W OFENSYWIE

Z Bartłomiejem Grabskim

**o ochronie cyberprzestrzeni, nowym polu
walki oraz cyberżołnierzach rozmawia
Małgorzata Schwarzgruber.**

Wśród polskich postulatów na warszawski szczyt NATO znajdują się takie, które dotyczą cyberbezpieczeństwa...

Położenie geopolityczne naszego kraju oraz agresywne działania Rosji wymagają nie tylko wzmocnienia wschodniej flanki NATO, lecz także zwiększenia bezpieczeństwa w cyberprzestrzeni, zarówno Polski, jak i sojuszu. Jego zapewnienie podczas operacji wojсковych NATO jest jednym z priorytetów Ministerstwa Obrony Narodowej.

Do czego dążymy w tej dziedzinie?

Postulatów mamy kilka. Pierwszy to skuteczniejsza organizacja obrony cybernetycznej. Pojawienie się cyberprzestrzeni jako nowego wymiaru działań militarnych – obok lądu, wody, powietrza i kosmosu – powinno zwiększyć zaangażowanie państw sojuszu w budowanie struktur militarnych przygotowanych do odparcia zintensyfikowanych, długotrwałych ataków cybernetycznych. Drugi postulat to wzmocnienie polityki wzajemnego informowania się sojuszników o zda-

rzeniach wpływających na bezpieczeństwo cybernetyczne i metodach obrony. Wynika on ze specyficzności tego środowiska, w którym bezustannie trwa rywalizacja między coraz bardziej wyrafinowanymi środkami cybernapadu i narzędziami cyberobrony. Wspólne działania państw sojuszu, wymiana doświadczeń i wiedzy pozwolą szybciej i skuteczniej reagować na incydenty w tej przestrzeni. I wreszcie trzeci postulat – scenariusze ćwiczeń wojskowych, które muszą uwzględniać również zagrożenia płynące z cyberprzestrzeni. Należy zauważyć, że scenariusz „Anakondy '16” po raz pierwszy obejmuje także przygotowanie wojsk do obrony przed tego typu zagrożeniami. Ocena skuteczności działań po tych ćwiczeniach pozwoli na korektę procedur, w tym także dotyczących możliwości cyberobrony.

Ważne jest również zacieśnianie współpracy NATO i Unii Europejskiej w sprawach cyberbezpieczeństwa. W lutym 2016 roku podpisano porozumienie techniczne między zespołami reagowania na incydenty komputerowe Unii i NATO. Ma ono ułatwić wymianę informacji, aby lepiej przeciwdziałać incydentom cybernetycznym, wykrywać je oraz na nie reagować.

Czy postulaty, o których Pan mówi, znajdują zrozumienie u naszych partnerów z Organizacji Traktatu Północnoatlantyckiego?

Sojusznicy zgadzają się, że cyberprzestrzeń stała się jednym z obszarów współczesnego pola walki. Panuje też zgoda co do potrzeby opracowania planów odpowiedzi na tego rodzaju zagrożenia. Różnice dotyczą samych narzędzi do takiego działania oraz tego, kto powinien je posiadać: tylko poszczególne państwa czy może cały sojusz. Kwestią dyskusyjną jest także, czy finansowanie planowanych rozwiązań powinno się odbywać w ramach środków wspólnych NATO, czy też stanowić wkład własny jego członków.

Czy atak w cyberprzestrzeni na któregoś z członków NATO powinien być traktowany jako naruszenie artykułu 5 traktatu waszyngtońskiego?

Sojusz północnoatlantycki od początku podejmował działania na rzecz zapewnienia bezpieczeństwa własnych systemów teleinformatycznych przy założeniu, że za ochronę sieci narodowych są odpowiedzialne poszczególne państwa. Działania te zostały rozszerzone po ataku cybernetycznym w 2007 roku na Estonię. W 2014 roku na szczycie w Walii wzmocniono politykę NATO w dziedzinie cyberobrony i tego rodzaju ataki stanowią podstawę do powołania się na artykuł 5 traktatu waszyngtońskiego. W razie znaczącego uderzenia na pań-

stwo członkowskie, sojusz może zdecydować o udzieleniu wsparcia przez zaangażowanie natowskiego zespołu szybkiego reagowania – Rapid Reaction Team (RRT). Nie ustalono jednak, jaki próg trzeba przekroczyć, by się odwołać do artykułu 5. W ten sposób ewentualni napastnicy nie wiedzą, czy i jak NATO zareaguje na ich działania. Przyjęcie określonego pułapu mogłoby np. zasygnalizować sprawcom mniej dotkliwych cyberataków, że pozostaną bezkarni. Sojusz zwiększa swoje możliwości cyberobrony również przez współpracę z państwami partnerskimi i organizacjami międzynarodowymi, takimi jak ONZ, OBWE, Rada Europy. We wrześniu 2014 roku zainicjowano np. kooperację z sektorem prywatnym w ramach inicjatywy NATO Industrial Cyber Partnership (NICP). Współpraca ta w dużej mierze opiera się na wymianie informacji o cyberzagrożeniach.

Jak Pan sądzi, czy powinien powstać nowy rodzaj sił zbrojnych, którego żołnierze będą walczyć w cyberprzestrzeni?

Szerokie spektrum możliwości prowadzenia walki w przestrzeni wirtualnej skłania kolejne państwa do powoływania nowego rodzaju sił zbrojnych opartych na cyberżołnierzach – dobrym przykładem są Stany Zjednoczone czy też Niemcy. Kierownictwo Ministerstwa Obrony Narodowej zakłada, że nasze siły zbrojne również mają być gotowe do prowadzenia działań defensywnych i ofensywnych w cyberprzestrzeni.

Aby Siły Zbrojne RP były zdolne do działania w cyberprzestrzeni, muszą być do tego odpowiednio przygotowane. Jakie łączą się z tym wyzwania?

Cyberprzestrzeń nie jest rzeczywistym polem walki, lecz wielowymiarowym środowiskiem wirtualnym. Jest istotne, aby nasze siły zbrojne miały odpowiednie możliwości minimalizowania zagrożenia w tej przestrzeni lub, jeśli będzie taka konieczność, zdolności pozwalające na skuteczną odpowiedź. Największym wyzwaniem w osiągnięciu tego celu jest czas reakcji. Aby był jak najkrótszy, a podjęte środki odwetowe efektywne, są w naszym wojsku potrzebni wysokiej klasy eksperci wspierani przez odpowiednie środki sprzętowo-techniczne. Innymi słowy, utrzymanie bezpieczeństwa naszej cyberprzestrzeni wymaga nieustannego inwestowania w ludzi i nowoczesne oprzyrządowanie. Ministerstwo Obrony Narodowej jest świadome tych potrzeb i w budżecie resortu zostały zagwarantowane odpowiednie środki finansowe na ten cel. Liczymy na szerszą współpracę z polskimi firmami specjalizującymi się w cyberbezpieczeństwie.



Pana zdaniem, w armii mamy wystarczającą liczbę specjalistów od cyberbezpieczeństwa?

Europejski rynek szybko wchłania wysokiej klasy specjalistów branży IT, szczególnie ekspertów ds. cyberbezpieczeństwa, dlatego jest odczuwalny ich deficyt. MON podejmuje wiele inicjatyw związanych z pozyskiwaniem nowej kadry, np. poprzez wprowadzanie, w porozumieniu z uczelniami wojskowymi i cywilnymi, kompleksowych programów kształcenia i szkoleń.

Czy cyberżołnierzy będą wspierać członkowie obrony terytorialnej jako specjaliści ochotnicy?

Obrona terytorialna jest jednym z filarów mających wzmocnić bezpieczeństwo naszego państwa. Można rozważać stworzenie ochotniczych jednostek cyberżołnierzy, obejmujących teleinformatyków czy specjalistów IT, którzy na co dzień pracują w biznesie, a byłiby zainteresowani wspólnymi ćwiczeniami z wojskiem. Ze względu na potrzebne specyficzne predyspozycje tych ochotników, przede wszystkim jest wymagane przygotowanie programów weryfikujących i klasyfikujących umiejętności, następnie włączenie ich w odpowiednie struktury sił zbrojnych.

O co chodzi w resortowym programie operacyjnym dotyczącym bezpieczeństwa cyberprzestrzeni i wsparcia kryptograficznego?

Ten program ma pozwolić na przygotowanie i wdrożenie systemu kształcenia oraz narzędzi umożliwiających skuteczną obronę cyberprzestrzeni, a gdy pojawi się taka konieczność – działania ofensywne. Chcemy zachęcać polskie uczelnie i ośrodki naukowo-badawcze do prowadzenia badań naukowych, a także rozwijania technologii zwiększających bezpieczeństwo cyberprzestrzeni RP. Mamy jedno z najlepszych na świecie wyniki w edukacji informatycznej. Polskie zespoły zajmują czołowe miejsca w międzynarodowych konkursach, również z dziedziny cyberbezpieczeństwa. Np. zespół koordynowany przez Narodowe Centrum Kryptologii zajął szóste miejsce we współzawodnictwie podczas odbywających się w kwietniu w Tallinie międzynarodowych ćwiczeń „Locked Shields”.

Chcemy, aby polscy naukowcy włączali się w budowanie innowacyjnej gospodarki, również ukierunkowanej na potrzeby wojska. Jeżeli będziemy korzystać z krajowych produktów, a nie polegać wyłącznie na

rozwiązaniach importowanych, zwiększy się poziom cyberbezpieczeństwa naszego kraju.

W opracowywanej strategii cyberbezpieczeństwa Ministerstwo Cyfryzacji nie uwzględniło MON-u. Czy powstanie zatem strategia resortowa?

Ministerstwo Obrony Narodowej zapoznało się z wstępną propozycją założeń do strategii cyberbezpieczeństwa dla Rzeczypospolitej Polskiej i przesłało Ministerstwu Cyfryzacji swoją opinię. Uważamy, że jest konieczne doprecyzowanie stanowisk w kilku kwestiach, m.in. kompetencji MON-u, MSWiA oraz służb, źródeł i sposobów finansowania, przepływu informacji, szkoleń. Jest potrzebna dalsza dyskusja. Strategia cyberbezpieczeństwa dla Rzeczypospolitej Polskiej będzie podstawą do przygotowania dokumentów resortowych lub ich aktualizacji, np. polityki resortu obrony narodowej w dziedzinie bezpieczeństwa cyberprzestrzeni.

W grudniu 2015 roku został Pan pełnomocnikiem ministra obrony narodowej ds. bezpieczeństwa cyberprzestrzeni. Czym się Pan zajmuje na tym stanowisku?

Moim zadaniem jest skoordynowanie współpracy wszystkich komórek resortu zajmujących się tą dziedziną, z wyłączeniem zadań zastrzeżonych dla pełnomocników ds. ochrony informacji niejawnych, czyli nadzoru nad systemami i sieciami teleinformatycznymi przeznaczonymi do przetwarzania informacji niejawnych. Pełnomocnik określa kierunki działań w celu zapewnienia bezpieczeństwa cyberprzestrzeni resortu, koordynuje i weryfikuje ich realizację. Podejmuje kroki w celu sprawdzenia i oceny stanu bezpieczeństwa systemów teleinformatycznych oraz usług wchodzących w skład cyberprzestrzeni. W odniesieniu do przetwarzania informacji jawnej nadzoruje również funkcjonowanie Systemu Reagowania na Incydenty Komputerowe, tzw. MIL-CERT, obejmującego trzy poziomy: centrum koordynacyjne – poziom pierwszy, centrum wsparcia – poziom drugi, oraz administratorów systemów i sieci teleinformatycznych resortu, czyli poziom trzeci. Wszystkie działania koordynacyjne podejmowane przez pełnomocnika mają na celu utrzymanie bezpieczeństwa cyberprzestrzeni RP, uwzględniając przy tym nasze zobowiązania i dążenia wynikające z przynależności do Organizacji Traktatu Północnoatlantyckiego. ■

WIZYTÓWKA

BARTŁOMIEJ GRABSKI

Jest podsekretarzem stanu w MON-ie. W 2007 roku był prezesem Agencji Mienia Wojskowego i podsekretarzem stanu w MON-ie, następnie pracował w Kancelarii Prezydenta RP jako dyrektor Biura Audytu Wewnętrznego i Kontroli. W latach 2009–2010 pełnił funkcję społecznego doradcy szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego.



ANNA MARIA
DYNER

Wróg, wróg śmiertelny, koalicjant?

Po ostatniej wizycie ministra obrony Federacji Rosyjskiej Siergieja Szojgu w Syrii znowu mówi się o rosyjskich propozycjach składanych USA, aby wspólnie, ale w porozumieniu z syryjskim prezydentem Baszszarem al-Asadem i za jego zgodą, prowadzić naloty na tzw. Państwo Islamskie (IS). Podobna oferta, przedstawiona w maju tego roku, została jednak przez Amerykanów odrzucona, gdyż nie chcą oni uczestniczyć w operacji z udziałem władz syryjskich. Jeszcze wcześniej, w rozmowie telefonicznej, taką propozycję złożył Barackowi Obamie Władimir Putin.

Na pierwszy rzut oka ta oferta może dziwić, zwłaszcza że za całe zło na Bliskim Wschodzie, w tym za powstanie Państwa Islamskiego, Rosjanie obwiniają właśnie Stany Zjednoczone i ich sojuszników. Jednakże hasło o oczekiwanej koordynacji działań z USA, m.in. wymianie informacji o pozycjach bojowników wrogich organizacji, towarzyszyło rosyjskiej operacji lotniczej od początku, czyli od września 2015 roku. Trzeba też zauważyć, że to dzięki rosyjskim staraniom wywieziono z Syrii broń chemiczną, a za sprawą współpracy Rosji i USA udaje się utrzymywać kruchy rozejm w Syrii (nie dotyczy on walki m.in. z IS oraz Frontem al-Nusra).

Wszystko to pokazuje, że w walce z Państwem Islamskim Rosjanie chętnie skoordynowaliby działania z Amerykanami. Taka decyzja mogłaby bowiem przynieść określone korzyści. Jeśli chodzi o samą Syrię, zapewniłaby uznanie i dodatkowe wsparcie dla władz tego państwa. Mniejsze byłyby także rosyjskie koszty prowadzenia operacji wojskowej, bo mimo postanowienia z marca 2016 roku o wycofaniu części kontyngentu, Rosjanie nadal znacząco wspierają działania syryjskiej armii. Oferta ta może również oznaczać, że FR chce uciec od zarzutów, iż jej operacja lotnicza jak dotąd była wymierzona nie tyle w Państwo Islamskie, ile w bojowników syryjskiej opozycji. Dla Rosji byłaby to też szansa na stanie się pełnoprawnym członkiem koalicji antyterrorystycznej i tym samym powrót na arenę międzynarodową i zepchnięcie kwestii ukraińskiej na drugi plan. Można zatem oczekiwać, że takie oferty pojawiają się w przyszłości. Jeśli zostaną odrzucone, to dla Moskwy wcale nie będzie to zła wiadomość – tamtejsze media nadal będą mogły wskazywać, że jedynym celem USA, w przeciwieństwie do Rosji, jest destabilizacja Bliskiego Wschodu i obalenie legalnych władz w kolejnym państwie. Jednocześnie, w kontekście ewentualnej współpracy, duże znaczenie będzie miał wybór nowego prezydenta USA. Donald Trump deklaruje bowiem, że to w Rosji widzi partnera w walce z islamskim terroryzmem na Bliskim Wschodzie. ■

ANNA MARIA DYNER jest analitykiem i koordynatorem programu „Europa Wschodnia” w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych.

HISTORIA

/ ROZMOWA

NIEPOTRZEBNI MUSZĄ ZGINĄĆ

Z Przemysławem Szloskiem

**o stalinowskich represjach wobec polskich oficerów
i procesie komandorów rozmawia Tomasz Gos.**

TOMASZ GOS



Kto dowodził polską marynarką wojenną po zakończeniu II wojny światowej?

Władzę w Polsce wtedy przejął Związek Radziecki. W latach 1945–1955 na sześciu dowódców marynarki wojennej czterech było oficerami radzieckimi. Pozostałych dwóch Polaków skończyło tragicznie. Kmdr Adam Mohuczy został niesłusznie oskarżony o sabotaż i, według oficjalnej wersji, zmarł na zawał serca w więzieniu w Sztumie 1953 roku. Kmdr. Włodzimierz Steyera w 1950 roku wydano z marynarki wojennej bez prawa do emerytury, ponieważ nie chciał dopuścić do aresztowania swojego podwładnego.

A co z kadrą oficerską?

W marynarce po wojnie brakowało wyszkolonej kadry. Trzeba było więc obsadzić dowódcze stanowiska oficerami, którzy przeżyli, nawet jeśli nie popierali oni nowego systemu politycznego w Polsce. Plan działania ludzi, którzy w sensie politycznym odpowiadali za armię, był prosty: mamy pięć lat, aby wyszkolić nową kadrę, więc wykorzystajmy przez ten czas doświadczenia zawodowe przedwojennych oficerów, jednocześnie dokładnie ich obserwując i zbierając na ich temat jak najwięcej informacji. Po pięciu latach zaczniemy ich eliminować. Choć marynarzy i oficerów niższego stopnia usuwano już od 1945 roku.

Czy oficerowie, którzy stanowili przedwojenną kadrę w morskim rodzaju sił zbrojnych, planowali spisek?

Większość przedwojennych oficerów, którzy po wojnie trafili do marynarki wojennej, prowadziła zupełnie normalne życie, zarówno

prywatne, jak i zawodowe. Pomimo to byli przez cały czas inwigilowani przez Główny Zarząd Informacji. Przez pięć lat donosili na nich najbliżsi współpracownicy, podwładni, a czasem nawet sąsiedzi. Informowali o wszystkim, nawet o tym, o której godzinie oficer zamknął szafkę z tajnymi dokumentami, o której wyszedł z pracy i z kim się spotykał, zarówno w pracy, jak i później, o której wychodzi z psem i jakie są jego relacje z żoną. Na przykład kmdr Stanisław Mieszkowski, dowódca floty, miał brata w Wielkiej Brytanii, z którym utrzymywał kontakt listowny. Ten fakt również został później wykorzystany przy fabrykowaniu oskarżeń o współpracę z obcym wywiadem. Jeden z komandorów miał w swojej prywatnej bibliotece książki dotyczące marynarki wojennej napisane w języku niemieckim, co również wykorzystano w procesie jako dowód na kontakty z obcym wywiadem. Posłużono się też zeznaniami ludzi, którzy podobno widzieli przed wojną komandorów w towarzystwie oficerów polskiego kontrwywiadu, co oznaczałoby, że wciąż mają kontakt z Londynem. Wobec innych oficerów preparowano oskarżenia o pijaństwo i celowy sabotaż.

A czy fabrykowano oskarżenia związane bezpośrednio ze służbą w marynarce wojennej?

Tak. Kmdr Mieszkowski nie chciał wymienić na „Błyskawicy” urządzeń chłodzących, ponieważ, według niego, dobrze działały. Problem jednak w tym, że były to urządzenia produkcji brytyjskiej, a radzieccy oficerowie chcieli je zastąpić maszynami wyprodukowanymi w Związku Radzieckim. Decyzja dowódcy floty o zachowaniu na okręcie starych urządzeń była podczas procesu kolejnym dowodem na jego wrogi stosunek do nowych władz. Samo wykonywanie obowiązków przez komandorów

Aresztowania i oskarżenia

Szczególnie istotnym momentem czystki, nazywanej stalinowską, w powojennej marynarce wojennej – ze względu na wysoką rangę oskarżonych – był proces siedmiu komandorów zajmujących najwyższe stanowiska w polskiej flocie.



Komandor Stanisław Mieszkowski



Komandor porucznik
Zbigniew Przybyszewski

Komandor Jerzy Staniewicz

Komandor porucznik pilot
Kazimierz Kraszewski



Komandor Marian Wojcieszek

Komandor porucznik Robert
Kasperski

Komandor porucznik Wacław
Krzywicz

Oskarżono ich i skazano przede wszystkim dlatego, że nie byli „swoi”. W związku z tym byli niepewni

było „dowodem ich winy”. Jak choćby kontrola umocnień na Wybrzeżu, co – według oskarżycieli – świadczyło o zbieraniu informacji dla obcego wywiadu.

Na początku lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku oskarżono i skazano siedmiu komandorów. Pięciu z nich: kmdr Stanisław Mieszkowski, kmdr por. Zbigniew Przybyszewski, kmdr Jerzy Staniewicz,

kmdr por. Robert Kasperski i kmdr Marian Wojcieszek, otrzymało w 1952 roku wyroki śmierci. Reszta – kmdr por. Robert Kasperski i kmdr por. pilot Kazimierz Kraszewski – dożywocie. Dlaczego?

Oskarżono ich i skazano przede wszystkim dlatego, że nie byli „swoi”. W związku z tym byli niepewni. To wystarczyło, żeby ich skazać na karę śmierci lub dożywocie. Według informacji, które dzisiaj mamy, nie stanowili



oni zagrożenia dla nowych władz. Niektórzy ze skazanych oficerów planowali na początku lat pięćdziesiątych przejść do floty handlowej. W marynarce wojennej zarobki nie były wówczas zbyt wysokie, a flota handlowa dawała większe możliwości finansowe. Oskarżeni oficerowie marynarki nie chcieli zmieniać powojennej rzeczywistości. Raczej chcieli się ustatkować i normalnie żyć.

W jaki sposób wymuszano zeznania?

To były standardowe tortury, stosowane zarówno przez NKWD, jak i gestapo. Na przykład wielogodzinne przesłuchiwanie na stojąco. Jeśli ktoś zaczynał słabnąć lub zasypiać, to cucilo się go gumową pałą lub wiadrem zimnej wody. Niektórych umieszczano w celi, w której były rozlane fekalia lub woda sięgająca do kostek. W celach zabraniano siadać czy leżeć. Standardowo stosowano również bicie. Czasami podczas przesłuchań wyrywano paznokcie. Straszono również śmiercią bliskich osób i jednocześnie zakazywano się z nimi spotykać. Najgorsze, że prowadzący przesłuchania nie dyktowali zeznań. Oskarżeni sami musieli wymyślić, z kim i dlaczego spiskowali. Miało to uwiarygodnić ich zeznania, a presja psychiczna – sprawić, że sami uwierzą w to, iż są winni.

Czym był Główny Zarząd Informacji?

Instytucja, potocznie zwana Informacją Wojskową, była czymś w rodzaju Urzędu Bezpieczeństwa dla wojskowych. Miała sprawdzać, czy w wojsku nie ma szpiegów. Na marynarkę wojenną przypadał Okręgowy Zarząd Informacji nr 8. Swoją siedzibę miał przez dłuższy czas w Gdyni przy ulicy Świętojańskiej 9. W tym budynku znajdował się również areszt śledczy OZI. W praktyce funkcjonariusze GZI szukali haków na niepewnych politycznie żołnierzy i oficerów. Do zebranych materiałów dostosowywano później akt oskarżenia.

WIZYTÓWKA

Podczas procesu nie dopuszczono do głosu oskarżonych oficerów?

Zgadza się. Nie mieli oni praktycznie żadnej możliwości obrony. Chcieli odwołać wymuszone na nich zeznania, ale sąd im tego zabronił. Oskarżyciele stwierdzili nawet, że próba zmiany wcześniejszych zeznań stanowi dowód ich winy. Bliscy oficerów początkowo nie zostali nawet oficjalnie powiadomieni o aresztowaniach. Dowiadywali się o tym od znajomych pracujących w marynarce wojennej. Jeszcze

w czasie śledztwa rodziny komandorów wysiedlono w głąb Polski i miały zakaz przebywania na Pomorzu.

Dlaczego mówi się, że to był proces odpryskowy?

Głównym procesem politycznym w wojsku w latach pięćdziesiątych był tzw. proces TUN, czyli gen. Stanisława Tatara oraz pułkowników Mariana Utnika i Stanisława Nowickiego. Generał służył początkowo komunistom do działań propagandowych. Wrócił z Londynu, nie został aresztowany, a nawet dostał ważne stanowisko w armii. Komuniści chcieli w ten sposób zachęcić do powrotu pozostałych Polaków przebywających na zachodzie Europy. W 1950 roku było wiadomo, że oficerowie, których przekonano, są już w kraju. Inni zostaną za granicą. Można więc było zacząć robić czystkę wśród tych, którzy wrócili do Polski, ale byli niepewni politycznie. Najczęściej oskarżano ich o próbę wywołania buntu lub szpiegostwo. W wypadku Tatara oskarżenie dotyczyło rzekomo zawiązania spisku wojskowego, który w razie ataku Amerykanów lub Brytyjczyków doprowadziłby do przejścia polskiej armii na stronę wroga. Generał i jego zaufani ludzie mieli stanowić kierownictwo tego spisku, ale w jednostkach wojskowych musieli mieć wykonawców swoich zamierzeń. Mieli być nimi właśnie oficerowie marynarki wojennej skazani w procesie komandorów.

Jakiego typu wyroki zapadały najczęściej w tych procesach?

Generał dostał dożywocie, a jego współpracownicy po 15 lat i mniej. Sprawy prowadzili jednak polscy sędziowie, których nie zmuszano, by orzekali kary śmierci. Można powiedzieć, że w jakimś stopniu dbali o to, by wyroki zapadały zgodnie z literą prawa. Wywołało to ogromną złość władz sowieckich. Podczas następnych rozpraw były już naciski, by skazywano na śmierć. Na marynarzach i oficerach marynarki wojennej wykonano na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych kilkanaście takich wyroków.

Po zapadnięciu wyroków w procesie komandorów Bolesław Bierut zastosował prawo łaski wobec dwóch oficerów: kmdr. por. Roberta Kasperskiego i kmdr. por. Mariana Wojcieszka. Dlaczego?

Długo się zastanawiałem, badając dokumentację, dlaczego było pięć wyroków śmierci, a wykonano trzy. Nie znalazłem żadnego schematu

PRZEMYSŁAW SZLOSEK

Jest absolwentem Wydziału Historycznego na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Pedagog i archiwista. Studia magisterskie ukończył w 2012 roku. Specjalizuje się w historii regionalnej i historii Polski po II wojnie światowej. W latach 2013–2015 był inspektorem w Oddziałowym Biurze Edukacji Publicznej Instytutu Pamięi Narodowej w Gdańsku. Autor wystawy „Ludzie morza. Stalinowski proces komandorów z dowództwa polskiej Marynarki Wojennej”.

Według informacji, które dzisiaj mamy, skazani oficerowie nie stanowili zagrożenia dla nowych władz. Niektórzy z nich planowali na początku lat pięćdziesiątych przejść do floty handlowej

ani dowodów na odmienne zachowanie ułaskawionych komandorów podczas śledztwa czy procesu. Podejrzewam, że nowa władza chciała pokazać swoją siłę i jednocześnie łaskawość. Ktoś na górze zdecydował, że ta trójka musi zostać poświęcona. Czy był to sam Bierut, czy było to Biuro Polityczne, a może towarzysze radzieccy, tego się nie dowiemy. Zdecydowano o ułaskawieniu komandorów Kasperskiego i Wojcieszka, ale nie było realnej przyczyny, dlaczego to oni przeżyli. Istotne jest też, że początkowo, tak jak w procesie gen. Tatara, na ławie oskarżonych miało zasiąść ośmiu komandorów. Jednak kmr por. Adam Rychel nie wytrzymał psychicznie twardego przesłuchania. Został zwolniony z więzienia i wkrótce zmarł na wolności.

Czy wydanie wyroków na komandorów wpłynęło w jakiś sposób na życie ich rodzin?

Oczywiście. Na przykład syn kmr. Mieszkowskiego chciał zostać architektem. Zależało mu na tym, by studiować w Gdańsku, starał się więc rozpocząć studia na tamtejszej politechnice. Nie dostał się jednak. Jak sam twierdził, właśnie sprawa jego ojca zaważyła na tej decyzji. Studia skończył w Warszawie.

Gdzie, kiedy i w jaki sposób wykonano wyroki śmierci na komandorach Mieszkowskim, Przybyszewskim i Staniewiczu?

Kmr Jerzy Staniewicz został zamordowany 12 grudnia 1952 roku, a kmr Stanisław Mieszkowski i kmr por. Zbigniew Przybyszewski – cztery dni później. Wyroki wykonano w warszawskim areszcie, w wyciszonym pomieszczeniu, strzałem w tył głowy. Następnie ciała wrzucono pod osłoną nocy do dziur

w ziemi. Tam, gdzie odnalezienie ludzkich kości nie wzbudziłoby sensacji – na cmentarzu.

Na razie odnaleziono szczątki dwóch z trzech skazanych na śmierć komandorów...

Dziś już wiemy, że Mieszkowski i Przybyszewski trafili na warszawskie Powązki. Co stało się ze Staniewiczem, pozostaje jeszcze poza naszą wiedzą. Choć podejrzewa się, że podzielił los swoich przyjaciół. Odnaleziono szczątki komandorów były zakopane w tej samej dziurze w ziemi na warszawskich Powązkach, w tzw. kwaterze „Ł” – Łączce.

Gdzie będą ich groby?

Rodzina Mieszkowskiego chciałaby, żeby jego szczątki spoczęły na Powązkach, a rodzina Przybyszewskiego pragnie, by jego grób znajdował się w Helu. W 1939 roku kmr por. Przybyszewski jeszcze jako kapitan był bowiem dowódcą Baterii nr 31 im. Heliodora Laskowskiego, tzw. cyplowej.

Jest Pan twórcą wystawy poświęconej procesowi komandorów...

Tak. Wystawa powstała w 2014 roku w Instytucie Pamięci Narodowej w Gdańsku i swoją pierwszą odsłonę miała w bibliotece Akademii Marynarki Wojennej w Gdyni. Od tamtej pory przez cały czas jest pokazywana w różnych miejscach na Pomorzu, przede wszystkim w szkołach. Ma formę dziesięciu plansz o wymiarach 90x120 cm. Znajdują się na nich informacje i fotografie dotyczące aresztowania, śledztwa, procesu komandorów i ich rehabilitacji, a także o przedwojennych losach, o obronie Wybrzeża w 1939 roku i o tym, jak próbowali odbudować po wojnie morską rodzaj sił zbrojnych oraz w jaki sposób polska marynarka wojenna została uzależniona od ZSRR. Z plansz możemy się także dowiedzieć, jak wyglądały próby odnalezienia miejsca pochówku komandorów.

Jak potoczyły się losy komandorów skazanych na karę długoletniego więzienia.

W czasie odwilży wypuszczono ich z więzień. Nie zostali przeproszeni, nie było też mowy o rekompensatach. Wyroki oficjalnie uchylono w 1956 roku, a prokuratura umorzyła postępowanie „z powodu braku dowodu winy”. Dopiero w 1995 roku zmieniono podstawy umorzenia śledztwa na „niepopelnienie czynów”. Pokrzywdzeni próbowali odnaleźć się po tym piekle, które przeszli. Żaden z nich nie wrócił do służby w marynarce wojennej. Starali się odbudować swoje życie w nowych warunkach. Część z nich wyjechała z Pomorza na stałe. ■

SZYMON DREJ

Tajemniczy Grunwald

Wydawać by się mogło, że bitwa z 15 lipca 1410 roku jest jednym z najlepiej rozpoznanych triumfów oręża polskiego w całych naszych dziejach. Tymczasem okazuje się, że jest zupełnie inaczej.

Przed laty prof. Stanisław Herbst napisał, że o Grunwaldzie wiemy z całą pewnością jedynie trzy rzeczy: że bitwa się odbyła, że rozegrała się w dniu Rozesłania Apostołów, czyli 15 lipca, oraz że zwycięstwo odniosły wojska króla Władysława II Jagiełły i wielkiego księcia Witolda. Cała reszta to jedynie hipotezy. Jest to prawda, gdyż do dzisiaj trwają gorące spory uczonych nie tylko o liczebność oddziałów walczących po obu stronach, lecz także o samo miejsce starcia, ustawienie chorągwi, wreszcie o przebieg batalii. Powszechny obraz potyczki połączonych sił unii jagiellońskiej i zakonu krzyżackiego został, niestety, zafałszowany – w skądinąd znakomitych dziełach – przez Henryka Sienkiewicza w „Krzyżakach” i Aleksandra Forda w filmie.

Dysponujemy, co prawda, źródłami pisanymi, przede wszystkim obszernym opisem bitwy w „Rocznikach” Jana Długosza oraz tzw. Cronica Conflictus anonimowego autora, być może naocznego świadka wydarzeń, sekretarza króla Jagiełły Zbigniewa Oleśnickiego. Obaj byli jednak duchownymi, kładli więc nacisk na zupełnie inne aspekty wydarzeń z 15 lipca 1410 roku, niż życzyliby sobie dzisiaj historycy wojskowości. Ponadto Jan Długosz, ojciec polskiej historiografii, urodził się pięć lat po bitwie i wszystkie jego wiadomości musiały pochodzić z drugiej ręki. Spróbujmy jednak ustalić, co w świetle badań pokoleń uczonych o Grunwaldzie wiemy, a czego się możemy jedynie domyślać.

MIECZEM CZY KOPIĄ?

Henryk Sienkiewicz pozostawił nam literacki i plastyczny opis wyglądu oddziałów obu walczących stron.



Bitwa pod Grunwaldem. Diebold Schilling, miniatura (XV wiek)

Według pisarza, Krzyżacy i ich europejscy goście to zakuci od stóp do głów rycerze, dysponujący najlepszymi i najdroższymi dostępnymi wówczas pancerzami. Tak zostali też uwiecznieni w filmie Forda. Niejako symbolem Krzyżaka stał się tam hełm typu hundsbeutel. Był to rodzaj przyłbicy z ruchomą, zwężającą się zasłoną, uformowaną na kształt psiego pyska, stąd jego nazwa.

Inaczej zostali przedstawieni rycerze polscy. Gorzej uzbrojeni i wyposażeni nadržali jednak nieustraszonemu męstwu i odwagą oraz przekonaniem o słuszności swojej sprawy. Litwini mieli być odziani i uzbrojeni jeszcze gorzej, niemal jak jaskiniowcy, w wyprawione skóry. Dosiadali małych koników i byli bezradni w starciu ze „średniowiecznym czołgiem”, jakim był pancerny rycerz z kopią.

Piękny ten sienkiewiczowski obraz... i patriotyczny, lecz zupełnie nieprawdziwy. W rzeczywistości uzbrojenie oddziałów krzyżackich i polskich wcale się od siebie nie różniło. Koronnym argumentem na poparcie tej tezy jest fakt, że król Władysław Jagiełło nakazał swemu rycerstwu tuż

SKALA KLĘSKI ZAKONU BYŁA TAK WIELKA, ŻE W DRODZE POD MALBORK PODDAWAŁY SIĘ JAGIELLE, BEZ WALKI, WSZYSTKIE MIASTA

przed bitwą opasać się przepaskami ze słomy, by w bitwie mogli się odróżniać od nieprzyjaciół. Podał także oddziałom zawołania bojowe: „Kraków” – rycerzom polskim i „Wilno” – rycerstwu litewskiemu.

Jak zatem mógł wyglądać w pełni wyposażony rycerz, stający ze swym poczem 15 lipca 1410 roku na Polach Grunwaldu? Podstawową bronią zaczepną, służącą do przełamywania szyków wroga i przebijania zbroi przeciwnika, była kopia – broń drzewcowa o długości dochodzącej nawet do 5 m. Zakończona masywnym grotem, niezwykle skuteczna i śmiertelna, miała jednak liczne wady. Po pierwsze, jej rozmiary uniemożliwiały jakiejkolwiek manewry, oprócz ataku w szyku prosto na wroga. Po drugie, jej ciężar sprawiał, że trzeba było stosować dodatkowe miejsce podparcia drzewca, które z kolei podczas szarży bardzo często się łamało. Zmuszało to rycerza bądź całą chorągiew do wycofania się na tyły w celu zaopatrzenia się w zapasowe kopie przed kolejnym atakiem. Z tych względów rycerstwo często zamieniało kopie na o wiele krótsze i łatwiejsze w użyciu sulice, czyli rodzaj włóczni. Taką bronią można było nie tylko atakować wroga w szarży „na wprost”, lecz także zadawać uderzenia. Popularna na Wschodzie, pod Grunwaldem była ona używana prawdopodobnie powszechnie przez wojska litewsko-ruskie, chociaż, według świadectwa Jana Długosza, posługiwali się nią także rycerze krzyżaccy, w tym sam wielki mistrz Ulrich von Jungingen.

Dopiero po skruszeniu wszystkich kopii rycerz dobywał miecza, będącego symbolem jego stanu. W późnym średniowieczu najpopularniejsze na polach bitew, a więc także i pod Grunwaldem, były miecze jedno- i półtoraręczne. Długość głowni tego pierwszego wynosiła do 100 cm, zaś waga wahała się od 900 g do około 1,2 kg. Półtoraręczny z kolei był nieco dłuższy, z głownią mierzącą od 100 do 120 cm. Ważył też więcej, bo do 2 kg. Popularne, znacznie tańsze od miecza, choć raczej używane „na co dzień”, były tasaki i kordy, będące bronią jednosieczną.

Oprócz mieczy rycerstwo, zarówno polskie, jak i wchodzące w skład wojsk zakonnych, używało, o czym świadczą chociażby najnowsze znaleziska archeologiczne z rejonu działań obu armii, także broni obuchowej – toporów i czekanów. Rycerz dzierżył w ręku nie tylko kopię czy

miecz, lecz także tarczę. Miała ona najczęściej kształt trójkątny. Malowano na niej herb walczącego, co miało umożliwić identyfikację w boju.

PRZEGLĄD ZBROI

Noszone przez armie, które starły się pod Grunwaldem, zbroje nie były jednolite. Ich rodzaj nie zależał jednak od tego, po której stronie rycerz walczył, lecz raczej od jego możliwości finansowych. Na głowie miał on oczywiście hełm. Najbardziej kojarzony z Grunwaldem był ten z ruchomą zasłoną, czyli wspomniana już przyłbica. Jednakże większość średniozamożnego rycerstwa używała tańszych osłon głowy – szłomów, ale przede wszystkim kapalinów, przypominających kształtem kapelusz.

Co do samej zbroi, to w bitwie z 15 lipca 1410 roku było ich kilka rodzajów. Mniej zamożni wciąż używali popularnych w XIV wieku pancerzy kolczych. Były to plecione kolczugi, do których przytwierdzano płytowe nagolenniki i nałokietniki. Nowszą i popularną wśród rycerstwa odmianą późnośredniowiecznej zbroi były tzw. płyty. Zbroja ta składała się z podłużnych żelaznych płytek nazywanych lub wszywanych w materiał, tworzących razem bojowy kirys. Na to narzucano zwykle ozdobną jakę, znaną też jako wappenrock, czyli rodzaj narzutki w barwach heraldycznych. Być może pod Grunwaldem używano też wczesnej odmiany pełnej zbroi płytowej, zwanej też białą. Być może nosili ją najwyżsi dostojnicy zakonni i polsko-litewscy. Są to jednak wyłącznie domysły. Całość wraz z hełmem ważyła około 30 kg.

Zupełnie inaczej, w typie wschodnim, był zapewne uzbrojony posiłkowy oddział tatarski, liczący około 300 muzułmanów, emigrantów politycznych z Krymu, przysłanych Witoldowi i Jagielle przez dowodzącego nimi kandydata do tronu Złotej Ordy – Dżalala ad-Dina. Nie będziemy tu omawiać uzbrojenia oddziałów pieszych, gdyż takich formacji, wbrew obiegowej opinii, pod Grunwaldem nie było.

Podstawową jednostką taktyczną średniowiecznej armii była kopia. Składała się ona z ciężkozbrojnego jeźdźcy wraz z poczem, którego liczebność zależała od możliwości finansowych rycerza. Poczet najczęściej tworzyły dwie



kopia, lecz łuk lub śmiercionośna kusza. Zdarzały się jednak poczty kilkunastoosobowe.

Pewna liczba kopii składała się na chorągiew. Mogła ona grupować rycerzy z danej ziemi, np. poznańskiej, lub była tzw. chorągwią prywatną, wystawioną przez najbogatszych wielmożów w państwie, choćby chorągiew wojewody krakowskiego Jana Sarnowskiego. Liczebność poszczególnych chorągwi znacznie się od siebie różniła i wynosiła prawdopodobnie do około 500 jeźdźców, choć zdarzało się, że było ich znacznie mniej, jak w chorągwi ziemi wieluńskiej. Według Jana Długosza, dla uzupełnienia jej stanu Władysław Jagiełło włączył nawet w jej skład pewną liczbę zaciężnych śląskich.

Bitwę w średniowieczu prowadzono na dwa sposoby. Ten bardziej „rycerski” nazywano „en haye”, czyli „w płot”. Polegał na ataku długiej, płytkiej, rozciągniętej linii rycerzy uderzających na wroga z towarzyszeniem pocztowych, którzy osłaniali swego pana i pomagali mu w walce. Wadą tego sposobu było to, że po wprowadzeniu chorągwi do ataku bitwa przeradzała się w serię pojedynków, a głównodowodzący tracił praktycznie wszelkie możliwości kontroli nad walczącą armią.

Pod Grunwaldem jednak obie strony zastosowały o wiele bardziej skomplikowany, wymagający znakomitej koordynacji w obrębie chorągwi, szyk kolumnowo-klinowy. Polegał on na ustawieniu walczących w rodzaj klina, którego zwężającym się czubem byli tzw. przedchorągiewni, najlepsi rycerze w danej chorągwi. Na środku znajdował się chorąży, który dawał znaki chorągwią, np. do ataku bądź wycofania się. Boki szyku zajmowali inni rycerze, a środek był wypełniony przez lekkobrojnych pocztowych, którzy strzelali z kuszy bądź łuków ponad głowami atakujących. Jan Długosz wymienia niektórych przedchorągiewnych imiennie, chcąc zapewne podkreślić ich wojenną sławę. Nam niech wystarczy, że chorągiew wielką ziemi krakowskiej prowadził w pierwszym szeregu sam Zawisza Czarny z Garbowa.

WIELKIE POBICIE

Pomimo znakomitego literacko opisu bitwy autorstwa Jana Długosza, spory o jej przebieg trwają do dziś. Słynny badacz Grunwaldu, prof. Sven Ekdahl, zestawiał w jednej ze swych publikacji około stu map różnych autorów przedstawiających hipotezy na temat ustawienia wojsk i przebiegu samej bitwy. Wiadomo na pewno, że po stronie polsko-litewskiej w boju wzięło udział 51 chorągwi polskich i 40 litewskich przeciwko 51 chorągwiom krzyżackim.

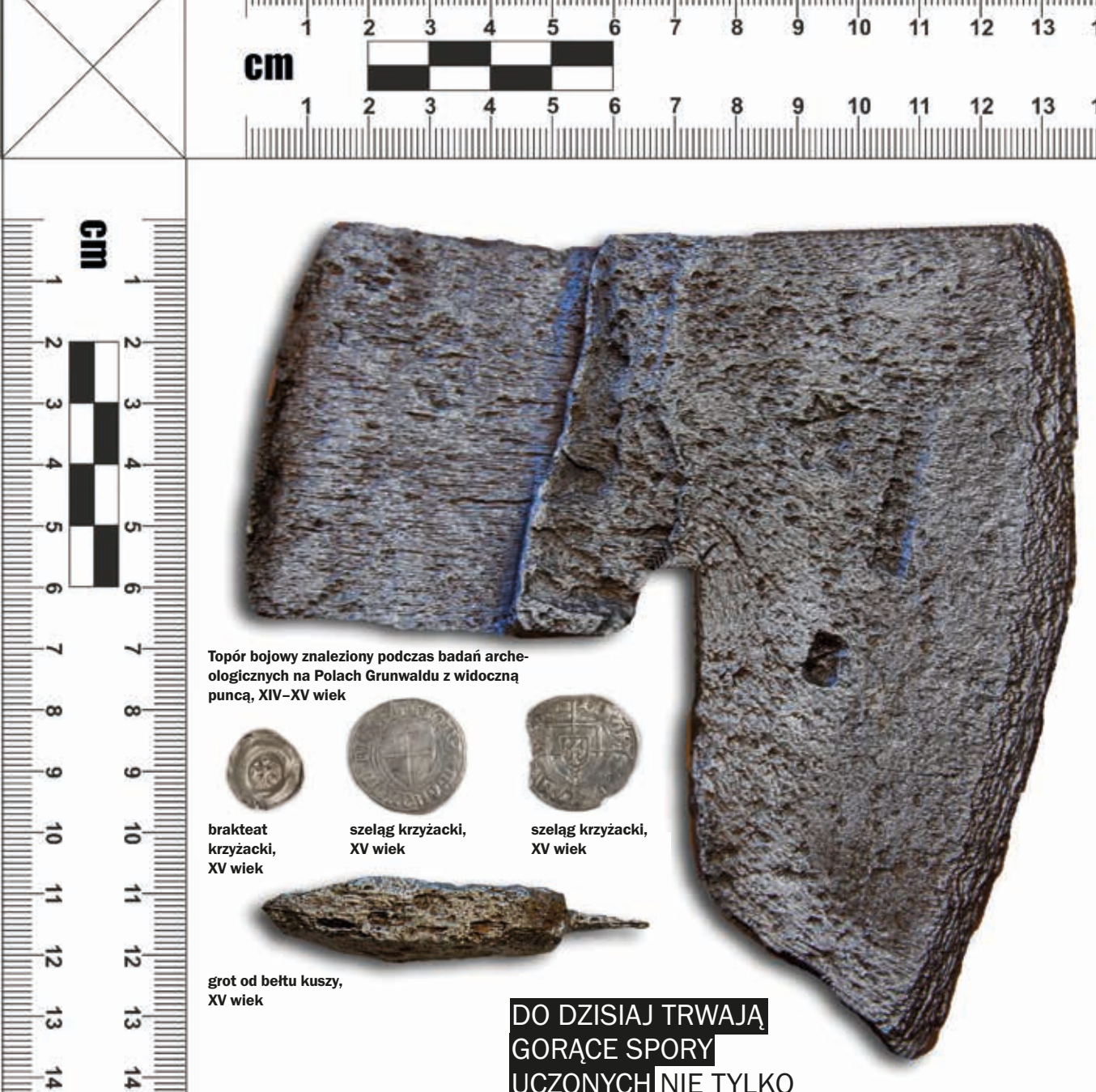
Liczebność obu armii nie jest znana. Pomijając fantastyczne informacje pochodzące z XVI wieku, a donoszące o milionie walczących, możemy przyjąć, że po stronie Jagiełły było ich około 30 tys., a von Jungingena – około

21 tys. Maszerujące wojska, rankiem 15 lipca stanęły naprzeciwko siebie. Polsko-litewskie były uszykowane wzdłuż drogi łączącej wsie Stębark i Łodwigowo. Prawe skrzydło, dowodzone przez wielkiego księcia Witolda, składało się z jazdy litewskiej. W centrum pozycje zajęli rycerze zaciężni z Czech i Śląska wraz z trzema pułkami smoleńskimi. Na lewym skrzydle stanęły oddziały polskie, dowodzone przez marsz. Zbigniewa z Brzezia. Naczelne dowództwo objął sam Jagiełło, który sprawował funkcję przez heroldów. Nie wziął udziału w bitwie, lecz wydawał rozkazy, stojąc na wzgórzu, w otoczeniu straży przybocznej. Król Polski nie spieszył się do bitwy. W roztawionej kaplicy polowej wysłuchał dwóch mszy. Dokonał też pasowania na rycerzy wielu młodych giermków. Zwłoka ta spowodowała wysłanie przez wielkiego mistrza słynnego poselstwa, które przyniosło królowi i wielkiemu księciu dwa nagie miecze.

Bitwa rozpoczęła się około południa, od ataku prawego skrzydła – Litwinów, na lewe skrzydło armii zakonnej. Wówczas to odezwała się dwukrotnie krzyżacka artyleria, nie czyniąc jednak żadnych szkód. Jak podaje Jan Długosz, także w wojsku polskim były w dużej liczbie bombardy. Dlaczego jednak nie zostały użyte pod Grunwaldem, tego nie wiemy. Być może znajdowały się w taborach, które nie zdążyły na czas dotrzeć na miejsce starcia.

Jak podano w XVI-wiecznej „Kronice Bychowca”, strona krzyżacka wykopała przed bitwą wilcze doły, w które mieli powpadać atakujący rycerze polscy. Badacze jednak stanowczo odrzucają taką możliwość. Po około godzinie, gdy bitwa wrzała już na całej szerokości frontu, doszło do poważnego kryzysu na prawym skrzydle wojsk polskich i w rezultacie – odwrotu, a następnie ucieczki Litwinów. Tak to opisywał Długosz. Nie możemy jednak wykluczyć, że był to, przynajmniej częściowo, zamierzony manewr taktyczny, mający na celu wciągnięcie Krzyżaków w wyczerpującą pogoń za uchodzącym wojskiem, a w efekcie rozerwanie szyków krzyżackiej kawalerii. Istotnie, Krzyżacy rzucili się w pogoń za uchodzącym wojskiem, zapominając o dyscyplinie zakonnej. Brali jeńców i łupy. Tymczasem na lewym skrzydle wojska polskie w trakcie zażartej walki zaczęły stopniowo brać górę nad armią von Jungingena. Doszło do dramatycznych wydarzeń. Krzyżacy zdobyli wielką chorągiew ziemi krakowskiej, którą dzierżył w rękach rycerz Marcin z Wrocimowic. Odśpiewali wówczas triumfalną pieśń „Christ ist erstanden”, ale rycerze polscy szybko odbili sztandar.

Gdy rycerze zakonu zaczęli przegrywać, wielki mistrz, chcąc przechylić szalę zwycięstwa na swoją stronę, osobiście poprowadził do ataku 16 odwodowych chorągwi. W trakcie tej szarży doszło do słynnego wydarzenia. Otóż Diepold von Kokeritz zauważył na wzgórzu oddział ryce-



Topór bojowy znaleziony podczas badań archeologicznych na Polach Grunwaldu z widoczną puncą, XIV–XV wiek

brakteat krzyżacki, XV wiek

szeląg krzyżacki, XV wiek

szeląg krzyżacki, XV wiek

grot od bełtu kuszy, XV wiek

DO DZISIAJ TRWAJĄ GORĄCE SPORY UCZONYCH NIE TYLKO O LICZEBNOŚĆ WALCĄCYCH ODDZIAŁÓW, LECZ TAKŻE O SAMO MIEJSCE STARCIA

rzy, a wśród nich jednego w wyjątkowo pięknej zbroi. Odłączył się zatem od swoich i z kopią ruszył do rycerskiego pojedynku. Tą wyróżniającym się postacią był sam Władysław II Jagiełło. Król Polski także ruszył do szarży i w pojedynku zabił Diepolda.

Atak odwodowych chorągwi wielkiego mistrza się nie powiódł. Ulrich von Jungingen wówczas zginął. Żadne źródła nie podają, kto go zabił, ale badania historyków sugerują, że mógł to być rycerz Mszczuj ze Skrzynna. W ostatniej fazie potyczki zdobyto krzyżacki obóz oraz tabor. Bitwa pod Grunwaldem trwała około sześciu godzin i zakończyła się godzinę przed zmierzchem. Zwycięstwo sprzymierzonych wojsk polsko-litewskich było całkowite. Skala klęski zakonu była tak wielka, że w drodze pod Mal-

bork poddawały się Jagielle bez walki wszystkie miasta. Sam król zaś znalazł się w niemalym kłopotcie. Na grunwaldzkim polu, oprócz wielkiego szpitalnika, polegli wszyscy dostojnicy zakonu. Nie miał więc Jagiełło z kim zawrzeć pokoju. Z pewnością poddałby mu się i sam Malbork, gdyby nie energiczna akcja komtura Świecia, późniejszego wielkiego mistrza, Henryka von Plauen. Pokój zawarty w 1411 roku w Toruniu nie zlikwidował problemu krzyżackiego. Zagrożenie zostało zażegnane dopiero w 1525 roku, kiedy to wielki mistrz Albrecht Hohenzollern złożył hołd królowi Zygmuntowi Staremu. ■

Dr SZYMON DREJ jest dyrektorem Muzeum Bitwy pod Grunwaldem.

JAKUB NAWROCKI

Rzeczpospolita Zasmycka

**Oddział samoobrony polskiej wsi dał początek
27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK.**

Wiosną 1943 roku sytuacja Polaków na Wołyniu była dramatyczna. Nacjoniści z Ukraińskiej Powstańczej Armii dokonywali coraz śmielszych napadów na polskie osady. Na szczęście były ośrodki tzw. samoobrony, w których Polacy stawiali zbrojny opór sotniom banderowców. Jedną z takich twierdz były Zasmyki.

Ta położona 15 km na południe od Kowla osada była niemalże jednolita etnicznie – zamieszkiwana przez Polaków. Początki konspiracji w Zasmykach sięgały jeszcze okupacji sowieckiej, ale intensywniej zaczęła się ona rozwijać dopiero w 1941 roku, po agresji III Rzeszy na ZSRR. Takie działania, jak rozprowadzanie prasy podziemnej, nasłuchy radiowe i praca wywiadowcza, szybko okazały się niewystarczające. Oprócz głównego przeciwnika – Niemców, pojawił się inny – nacjoniści ukraińscy. Wszystkie inne narodowości zamieszkujące te ziemie miały, według nich, zniknąć. Na przełomie 1942 i 1943 roku na Wołyniu wśród Polaków coraz więcej mówiło się o mordach dokonywanych przez bandy UPA i konieczności obrony bezbronnej ludności polskiej.

PARSZYWA DWUNASTKA

Nic dziwnego, że władze konspiracyjne Okręgu Wołyń Armii Krajowej zdecydowały w kwietniu 1943 roku o jak najszybszym tworzeniu oddziałów partyzanckich. Aby wesprzeć powstającą samoobronę Polaków, komendant, płk Kazimierz Babiński „Luboń”, rozkazał objąć kontrolą konspiracyjną te oddolne inicjatywy. Na początku lipca 1943 roku do Zasmyk z pobliskich Radowicz zjechał za-

tem 12-osobowy oddział pod dowództwem ppor. Henryka Nadratowskiego „Znicza”.

Ta wieś idealnie nadawała się do prowadzenia samoobrony. Od północy oddzielały ją duży las i trudna do przebycia piaszczysta droga. A od południa od wsi ukraińskich chroniły ją liczne zagajniki i niewielkie jeziora. Na dodatek wokół Zasmyk znajdowały się mniejsze polskie wioski, takie jak Stanisławówka, Janówka, Radomle, Batoryń, Gruszkówka i Stefanówka. Z niedalekiego Kowla do Zasmyk zaczęli przybywać młodzi członkowie konspiracji i delegowani oficerowie w celu sformowania pierwszych oddziałów partyzanckich i objęcia nad nimi dowództwa. Wśród nich znalazł się por. Władysław Czermiński „Jastrząb”. Ten młody oficer, z wykształcenia nauczyciel, zaczął organizować wraz z por. Michałem Fijałką „Sokołem” – cichociemnym, obrońców na wzór wojskowy. Sformował plutony i wprowadził żelazną dyscyplinę wojskową.

SIŁA SOCJOTECHNIKI

„Jastrząb” wiedział, że do obrony polskich osad nie wystarczą siły, jakimi dysponuje. Nie mając przewagi militarnej, postawił na działania psychologiczne i podstęp. Jak wspomina Leon Karłowicz „Rydz”, jeden z pierwszych żołnierzy oddziału partyzanckiego „Jastrzębia”: „Ukraińcy nie mieli pojęcia, ile ludzi liczy załoga, kto nią dowodzi, jaką dysponuje bronią. A rozsiewane celowo wieści o tysiącach żołnierzy, o działach i karabinach maszynowych, o nieustannie napływającej pomocy, i to aż zza Bugu, robiły swoje. Dowództwo czyniło wszelkie możliwe wysiłki, aby rozpuszczane pogłoski udokumentować wizualnie.

◀ Inscenizacja „Wołyń 1943 r. Czerwony świt – człowiek człowiekowi wilkiem”, którą zorganizował Tadeusz Kwiecień, założyciel Grupy Rekonstrukcji Historycznej „Oka”. Rekonstrukcja wydarzeń odbyła się w Smarchowicach Śląskich 24 sierpnia 2013 roku.

ROMAN SZOLDRA /
WWW.FOTOGRAFIAMYSLOW.PL



W tym celu niewielki oddział dzielono na dwie, trzy części i prowadzono pod same ukraińskie wsie, aby przeciwnicy mogli oglądać uzbrojonych ludzi w tym samym czasie. Nieraz »Jastrząb« ustawiał chłopców w długi rząd w znacznych odległościach i kazał przemykać w samo południe między drzewami i krzewami, przebiegać szybko przez odkryte tereny w kółko, by po kilka razy zniknąć w gęstwinach, a po paru minutach wybiegać znowu z poprzedniego miejsca na odkryte pole, zatoczyć krąg i natychmiast zniknąć. Z dala robiło to wrażenie przynajmniej kilkusetosobowego oddziału”.

Aby nie wyczerpywać zbyt szybko sił swoich żołnierzy, por. Czermiński nakazał dawać broń nieuzbrojonym kolegom i odbywać przemarsze na skrajach ukraińskich wsi.

Wiedział bowiem, że są pilnie obserwowani przez miejscową ludność. Gdy zwiadowcy UPA zapuszczali się pod polskie wsie, widzieli liczne warty, które często były uzbrojone w karabiny... wystrugane z kijów. Tego typu działania zniechęcały dowództwo UPA do bezpośredniego ataku na twierdzę zasmycką, a ta ciągle się powiększała o kolejne polskie przyległe wsie.

Ukraińcy spod znaku UPA również postanowili wykorzystać fortel i w celu infiltracji polskiej załogi wysłali miejscowych Ukraińców do polskich zagrod pod pretekstem wymiany handlowej bądź sąsiedzkich odwiedzin. Czujni Polacy na pytania sąsiadów o siłę polskiej partyzantki odpowiadali jednak, że jest wielotysięczna, uzbrojona w armaty i z każdym dniem się powiększa o nowo utworzone lub przybyłe siły.

Obawiając się bezpośredniej konfrontacji, upowcy zaczęli inicjować negocjacje ze stroną polską, tzw. dobowory, w sprawie wspólnej walki z okupantem niemieckim. Odbywały się one w zasmyckiej szkole. Banderowcy proponowali żołnierzom Armii Krajowej braterstwo broni, ale dopiero po rozbrojeniu polskich wsi. Por. »Jastrząb« wykorzystywał takie okazje, żeby wprowadzić w błąd Ukraińców i urządzał kolejne »przedstawienia«. W czasie negocjacji stron organizował pod oknami szkoły przemarsze swoich jednolicie umundurowanych i dobrze uzbrojonych żołnierzy. Gdy znikali z pola widzenia Ukraińców, przekazywali elementy umundurowania i broń kolejnym kolegom, którzy następnie odstawiali to samo widowisko na oczach delegacji ukraińskiej. Ponieważ przeciągane przez stronę polską rozmowy nie przyniosły skutku, Ukraińcy

postanowili skoncentrować znaczące siły w celu rozprawy z partyzancką załogą.

CZAS PRÓBY

Ostatecznie banderowcy postawili Polakom ultimatum. Do 31 sierpnia załoga polskiej samoobrony miała złożyć broń i podporządkować się rozkazom UPA. Polscy oficerowie dowiedzieli się, że we wsi Gruszkówka znajdują się znaczne siły przeciwnika, przygotowujące się do rozprawy z Zasmymi. „Znicz”, „Sokół” i „Jastrząb” postanowili przeprowadzić atak wyprzedzający.

W nocy z 30 na 31 sierpnia 1943 roku polscy partyzanci zakradli się pod zabudowania zajętej przez Ukraińców wsi. Atak był totalnym zaskoczeniem. Przerażeni banderowcy po intensywnej, ale krótkiej wymianie ognia uciekli przed dużo mniej licznymi siłami polskimi, które zdobyły porzuconą broń, żywność i tabor przygotowane do „oczyszczania” Zasmy i okolicznych wsi z Polaków. W trakcie walki poległ strzelec Stanisław Romankiewicz „Zając”. Następnego dnia w zasmym kościele odbył się jego uroczysty pogrzeb, który stał się wielką manifestacją miejscowej ludności polskiej.

W trakcie nabożeństwa żałobnego ksiądz Michał Żukowski wygłosił doniosłe przemówienie: „W obliczu Boga Wszechmogącego, przed trumną tego z was, polskiego żołnierza, który pierwszy oddał życie na polu walki za wolność nas wszystkich, ogłaszam Wolną i Niepodległą Rzeczpospolitą Zasmę! Dziś jest ona tylko Zasmą, ale niedługo już czas, gdy rozszerzy swoje granice do rozmiarów, które jej się z tytułu prawa i historii należą! I stanie się wtedy Najjaśniejszą Rzeczpospolitą Polską! Nie ma dziś w naszej Rzeczypospolitej Zasmie ani jednego wroga, a da Bóg, że nie będzie go na wszystkich polskich ziemiach!”. To przemówienie wywarło ogromne wrażenie na zebranych i wywołało poruszenie. Zaraz potem rozległ się z wieży kościelnej dźwięk dzwonu, który został zdjęty we wrześniu 1939 roku. Miał być ukryty w ziemi, aż do dnia odzyskania niepodległości.

Kolejne tygodnie 1943 roku przyniosły partyzantom „Jastrzębia” działania ofensywne. Rozbito setnie m.in. w Osieczniku, Rymaczach, Dażwie. Ewakuowano też polskich mieszkańców Dąbrowy do twierdzy zasmieckiej. Akcja ta została przeprowadzona niemalże w ostatniej chwili, bo gdy polskie tabory opuszczały wieś, z jej drugiej strony pojawiły się bandy UPA. Konwój cywilów był ewakuowany pod ostrzałem i prawie bez strat dotarł do Zasmy. Działania polskiej samoobrony zaczęły wykaczać daleko poza obronę ludności polskiej.

Niedaleko Zasmy była miejscowość zamieszkała przez osadników czeskich – Kupiczów. Stacjonował tam niewielki garnizon niemiecki, zajmujący się zbieraniem kontyngentów żywnościowych na potrzeby III Rzeszy. Po zbiorach załoga przeniosła się do Kowla, a mniejszością czeską zainteresowali się banderowcy. Mieszkańcom postawili ultimatum: albo przyłączą się do rzezi Polaków, albo sami padną jej ofiarą. Przerażeni ludzie wysłali w połowie listopada 1943 roku delegację do porucznika „Jastrzębia” z prośbą o wsparcie. Jego oddział wyruszył na pomoc Czechom i zajął niemieckie pozycje wokół Kupiczowa. Wielu partyzantów mówiło, że ich dowódca miał niesamowity instynkt, ponieważ w niedługim czasie nastąpił frontalny atak UPA na tę miejscowość. Ramie w ramie polscy partyzanci walczyli z czeskimi konspiratorami z lokalnej organizacji Aktyw. Banderowcy użyli w tych walkach m.in. czołgu własnej konstrukcji, przerobionego z traktora,

który został szybko zniszczony przez obrońców.

Ukraińcy rezuni nie dawali jednak za wygraną. Po raz kolejny postanowili zaatakować Zasmę, tym razem stosując fortel. W święta Bożego Narodzenia ostrzelali z armat czeski Kupiczów i przeprowadzili na tę miejscowość pozorowany atak. Była to jednak mistyfikacja, ponieważ w tym samym czasie na teren samoobrony zasmieckiej wjechały wozy z ludźmi w niemieckich mundurach. Byli to przebrani banderowcy, którzy wiedzieli, że Polacy starają się unikać walk z niemieckim okupantem i nie będą stawiali oporu, a więc przepuszczają wozy. Zaskoczenie faktycznie było ogromne. Spłonęły wówczas kolonie Janówka, Radonie i Stanisławówka. Zginęło blisko 50 obrońców i ludności cywilnej, ale atak został odparty. Było to ostatnie frontalne uderzenie UPA na polską twierdzę.

Na początku stycznia 1944 roku Armia Czerwona przekroczyła przedwojenną granicę Polski. Dowództwo Okręgu Wołyń AK wydało 15 stycznia 1944 roku rozkaz o mobilizacji oddziałów partyzanckich na bazie samoobrony w Zasmach i okolicznych polskich wsiach. Miejscowi dowódcy dalej stali na czele swoich formacji, które rozrosły się już do batalionów. W następnych miesiącach brały one udział w walkach powstałej 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK, aż do jej rozbicia w lipcu 1944 roku pod Skrobowem na Lubelszczyźnie przez Armię Czerwoną.

„Jastrząb”, „Sokół” i „Znicz” przeżyli wojnę i byli potem znanymi działaczami społeczności wołyńskiej. Po Zasmach niestety nie zostało do dziś prawie nic. Jedynym symbolem obecności Polaków w tej miejscowości jest cmentarz wojenny żołnierzy, którzy w latach 1943–1944 oddali swoje życie w obronie polskiego narodu. ■

■

WŁODZIMIERZ
KALETA

Kamienne granaty



Grzegorz P. odszedł z armii w stopniu podpułkownika kilkanaście lat temu. Nigdy dotąd nikomu o tej historii nie mówił. Kiedy służył w armii z poboru, było mu trochę głupio, że stał się bohaterem jednej z najchętniej powtarzanych wówczas anegdot. Teraz, kiedy mamy wojsko zawodowe, dowcipy, pokazujące tamtą armię od śmieszniejszej strony, są jakby mniej popularne. Chciałby w końcu wyjaśnić, jak było naprawdę.

Zastrzega, że przyczyną niefortunnego zdarzenia, którego był animatorem, nie był jedynie jego młodzieńczy entuzjazm, który przesłonił myślenie, jak potem opowiadali jego przełożeni. Nie doszłoby do tego, gdyby zmniejszana gwałtownie w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku armia nie była taka biedna, a przełożeni nie stawiali zadań szkoleniowych z kosmosu.

Był wówczas porucznikiem, dowódcą pododdziału zmotoryzowanego. Taką formację utworzyli na jakiś czas sztabowcy, aby zachować jak największą liczbę żołnierzy. Ich wozami bojowymi, na czas oczekiwania na sprzęt bojowy, były samochody. Szkolili się jednak tak samo, jak ich koledzy z pododdziałów zmechanizowanych. Tak samo rzadko strzelali amunicją bojową i tak samo rzadko rzucali granatami bojowymi. Zresztą granatów, nawet tych ćwiczebnych, do nauki rzucania, mieli niewiele. Dlatego nie używano ich podczas zajęć taktycznych. Zabrakłoby ich dla wszystkich, a oprócz tego, kto by je zbierał w natarciu? Poginęłyby, a za stratę w mieniu musiałby zapłacić dowódca. Tymczasem zgodnie z ówczesnymi wymogami szkoleniowymi każde ćwiczenia taktyczne kończyły się natarciem, w trakcie którego żołnierze, kiedy podeszli już blisko okopów przeciwnika, rzucali granatami i z okrzykiem „hura!” biegli do starcia na bagnety. Rzut granatem był fikcją i czasem markowano go ruchem ręki.

Tak miało też być podczas letnich ćwiczeń poligonowych kompanii zmotoryzowanej, którą dowodził porucznik P. Tym razem jednak ćwiczenia mieli obserwować goście z „góry”. Przełożeni doszli do wniosku, że machanie ręką przez żołnierza udającego rzut granatem może wyglądać śmiesznie. Postanowiono, że lepiej będzie, kiedy żołnierze użyją kamieni.

Szef zabrał wojsko w pole, każdy znalazł sobie dwa kamienie zbliżone wielkością do granatu i rankiem następnego dnia byli gotowi do działania. Kiedy przyszedł sygnał do ataku, wybiegli z okopów. Ćwiczenia potoczyły się zgodnie ze scenariuszem. Rzut granatem wyglądał nawet efektownie, ale prawdy o tym, czym rzucali żołnierze, nie udało się ukryć. Temat podchwyciła prasa i historia stała się sławna nie tylko w wojsku.

Przełożeni do sprawy nie wracali. Dopiero po latach nasz bohater dowiedział się, że jego historię podawano jako przykład na bezsensowne utrzymywanie formacji, która nie jest właściwie uzbrojona, rzuca kamieniami zamiast granatami, a w boju wspierają ją ciężarówki. Wprowadzono też zasadę, że dowódca szkoli wojsko tylko wówczas, kiedy ma pełne do tego zabezpieczenie. Pocieszał się, że to co zrobił, nie było aż takie złe. W końcu to dzięki niemu w wojsku było mniej fikcji.



Płk w st. spocz. WŁODZIMIERZ KALETA służył
w 7 Łużyckiej Dywizji Desantowej.



ANNA DĄBROWSKA

Wojak po służbie

Zadbanie o odpoczynek żołnierza jest tak samo ważne jak jego wyszkolenie.

Szeregowi w godzinach pozasłużbowych oraz w dni świąteczne wolne od zajęć nie są w dostatecznej mierze poddani opiece kulturalnej ze strony swych bezpośrednich dowódców”, pisał w 1926 roku w „Polsce Zbrojnej” gen. bryg. Jan Wróblewski, dowódca Okręgu Korpusu nr I w Warszawie.

TEATR CZY KASYNO?

Jak zaznaczył generał, do obowiązków przełożonych należy otoczenie troską i opieką swoich podkomendnych w czasie pozasłużbowym, tak by po ciężkiej pracy mogli znaleźć w swych oddziałach obmyślaną i przygotowaną przez przełożonych godziwą rozrywkę. Najlepsze, zdaniem dowódcy, są widowiska teatralne oraz głośne czytanie pouczających i interesujących powiastek. „Dzięki tym zajęciom żołnierz nie będzie zmuszony szukać rozrywek w nieodpowiednich lokalach na mieście”.

O zaletach czasu spędzonego w teatrze przekonywał także Józef Rączy, członek Zarządu Głównego Związku Teatrów i Chórów Włościańskich we Lwowie. Jego zdaniem żołnierzowi należy dać przyjemną i jednocześnie pożyteczną rozrywkę umysłu, która oderwie go od szarej jednostajności i wzniesie ponad zwykły tryb twardego życia żołnierskiego, a przy tym go wychowa. Taką rozrywką jest właśnie teatr żołnierski.

Inny sposób spędzania czasu zachwalał mjr Jan Brzeszczot, który pisał o powołaniu do życia warszawskiego kasyna oficerskiego przy alei Szucha. „Byliśmy dotychczas pozbawieni ogniska skupiającego nas wszystkich, gdzie mogłoby zawrzeć się w całej pełni nasze życie towarzyskie i umysłowe. Potrzeba budowy kasyna nie była zbytkiem, ale koniecznością, ponieważ jeszcze niedawno oficer, który chciał odpocząć po służbie, nie miał gdzie pójść, a na wizytę w restauracji brakowało mu pieniędzy”, pisał major.

Podobny problem pojawił się w związku z domami wypoczynkowymi dla oficerów. „Dotychczas organizowane letniska nie dawały prócz świeżego powietrza żadnych wygód, jakie kulturalny człowiek ma prawo żądać

w okresie letnim po ciężkiej pracy w linii czy sztabie. Wyjazd natomiast do miejscowości wypoczynkowej pociąga za sobą koszty wykraczające poza możliwości oficera”, argumentował płk Mirosław Taranowski. Dlatego postulował zbiórkę pieniędzy na oficerski dom wypoczynkowy, który stanie się oazą wytchnienia i miejscem spotkania oficerów rozmaitych rodzajów broni.

TURYSTYKA I HISTORIA

O zagospodarowanie wolnego czasu żołnierzy dbano też po II wojnie. W 1954 roku opisano przykładowy wolny dzień w jednej z kompanii. Po śniadaniu żołnierze udali się do hali sportowej, gdzie odbyły się zawody kompanijne, potem w świetlicy grano w warcaby i szachy. Po południu żołnierze oglądali w teatrze sztukę „Domek z kart” Emila Zegadłowicza, następnie odbyła się dyskusja na jej temat. Pozostałą część wieczoru spędzono, czytając zbiorowo książkę „Jak hartowała się stal”. „Żołnierze z zadowoleniem wypowiadali się o organizacji dnia wolnego, podczas którego dobrze wypoczęli po trudach tygodnia, i z zapałem przystąpili do dalszej pracy wyszkoleniowej”, pisało w „Żołnierzu Wolności”.

W gazecie poruszano też problem słabej frekwencji na imprezach organizowanych w warszawskim Domu Wojska Polskiego. „Jedną z przyczyn jest nieterminowe dostarczanie do instytucji tygodniowych programów imprez”, uważał por. Marek Małecki. Jak zaznaczył, to, że żony oficerów i podoficerów nie uczestniczą w tych wydarzeniach, jest spowodowane trudnościami z załatwieniem opieki nad dziećmi. „Zwracamy się do kierownictwa klubu oficerskiego przy DWP z pytaniem, dlaczego nieczynna jest przechowalnia dzieci”, pisał oficer.

Żołnierze spędzali też wolny czas na wycieczkach. „O społecznej i wychowawczej roli turystyki i krajoznawstwa dla środowiska wojskowego nie trzeba nikogo przekonywać”, zauważał Adam Śliwakowski z koła PTTK Warszawskiego Okręgu Wojskowego. Jak pisał, warunkiem sprawnego działania wojskowych kół PTTK jest umiejętna organizacja pracy. „W naszym okręgu staramy



NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

BUDOWA KASYNA BYŁA KONIECZNOŚCIĄ, PONIEWAŻ OFICER, KTÓRY CHCIAŁ ODPOCZAĆ PO SŁUŻBIE, NIE MIAŁ GDZIE PÓJŚĆ

się działalność turystyczną wzbogacać o edukację historyczną żołnierzy. Organizujemy wycieczki szlakiem walk partyzanckich czy rajd od Bugu do Warszawy szlakiem 1 Armii Wojska Polskiego”.

Z kolei członkowie Koła Młodzieży Wojskowej z kutrów torpedowych wybrali się, pod przewodnictwem maty Zdzisława Morysa, w 550. rocznicę zwycięstwa nad Krzyżakami na pola pod Grunwaldem, obejrzeć miejsce słynnej bitwy. Nie przyjechali jednak z pustymi rękami. Przygotowali dla Muzeum Bitwy pod Grunwaldem model torpedy, w której wnętrzu umieścili ziemię z Helu, Oksywia i Westerplatte oraz wodę z Bałtyku, jako symbole walki marynarzy i obrońców Wybrzeża z najeźdźcami.

Latem powrócił na łamy gazety temat wczasów. „W tym roku piękna słoneczna pogoda sprawiła, że

wszystkie wojskowe zespoły, domy oraz sezonowe ośrodki wypoczynkowe były wręcz obleżone”, pisał w 1982 roku ppor. Tadeusz Piekło. Na każdym turnusie zanotowano pełną frekwencję, a w szczycie sezonu niektóre ośrodki przyjmowały więcej osób niż wstępnie zakładano. „Wczasowicze dobrze wypoczywali należycie obsługiwani pod każdym względem”.

WIRTUALNY ODPOCZYNEK

Do problematyki wojskowych ośrodków wypoczynkowych powrócono w „Polsce Zbrojnej” 20 lat później. Jak pisał Jacek Szustakowski, w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku dyrekcja Wojskowego Zespołu Wypoczynkowego w Zakopanem nie musiała się martwić brakiem chętnych do spędzenia czasu w resortowych ośrodkach pod Giewontem. „Dzięki dotacjom MON do wczasów i kolonii prawie wszystkie miejsca były zajęte”.

Niestety w ostatnich latach do WDW przyjeżdża coraz mniej osób uprawnionych. W zeszłym roku ze środowiska wojskowego wywodziło się tylko 55% gości. Aby przyciągnąć chętnych, ośrodek postawił na zwiększenie komfortu pobytu. „Podczas urlopu liczy się wysoki standard zakwaterowania i dobre jedzenie, dlatego w WDW »Kościelisko« remontowanych jest 20 pokoi, modernizowane są węzły sanitarne, instalacje i oświetlenie, a śniadania zaczęto podawać w formie szwedzkiego stołu, co bardzo przypadło gościom do gustu”.

Swoje usługi zachwalał też Wojskowy Zespół Wypoczynkowy „Jantar” w Juracie. „Kierujemy swoją bogatą ofertą do szeroko rozumianej społeczności wojskowej. W pakiecie mamy m.in. wczasy rodzinne, pobyty indywidualne, wczasy profilaktyczno-klimatyczne dla dzieci, wczasy odchudzające”. Jak wyliczano, na gości czekają gabinety odnowy biologicznej, sala do ćwiczeń, biblioteka, dwie kawiarnie, boiska itp.

Dla tych, którzy woleli się nie ruszać z domu, Poznańskie Muzeum Broni Pancernej uruchomiło w 2012 roku możliwość wirtualnego zwiedzania placówki. Na stronie Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych powstała zakładka umożliwiająca obejrzenie czołgów, m.in. lekkiego PT-76, polskiego Wilk PT-91M, ciężkiego IS-3, a także wnętrza niektórych z tych pojazdów.

Część wojskowych znajdowała oryginalne sposoby spędzania czasu wolnego. St. szer. Krzysztof Biran, elektromechanik z Centrum Szkolenia Wojsk Inżynierskich i Chemicznych we Wrocławiu, po służbie poświęcał się muzyce – występował m.in. w klubach jako DJ Freeman. Kpt. Łukasz Banasik, por. Krzysztof Rogalski i sierż. Mieczysław Brasiun z 2 Mazowieckiego Pułku Saperów umilali sobie zimowe dni, zanurzając się w lodowatych wodach Narwi.

Strategiczny bombowiec B-29 Superfortress rozpoczął służbę w siłach powietrznych US Army w 1944 roku, ale jego początki sięgają końca lat trzydziestych XX wieku. Zanim jeszcze Stany Zjednoczone włączyły się do II wojny światowej, pojawiło się zapotrzebowanie na nowy bombowiec, który zastąpiłby B-17 Flying Fortress. Było to o tyle ciekawe, że samolot ten znalazł się w armii w kwietniu 1938 roku. Rzecz w tym, że wówczas nie było pieniędzy, by ów program finansować.

OCZEKIWANIA LOTNICTWA ARMII

Prace nad superbombowcem przyspieszono, gdy Charles Lidberg przekonał do tej idei nowego szefa Sztabu Korpusu Lotniczego Armii Stanów Zjednoczonych gen. mjr. Henry'ego H. Arnolda (jego poprzednik, gen. mjr. Oscar Westover zginął 28 września 1938 roku w katastrofie lotniczej). W grudniu 1940 roku wojsko opracowało swoje wymagania. Oczekiwano, że udźwignie będzie wynosił 9100 kg, co oznaczało zwiększenie masy samolotu. Superbombowiec miał latać z prędkością 640 km/h. Zasięg ograniczono natomiast do 4290 km.

Do rywalizacji o opracowanie nowego samolotu włączyły się cztery firmy lotnicze: Boeing, Consolidated Aircraft Corporation (CAC), Douglas i Lockheed. Do dalszych prac przeszedł projekt Boeinga, oznaczony jako model 345 (później XB-29). Firma początkowo otrzymała zlecenie na dwa prototypy latające i jeden do testów naziemnych, następnie 24 grudnia 1940 roku został zamówiony trzeci egzemplarz. Trzeba dodać, że w Boeingu już od 1938 roku pracowano nad wysoce zaawansowanym technologicznie czterosilnikowym bombowcem strategicznym.

Wojskowe lotnictwo zleciło też CAC prace nad jego samolotem – modelem 33. W ten sposób zabezpieczano się, na wypadek, gdyby projekt Boeinga z jakichś powodów się nie powiódł, ale to się okazało niepotrzebne. W maju 1941 roku Boeing dostał zamówienie na wyprodukowanie 14 przedserijnych bombowców i 250 maszyn produkcji seryjnej. Już po wybuchu wojny z państwami Osi, w styczniu 1942 roku, zwiększono zamówienie do 500 sztuk.

Pierwszy nieuzbrojony prototyp wykonał swój dziewięć lot 21 września 1942 roku z lotniska firmowego Boeinga w Seattle. Drugi prototyp, już z wieżyczkami z uzbroje-

TADEUSZ WRÓBEL

Niszczycielska superforteca

Amerykański samolot B-29 Superfortress jako pierwszy w historii dokonał zrzutu bomby atomowej nad Hiroszimą. Jednocześnie był to najbardziej zaawansowany technologicznie strategiczny bombowiec użyty podczas II wojny światowej.



niem, wystartował 30 grudnia 1942 roku. Ten lot musiano zakończyć z powodu pożaru jednego z silników Wright R-3350 Duplex-Cyclone. Niestety, podczas lotu 18 lutego 1943 roku silnik znowu się zapalił i bombowiec runął na ziemię. Oprócz firmowego pilota testowego Edmunda T. Allena i jego dziesięcioosobowej załogi zginęło na ziemi 20–22 pracowników zakładu Frye Meat Packing Plant oraz strażak. Problemów z silnikami R-3350 nie udało się wyeliminować do końca ich stosowania w B-29.

Trudności techniczne i brak odpowiednich hal produkcyjnych spowodowały opóźnienia w dostawach B-29 Superfortress do lotnictwa armii. Co prawda do końca 1943 roku przekazano około stu bombowców, ale niewiele z nich mogło wzbić się w powietrze.

Jednym z kluczowych rozwiązań konstrukcyjnych w B-29 była kabina ciśnieniowa dla całej załogi. Jej dwa przedziały, nosowy i tylny, połączono tunelem nad komorami bombowymi. Strzelec obsługujący stanowisko ogonowe miał oddzielne pomieszczenie z wyjściem. Dzięki kabini ciśnieniowej, podczas lotów na dużych wysokościach załoga nie musiała używać masek tlenowych. W warunkach bojowych pułap 9710 m, w połączeniu z prędkością 560 km/h, stanowił bardzo dobrą ochronę przed bombowcami japońskimi. Największym zagrożeniem dla B-29 były najcięższe działa przeciwlotnicze.

Mimo to superforteca otrzymała silne uzbrojenie obronne. Bombowce seryjne B-29 wyposażono w cztery zdalnie sterowane wieżyczki, dwie górne i dwie dolne, każda z dwoma karabinami maszynowymi Browning M2 kalibru 12,7 mm. Piąta, ogonowa, miała dwa karabiny maszynowe M2 i działko M-2B kalibru 20 mm. Później w przedniej górnej wieżyczce podwojono liczbę karabinów maszynowych, a w ogonowej usunięto działko. Takie samo uzbrojenie miała wersja B-29A. W modelu B-29B natomiast wieżyczka ogonowa była uzbrojona w trzy karabiny maszynowe kalibru 12,7 mm. Bombowce wyposażono w system kontroli ognia M5 Director firmy General Electric, który

pozwalal na naprowadzanie wieżyczek na cel ze stanowisk celowniczych we wnętrzu kabiny ciśnieniowej. Przednie wieżyczki były obsługiwane ze stanowiska bombardiera. Strzelec, dzięki urządzeniom celowniczym, które były swego rodzaju analogowymi komputerami, mógł obsługiwać więcej niż jedną wieżyczkę. Latające na dużych wysokościach superfortece zostały wyposażone w urządzenia pozwalające na bombardowanie bez widoczności ziemi. Wersje B-29 i B-29A miały radar AN/APQ-13 firmy Bell, skanujący powierzchnię ziemi, przydatny w nawigacji. B-29B wyposażono natomiast w radar AN/APQ-7. Później w bombowcach wykorzystywano też radar AN/APQ-15B połączony z systemami celowniczymi wieżyczki ogonowej.

CHIŃSKA PRZYGODA

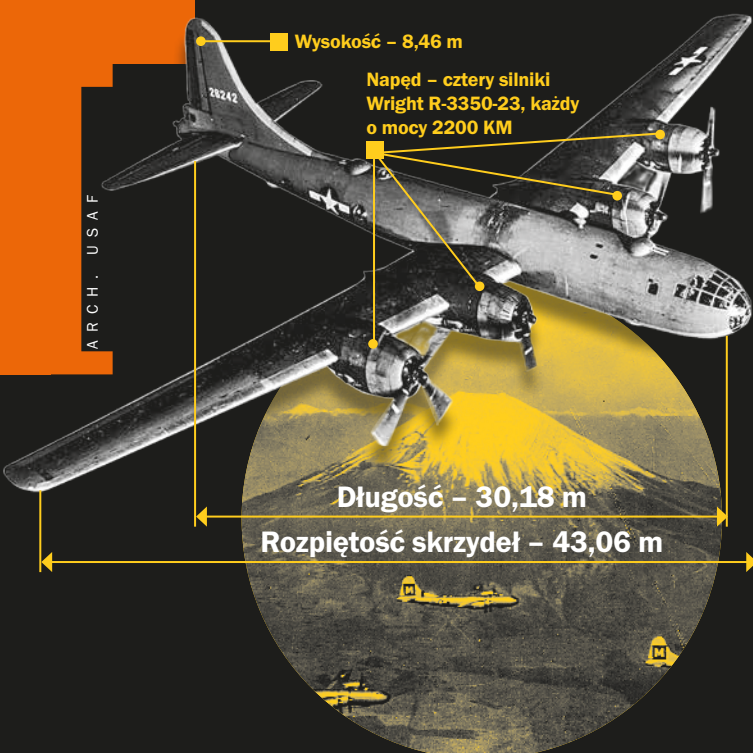
Początkowo lotnictwo US Army zamierzało użyć bombowców B-29 zarówno przeciwko Niemcom, jak i Japonii. Jednak w końcu 1943 roku zdecydowano, że samoloty te trafią wyłącznie nad Pacyfik. Zajęcie wysp kontrolowanych w tym czasie przez Japończyków sprawiłoby, że w zasięgu B-29 znalazłby się ich macierzysty archipelag. Dlatego Amerykanie zdecydowali się stworzyć lotniska dla B-29 w południowych Chinach, na terytorium kontrowanym przez wojska Kuomintangu, oraz w Indiach. Postanowiono zorganizować cztery wysunięte bazy w Chinach i pięć głównych w Indiach. Problemy techniczne spowodowały jednak, że zamiast dwóch skrzydeł bombowych, każde z czterema grupami, dostępne było jedno.

ARCH. USAF



Producent	XB-29	YB-29	B-29	B-29A	B-29B	Razem
Boeing Seattle w stanie Waszyngton	(3)					(3)
Boeing Seattle w stanie Waszyngton				1122		1122
Boeing Wichita w stanie Kansas		(14)	1644			1644 (+14)
Bell Marietta w stanie Georgia			357		311	668
Martin Omaha w stanie Nebraska			536			536
Razem	(3)	(14)	2537	1122	311	3970 (+17)

Produkcja B-29 Superfortress (1942–1946)



B-29A

Masa własna	- 33,8 t
Masa samolotu gotowego do lotu	- 54 t
Maksymalna masa startowa	- 60,56 t
Powierzchnia skrzydeł	- 161,6 m ²
Maksymalna prędkość	- 576 km/h
Prędkość przelotowa	- 370 km/h
Pułap operacyjny	- 9708 m
Promień działania	- 2600 km z 2,27 t bomb na dużej wysokości lub 5,44 t na średniej
Maksymalna masa bomb	- 9,1 t

Pierwsze B-29 wylądowały w Indiach i Chinach 24 kwietnia 1944 roku, a pierwszą misję bojową przeprowadzono 6 czerwca. Celem była infrastruktura kolejowa i przemysłowa w rejonie Bangkoku i innych miejscach Syjamu. W trakcie misji utracono pięć maszyn, ale żadna nie została trafiona przez wroga.

Atak na Syjam był próbą generalną przed pierwszą wyprawą superfortec nad Japonię 15 czerwca 1944 roku. Celem była huta stali na wyspie Kiusiu. Efekty nalotu, podczas którego stracono trzy maszyny, okazały się niewielkie. Amerykańskie bombowce wykonywały naloty na Japonię z chińskich baz do początku stycznia 1945 roku. W tym samym czasie B-29 atakowały również cele w Syjamie i Singapurze. Ostatnie B-29 wycofano z Chin w końcu stycznia 1945 roku, a z Indii dwa miesiące później.

NIEZATAPIALNY LOTNISKOWIEC

W grudniu 1943 roku szefowie połączonych sztabów zdecydowali o zajęciu Wysp Mariańskich, które dzieliły od Tokio 2400 km. Amerykanie wylądowali na wyspie Saipan 15 czerwca 1944 roku i do 9 lipca przełamali japoński opór. Jeszcze trwały walki, gdy saperzy zaczęli budowę lotnisk dla B-29. Pierwszy amerykański strategiczny bombowiec wylądował na Saipanie 12 października 1944 roku. Amerykanie postanowili przygotować także po dwa lotniska dla superfortec na wyspach Guam i Tinian.

Pierwszy atak B-29 przeprowadziły 28 października 1944 roku na atol Truk. 24 listopada 111 superfortec wystartowało z Marianów w kierunku Tokio (nad którym samolotów amerykańskich nie widziano od czasu rajdu

ppłk. Jamesa H. Doolittle'a w kwietniu 1942 roku; wtedy lekkie bombowce B-25 wystartowały z pokładu lotniskowca „Hornet”). Od tego momentu ataki z udziałem B-29 przeciwko celom w Japonii nabrały intensywności. W wyniku nalotów ucierpiało wiele miast. Najbardziej niszczący atak wykonano w nocy z 9 na 10 marca na Tokio. Na stolicę Japonii z 279 samolotów B-29 zrzucono ponad 1600 t bomb zapalających. Drewniana zabudowa stolicy Japonii przekształciła się w morze ognia. Zginęło prawie 84 tys. ludzi, a 41 tys. zostało rannych. Doszczętnie zniszczono 41 km² miasta. W marcu 1945 roku przeprowadzono podobne naloty na Nagoję, Osakę i Kobe. Ataki kontynuowano w następnych miesiącach. Między 23 a 25 maja z ponad tysiąca B-29 zrzucono ponownie bomby zapalające na Tokio, niszcząc 58 km² zabudowy. W efekcie nalotów amerykańskich stolica japońska została zniszczona w ponad 50%. Superbombowce wykorzystano też do minowania japońskich wód przybrzeżnych.

DECYDUJĄCE UDERZENIA

W lipcu 1945 roku w Stanach Zjednoczonych przeprowadzono test bomby atomowej. Amerykańscy politycy i wojskowi zdecydowali się na jej użycie przeciwko Japonii, której siły zbrojne, pomimo ponoszonych klęsk, nie zamierzały składać broni. Amerykanie zaczęli przygotowywać się do największej inwazji w historii. Szacowano, że straty podczas podboju wysp japońskich będą gigantyczne po obu stronach. Do ataku z użyciem nowej broni wyznaczono B-29. Z jednego z nich, noszącego nazwę Enola Gay, zrzucono 6 sierpnia 1945 roku bombę atomową na Hiroszimę. Trzy dni później z B-29 Bockscar spadła kolejna – na Nagasaki.

Produkcja B-29 zakończyła się w 1946 roku, a ostatnim konfliktem, w którym ich użyto, była wojna koreańska w latach 1950–1953. Ostatni dywizjon B-29 rozformowano w 1960 roku.



KRZYSZTOF
KUBIAK

Zdobyć radar



Kiedy w wyścigu zbrojeń między państwami równie istotny co kwestie ilościowe stał się wymiar jakościowy, zupełnie inne znaczenie zyskały informacje o postępach w dziedzinie nauki i techniki. Wachlarz instrumentów, za których pomocą je zdobywano, był szeroki – od szpiegostwa przemysłowego do brawurowych akcji specjalnych. Jednym z urządzeń, których zdobycie było na tyle ważne, że uzasadniało zorganizowanie i przeprowadzenie ryzykownych, niekonwencjonalnych operacji, był radar.

W nocy z 27 na 28 lutego 1942 roku brytyjscy spadochroniarze, wsparci przez zespół techniczny (łącznie 120 żołnierzy dowodzonych przez mjr. Johna Frosta), desantowało się z 12 samolotów Armstrong Whitworth A38 Whitney w rejonie położonej na normandzkim wybrzeżu Francji miejscowości Bruneval. Ich celem był niemiecki posterunek radiolokacyjny, który wyposażono w urządzenie określane mianem Würzburg. Obsługa radaru (20 wojskowych techników i łącznościowców) była zakwaterowana w samotnej nadmorskiej willi, ochrona (120 piechurów) – w budynkach pobliskiej farmy. Atakujący sprawnie opanowali willę i stanowisko radaru, zdemonstrowali kluczowe elementy urządzenia, pojmali trzech jeńców i wycofali się na plażę, skąd ewakuowały ich kutry desantowe obsadzone przez komandosów. Jednostki desantowe były ochraniane przez niszczyciela i pięć ścigaczy artyleryjskich, a rolę transportowca spadochroniarzy w powrotnej drodze do Anglii odgrywał były belgijski prom „Prinz Albert”. Brytyjczycy stracili w operacji „Biting” ośmiu żołnierzy: dwóch zostało zabitych, a sześciu wzięto do niewoli. Kolejnych sześciu odniosło rany. Nie była to wysoka cena za poznanie tajemnic Würzburga. Zdobycie najważniejszych części urządzenia i dokumentacji pozwoliło opracować przeciw niemu skuteczne środki zaradcze – to pomogło uratować setki samolotów i życie tysięcy członków załóg, a przy okazji rozwinąć własną radiolokację.

W 1969 roku operację specjalną ukierunkowaną na zdobycie egipskiej stacji radiolokacyjnej przeprowadzili Izraelczycy. Nosila ona kryptonim „Rooster 53”. W owym czasie trwała „wojna na wyczerpanie” między Egiptem a Izraelem. Egipcjanie przy pomocy Sowietów wzmacniali system obrony przeciwlotniczej, co skutkowało coraz większymi stratami izraelskiego lotnictwa. Zdobycie pewnych informacji o sprzęcie radiolokacyjnym przeciwnika było kluczowym warunkiem opracowania skutecznych metod paraliżowania jego pracy, a więc i oślepiania całego kompleksu obrony powietrznej. Do przeprowadzenia akcji, której obiektem był radar P-12 Jenisej umieszczony na afrykańskim wybrzeżu Zatoki Sueskiej, wydzielono pododdział spadochronowy ze składu Sayeret Tzanhanim oraz grupę śmigłowców transportowych i samolotów uderzeniowych. 26 grudnia izraelskie samoloty rozpoczęły bombardowanie egipskich pozycji nad Kanałem Sueskim i Morzem Czerwonym. Zagłuszane przez ryk odrzutowych silników trzy śmigłowce Super Frelon skrycie przerzuciły spadochroniarzy w rejon egipskiego posterunku radiolokacyjnego. Jego obsługa i ochrona zostały błyskawicznie wyeliminowane, a sprzęt zabezpieczony. Izraelczycy nie musieli demontować elementów radaru – dwa ciężkie śmigłowce Sikorsky CH-53 w całości wywiozły zarówno wóz z anteną, jak i zamontowaną na drugiej ciężarówce Ził aparatownię. ■



Prof. dr hab. KRZYSZTOF KUBIAK

pracuje w Katedrze Krajów Europy Północnej na Uniwersytecie

Jana Kochanowskiego w Kielcach.

HORYZONTY

/ KULTURA





Katowia
Wojewódzkiego Urzędu
Bezpieczeństwa
Publicznego przy ulicy
Krótkiej 4/Jasnej 8
w Lublinie

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

SZLAK PAMIĘCI

**Spacer zaczyna się na lubelskim zamku, a kończy
na Majdanku. Można tu spędzić kilka godzin,
akurat tyle, by odkryć choć część trudnej
powojennej historii miasta.**

PAULINA RUTKOWSKA / FUNDACJA IM. KAZIMIERZA WIELKIEGO

T

rasa lubelskiego szlaku turystycznego poświęconego żołnierzom wyklętym liczy około 7 km i obejmuje 27 miejsc związanych z podziemiem niepodległościowym po II wojnie światowej. Są to m.in.: więzienie na zamku lubelskim, siedziby ówczesnych resortów siłowych, areszty śledcze, groby zamordowanych i symboliczne mogiły. Codziennie przechodzą obok nich tysiące osób i większość nic nie wie o wydarzeniach sprzed lat.

„Spacer jest dość długi, bo trwa około czterech godzin, ale warto się na niego zdecydować, bo taka wędrowka pozwala odkryć część najnowszej historii Lublina”, zachęca Katarzyna Komisarczuk, wiceprezes Oddziału Miejskiego PTTK w Lublinie. „Szlak Pamięci Żołnierzy Wyklętych to rozszerzenie oferty turystycznej Lublina – nasi przewodnicy proponują też Jagielloński, Pamięci Żydów Lubelskich, Wielokulturowy, Zabytków Architektury i Znanych Lublinian. Lublin odwiedza rocznie ponad milion turystów i zapewne część z nich wybierze nowy szlak, bo obserwuję, że zainteresowanie tą tematyką rośnie”.

NIECHCIANE TABLICE

„Zainteresowała mnie najnowsza historia Lublina, ponieważ znam osobiście ludzi, którzy byli świadkami tamtych wydarzeń”, mówi inicjator wytyczenia szlaku, Karol Wołek, prezes Fundacji im. Kazimierza Wielkiego i prezes Zarządu Głównego Związku Żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych. Jest on również autorem przewodnika, w którym nie tylko zebrał wiadomości od świadków tamtych wydarzeń i historyków zajmujących się tą tematyką, lecz także opisał historie lubelskich żołnierzy wyklętych. „Doliczyłem się 17 miejsc na terenie Lublina, w których mordowano żołnierzy podziemia niepodległościowego. O niektórych informują tablice zamontowane w latach dziewięćdziesiątych przez władze miasta.

Niektórzy właściciele prywatnych kamienic nie zgadzają się jednak na umieszczenie takich tablic”, opowiada.

Karol Wołek zwraca uwagę, że Lublin jest pierwszym dużym polskim miastem na zachód od granicy niemiecko-sowieckiej z 1939 roku, do którego pod koniec II wojny światowej wkroczyła Armia Czerwona. Tutaj powstały zręby administracyjne PRL-u, centralne organy administracji tworzonej z pomocą Moskwy. Na Lubelszczyźnie długo utrzymywała się konspiracja antykomunistyczna, tu też w 1963 roku został zastrzelony ostatni partyzant niepodległościowego podziemia, sierż. Józef Franczak „Lalek”.

Do ważnych punktów na szlaku, których nie wolno pominąć, Karol Wołek zalicza, oprócz zamku i aresztu na ulicy Krótkiej i Jasnej, także znajdujący się w centrum miasta park maszynowy, skąd wyruszały konwoje NKWD do pacyfikacji całej Lubelszczyzny, a także poniemiecki obóz koncentracyjny na Majdanku, gdzie NKWD stworzyło działający do jesieni 1944 roku obóz filtracyjny dla żołnierzy podziemnego Wojska Polskiego.

EGZEKUCJE W ZAMKU

Szlak rozpoczyna się na zamku lubelskim, gdzie w latach 1945–1954 działało owiane wyjątkowo złą sławą więzienie resortu bezpieczeństwa publicznego, a następnie Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego (dawniej było to więzienie carskie, a podczas II wojny – niemieckie). Przez jego cele przeszło około 32 tys. ludzi. Pierwsza egzekucja odbyła się tam 15 listopada 1944 roku. Na dziedzińcu rozstrzelano wówczas kilku żołnierzy AK oskarżonych o przynależność do „organizacji faszystowskiej”. Zachowała się dokumentacja dotycząca 180 egzekucji na Polakach, którzy byli żołnierzami AK, Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”, Narodowych Sił Zbrojnych,



NA ZAMKU LUBELSKIM W LATACH 1945–1954 DZIAŁAŁO OWIANE WYJĄTKOWO ZŁĄ SŁAWĄ WIĘZIENIE RESORTU BEZPIECZEŃSTWA PUBLICZNEGO

Batalionów Chłopskich, Narodowego Zjednoczenia Wojskowego. W 1954 roku więzienie zostało zlikwidowane, od 1957 roku zamek jest główną siedzibą Muzeum Lubelskiego.

U podnóża zamkowego wzgórza znajduje się pomnik poświęcony pamięci 227 żołnierzy AK i WiN-u ze zgrupowania mjr. Hieronima Dekutowskiego „Zapory”, cichociemnego, którzy polegli lub zostali zamordowani w latach 1943–1963. „Była to największa formacja partyzancka działająca w okolicy Lublina w okresie okupacji niemieckiej i sowieckiej”, czytamy w przewodniku.

Na północny wschód od zamkowego wzgórza, przy ulicy Unickiej znajduje się cmentarz, na którym jest pomnik-mogiła pomordowanych na zamku. Umieszczono na nim tablice z nazwiskami żołnierzy podziemia niepodległościowego, którzy zostali pochowani w beziemiennych, wspólnych grobach na cmentarzu, a których udało się zidentyfikować. W sumie około 200 nazwisk. Na pomniku zostawiono miejsce na kolejne tablice, w razie gdyby udało się ustalić tożsamość kolejnych ofiar tam spoczywających. „Często zamordowanych grzebano potajemnie w przygotowanych pod normalne pochówki grobach. Następnie rodziny chowały tam swoich bliskich, nie wiedząc, że głębiej ukryto zwłoki zamordowanych patriotów”, opowiada Karol Wołek.

Wracamy do centrum miasta i zatrzymujemy się przy klasztorze oo. Karmelitów. Gdy 23 lipca 1944 roku do Lublina wkroczyły oddziały sowieckiej 8 Armii Gwar-

dii, w celach lubelskiego zamku znaleziono zwłoki ponad 300 zamordowanych. Zanim je uprzątnięto, przejściowe więzienie resortu bezpieczeństwa publicznego znajdowało się w klasztorze. Szlak wiedzie tymi samymi ulicami, którymi we wrześniu Sowieci przeprowadzili na zamek więźniów ubranych w niemieckie mundury, aby nie wzbudzali sympatii przechodniów.

Mijamy Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej. „To była pierwsza szkoła wyższa założona przez Sowieców jeszcze w czasie trwania wojny, aby kształcić kadry administracyjną na wzór sowiecki”, opowiada Karol Wołek i wskazuje, że „kilkaset metrów dalej funkcjonariusze UB mordowali polskie elity, wykształcone przed wojną i wierne tradycjom patriotycznym”.

PIWNICE I NAPAD

Szlak prowadzi obok wielu budynków, w których w przeszłości mieściły się areszty NKWD. „Największa katownia UB na Lubelszczyźnie była na skrzyżowaniu ulic Krótkiej i Jasnej. Przez piwnice wielkości 3x2 m² przeszło 2–3 tys. ludzi. Na ścianach zachowały się wyryte przez więźniów daty, pseudonimy, kalendarze. Piwnice są prywatne, więc nie można do nich wejść i zrobić kwerendy. Konserwator nie objął tych miejsc opieką. Zdarza się, że ich właściciele niszczą inskrypcje”, opowiada Karol Wołek.

Szlak obejmuje też siedziby ówczesnych resortów siłowych w Lublinie, m.in. sowieckiego kontrwywiadu wojskowego Smiersz czy Urzędu Bezpieczeństwa Pu- ➔



Szlak Pamięci Żołnierzy Wyklętych w Lublinie (na mapie jego fragment) został wybrany przez mieszkańców Lublina w ramach budżetu obywatelskiego. Wytoczyła go i opisała Fundacja im. Kazimierza Wielkiego wspólnie z Polskim Towarzystwem Turystyczno-Krajoznawczym Oddział Miejski w Lublinie.

blicznego. Karol Wołek wskazuje także na ulicę Chopina, opowiada jak po wojnie jej mieszkańcy zostali wysiedleni, a ich domy zajęli sowieccy prokuratorzy i sędziowie. Tam prawdopodobnie miało swą główną siedzibę NKWD oraz sowiecki komendant miasta. Niedaleko znajduje się kamienica, w której po wkroczeniu wojsk sowieckich do Lublina w 1944 roku zorganizowano pierwszą radiostację retransmitującą sygnał Radia Moskwa.

Ciekawa historia wiąże się z główną ulicą Lublina – Krakowskim Przedmieściem. 7 kwietnia 1945 roku w budynku Banku Polskiego (niegdyś Izby Skarbowej) miała miejsce największa akcja ekspropriacyjna w dziejach powojennego Lublina. Byli żołnierze AK z oddziału Stanisława Łukasika „Rysia” zdobyli w niej ponad milion złotych. Operację przeprowadzono pod nosem funkcjonariuszy z pobliskiego Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. W czasie wymiany ognia zginął oficer UB, a dowódca oddziału Stanisław Łukasik „Rys” został poważnie ranny. Po tej akcji aresztowano kilkadziesiąt osób – członków konspiracji. Zorganizowano pokazowy proces, podczas którego sąd wydał 14 wyroków śmierci. 8 lipca 1945 roku zatrzymanych rozstrzelano w podziemiach zamku lubelskiego. Pozostałym oskarżonym zasądzone wyroki długoletniego więzienia. Większość skazanych nie brała udziału w tej akcji.

Przy ulicy Lipowej znajduje się pomnik mjr. Hieronima Dekutowskiego „Zapory”. Aresztowano go we

wrześniu 1947 roku i w marcu 1949 roku zamordowano w więzieniu mokotowskim w Warszawie. Dopiero w 2012 roku odnaleziono szczątki „Zapory” na tzw. Łączce, czyli w kwaterze Ł na warszawskich Powązkach Wojskowych. We wrześniu 2015 roku spoczął tam w panteonie żołnierzy wyklętych.

Szlak kończy się na Majdanku, gdzie mieściły się koszary 3 Brygady Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego – formacji powołanej do walki z wojskowym podziemiem niepodległościowym. Niedaleko koszar, na terenie byłego niemieckiego obozu koncentracyjnego na Majdanku, gdy wojska sowieckie wkroczyły do Lublina, działała placówka Informacji Wojskowej.

„Pozytywnie oceniam takie inicjatywy jak lubelski szlak żołnierzy wyklętych, gdyż z roku na rok maleje liczba osób, które pamiętają lata powojenne, a wraz z nimi odchodzi w niepamięć wiedza na temat tamtych czasów”, twierdzi Leszek Żebrowski, publicysta i historyk, który prowadzi badania dziejów polskiego podziemia niepodległościowego w czasie II wojny światowej i po 1945 roku. „To ostatni moment, aby zewidencjonować i ocalić miejsca związane z naszą najnowszą historią. Każda lokalna inicjatywa, która doprowadzi do ich upamiętnienia, zasługuje na wsparcie. Opisanie fragmentu naszej najnowszej historii i ludzi z nią związanych jest ważne dla młodego pokolenia – to nie tylko atrakcja turystyczna, lecz także uzupełnienie szkolnej lektury”.

PAULINA GLIŃSKA

Poczytaj mi, pilocie

Czytanie to męska rzecz. Udowodnili to wojskowi piloci w Dęblinie, Krakowie i Warszawie, czytając najmłodszym opowieści o lataniu.

Ogólnokrajowa kampania promocji czytelnictwa wśród najmłodszych trwa już 15. rok. Jubileusz skłonił przedstawicieli Fundacji „ABCXXI Cała Polska czyta dzieciom” do uczczenia rocznicy – zorganizowali akcję „Czytanie – męska rzecz”. Zaproszenie do niej przyjęli piloci polskich sił powietrznych. „Bardzo często angażujemy się w różne kampanie społeczne. Czytamy dzieciom, pomagamy spełniać marzenia najmłodszych chorych, odajemy honorowo krew czy bierzemy udział w imprezach, na których są zbierane fundusze dla potrzebujących”, mówi ppłk Szczepan Głuszcak, rzecznik prasowy Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych. Wyjątkową kampanię otworzył więc projekt „Piloci czytają dzieciom”. Jego partnerem zostało m.in. DGRSZ, a patronat honorowy nad wydarzeniem objął gen. bryg. pil. Tomasz Drewniak, inspektor sił powietrznych.

DZIAŁAJĄ NA WYOBRAŹNIĘ

Z jakiego powodu do współpracy zaproszono właśnie pilotów? „Zależało nam na ludziach, którzy wykonują prestiżowy, a jednocześnie działający na wyobraźnię zawód. Piloci wydali się idealni także dlatego, że mogliśmy zderzyć wizerunek męskiego żołnierza z potrzebą budowania bliskości z małym człowiekiem”, mówi Anna Ciepiel, koordynator kampanii.

Irena Koźmińska, założycielka i prezes Fundacji „ABCXXI Cała Polska czyta dzieciom”, przyznaje: „Piloci dołączyli do nas z wielkim entuzjazmem. Są kojarzeni z męskością, odwagą, czymś, co porusza wyobraźnię nie tylko chłopców, lecz także ich ojców. Chcieliśmy również w ten sposób przełamać stereotyp nieczytających mężczyzn. Dla nas bardzo ważne jest to, by pokazywać ich zaangażowa-

nym i w kontakt z dziećmi, i w mądre wychowanie przez czytanie”.

W projekcie wzięli udział zarówno piloci wojskowych odrzutowców, śmigłowców i transportowców, jak i ci, którzy na co dzień latają w zespołach akrobacyjnych Biało-Czerwone Iskry czy Orliki. Ideą projektu stały się spotkania, na których organizatorzy zaplanowali zwiedzanie muzeów lotnictwa, warsztaty i rozmowy z pilotami. Jednak podstawą każdego z nich była wspólna lektura.

LOTNICZE SPOTKANIA

Projekt otworzyła sesja fotograficzna wojskowych pilotów z dziećmi. W Radomiu, na lotnisku 42 Bazy Lotnictwa Szkolnego przed obiektami stanęli kpt. pil. Robert Paciorek z synem Erykiem i córką Natalią, kpt. pil. Michał Anielak z synami Wiktorem i Kacprem, mjr pil. Krzysztof Janik z synem Maksymilianem oraz por. pil. Ariel Adamski z córką Natalią. „Codziennie czytam swojej 2,5-letniej córce i wiem, jak to jest ważne. Postępuję zgodnie z zasadą Fundacji, by robić to co najmniej 20 minut dziennie, ale ja przeznaczam na to dużo więcej czasu. Córka codziennie wybiera książeczkę i dzieli je na te, które mam czytać ja, i te, które żona”, przyznaje por. Adamski.

Pierwsze duże czytanie z pilotami odbyło się 13 maja w Muzeum Sił Powietrznych w Dęblinie. Wzięły w nim udział dzieci ze świdnickiej szkoły podstawowej oraz wychowankowie lubelskiego domu dziecka. Do lektury przystąpili m.in. gen. rez. pil. Ryszard Hać, dyrektor muzeum, ppor. Kamil Bylinka z 41 Bazy Lotnictwa Szkolnego, a także ppor. Mateusz Kubiak i ppor. Marcin Kossakowski, piloci Biało-Czerwonych Iskier. „Byłem pozytywnie zaskoczony ciekawością dzieci. Najpierw



Por. pil. Ariel Adamski z córką Natalią

LOTNIK BOGUŚ

Podczas czytelniczno-lotniczych spotkań najmłodszy miał okazję poznać maskotkę – pluszowego Bogusia Niedźwiedzia, „lotnika”, który wspiera działania charytatywne na rzecz najmłodszych. Powstał on w lutym 2014 roku, a swój pierwszy lot odbył w kokpicie samolotu MiG-29 w 22 Bazie Lotnictwa Taktycznego w Malborku. Od tamtej pory podróżuje na pokładach maszyn nie tylko polskich sił powietrznych. W styczniu 2015 roku Boguś wziął udział w licytacji na rzecz Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy.



Uczestnicy pikniku lotniczo-czytelniczego w Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie w kabinie jednego z eksponatów, 18 czerwca 2016

Od lewej: mjr pil. Krzysztof Janik z synem Maksymilianem, por. pil. Ariel Adamski z Wiktoorem Anielakiem, kpt. pil. Michał Anielak z synem Kacprem, kpt. pil. Robert Paciorek z dziećmi: Erykiem i Natalią



Fundacja
ABCXXI
Cała Polska czyta dzieciom

powstała w 1998 roku w Warszawie. Jest organizacją pozarządową. Prowadzi działania w dziedzinie m.in. edukacji czytelniczej oraz promocji wartościowej literatury dla dzieci i młodzieży. Jej celem jest też przekazywanie dobrych wzorców i wartościowych postaw. Aktywność Fundacji wsparło wielu znanych i cenionych Polaków ze świata mediów, sztuki i polityki, np. dziennikarz Maciej Orłoś i aktorzy Artur Barciś oraz Teresa Lipowska.

z zainteresowaniem słuchały tego, co czytam, a potem, gdy opowiadaliśmy o swojej pracy, miały mnóstwo pytań. Dlaczego samolot lata? Na jakich wysokościach? Czy mamy dobre czy złe samoloty?”, mówi ppor. Kossakowski, który przeczytał dzieciom opowiadanie Adama Bahdaja „Pilot i ja”.

Muzeum Lotnictwa Polskiego w Krakowie z kolei gościło dzieci z podkrakowskiego domu dziecka, rodzin zastępczych, prywatnego przedszkola oraz publicznej szkoły podstawowej. Mali goście wysłuchali bajek oraz opowieści o lataniu i kosmosie. Czytali im: por. pil. Michał Lis, pilot samolotu transportowego Bryza, por. pil. Ireneusz Krajewski, pilot miga-29 z 22 Bazy Lotnictwa Taktycznego w Malborku, a także kpt. Maciej Nojek, oficer prasowy 8 Bazy Lotnictwa Transportowego w Krakowie. Ten ostatni zaprezentował dzieciom fragmenty książki byłego pilota wojskowego Roberta Zawady pt. „Jak Gapa został pilotem”. „Najmłodsi mogli zobaczyć, że ważna jest dla nas nie tylko praca, lecz także to, co robimy poza nią. Że też jesteśmy ojcami, mężami, że zajmujemy się dziećmi. Oby takich akcji było jak najwięcej” mówi kapi-

tan. Podobnego zdania jest ppor. pil. Adrian Iberle, pilot samolotu Orlik z 42 Bazy Lotnictwa Szkolnego w Radomiu. Oficer uważa, że dobrze dobrana i świadomie czytana literatura może zachęcić dzieci do zostania pilotem. „Książki bardzo pobudzają wyobraźnię i kreują postrzeganie świata, zwłaszcza u najmłodszych. Czytanie zdecydowanie poprawia pamięć, dodaje pewności siebie. Takie lektury, jak np. »Jak Gapa został pilotem« z pewnością mogą sprawić, że dzieci zamarzą o lataniu”, mówi oficer. Dodaje, że choć sam potomstwa jeszcze nie ma, to bardzo chętnie czyta swojej młodszej o 16 lat siostrze. „Słucha mnie bardzo uważnie. Sam do dziś pamiętam, jak czytała mi moja mama i jak bardzo to lubiłem. Nadal uwielbiam wiersze Juliana Tuwima i Jana Brzechwy. Znałem je na pamięć i do tej pory sporo ich pamiętam”, mówi ppor. Iberle.

NA POKŁADZIE AN-26

Lotniczych opowieści najmłodsi mogli wysłuchać także podczas plenerowego pikniku w Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Na pokładzie samolotu An-26 frag-



SEBASTIAN GÓRA (2)

Z NAJMŁODSZYMI DO LEKTURY ZASIEDLI ŻOŁNIE- RZE Z JEDNOSTEK LOTNICTWA TRANS- PORTOWEGO, TAKTYCZNEGO I SZKOLNEGO

menty „Kosmicznych odkrywców” autorstwa Grażyny Bąkiewicz przeczytał por. Ireneusz Krajewski, pilot z 22 Bazy Lotnictwa Taktycznego w Malborku. Oficer przyznaje, że z przyjemnością wziął udział w akcji. „Każde tego typu wydarzenie, propagujące mądre wychowanie i rozwój dzieci, ma sens. Dla nas, żołnierzy, to też doskonała okazja, by pokazać piękno naszej pracy. By udowodnić, że wojsko to nie tylko hełm, plecak i poligon, lecz także ludzie otwarci, z ogromną pasją wykonujący

swoją pracę”, mówi oficer z Malborka. Oprócz por. Krajewskiego do czytania książek włączyli się też ppor. pil. Hubert Prządka i ppor. pil. Michał Wilczyński z 23 Bazy Lotnictwa Taktycznego w Mińsku Mazowieckim.

Wybór lektur do projektu nie był przypadkowy. „Chcieliśmy, by piloci sięgnęli po pozycje związane z lotnictwem, takie, które dotyczą ich profesji. Na spotkaniach było widać, że dzieci bardzo fascynują się opowieściami o lataniu”, mówi Irena Koźmińska.

Po kolejnym już spotkaniu nikt nie wątpi w sukces akcji. „Za każdym razem piloci są bardzo zaangażowani, a dzieci zafascynowane żołnierzami. Jesteśmy pewni, że te czytelniczo-lotnicze spotkania zapadną najmłodszym w pamięć, a ich ojców skłonią do jeszcze większego zaangażowania w czytanie swoim pociechom” mówi prezes Fundacji.

Organizatorzy nie chcą jeszcze zdradzać szczegółów, ale być może już po wakacjach kolejne dzieciaki będą mogły się spotkać z wojskowymi pilotami. „Jest spore zainteresowanie społeczne i planujemy taką akcję na polskim Wybrzeżu”, zapowiada Anna Ciepiał. ■

ROBERT SUCHY/CO MON



Losy Polaków

Projekty związane z wojskiem zostały wydarzeniami historycznymi roku.

W tym roku do plebiscytu Muzeum Historii Polski zgłoszono blisko 200 wydarzeń. Jury wybrało spośród nich finałową piętnastkę, z której w internetowym głosowaniu wyłoniono zwycięzców. Najwięcej głosów w kategorii „wystawa” otrzymała ekspozycja stała **Muzeum Katyńskiego**, otwarta 17 września 2015 roku na terenie Cytadeli Warszawskiej.

W kategorii „wydarzenie” internauci za najważniejsze uznali widowisko historyczne „Obława Augu-

stowska. Lipiec 1945”, zorganizowane przez Grupę Rekonstrukcji Historycznej „Garnizon Suwałki” oraz Muzeum Okręgowe w Suwałkach. Upamiętniało ono masowe aresztowania przeprowadzone przez NKWD na Suwalszczyźnie. Akcja „Chwalimy się Powstaniem” gazety „Głos Wielkopolski” wygrała z kolei w kategorii „edukacja i multimedia”. Jej celem było zachęcenie do pamiętania o najważniejszym dla regionu zrywie – powstaniu wielkopolskim. AD ■

Przeszłość w obrazkach

Sposoby na naukę historii

Warsztaty dla nauczycieli, spotkania z autorami, prezentacje komiksów – to tylko niektóre atrakcje 6. Festiwalu Gier i Komiksów Historycznych. Podczas przygotowanej przez Instytut Pamięci Narodowej imprezy o wykorzystaniu komiksu historycznego w szkole dyskutowali historycy, komiksarze i pracownicy IPN-u.

Prezentowano też kilka nowych prac. Wśród nich znalazła się m.in. „Gra szpiegów” – o losach polskich szpiegów, którzy współpracowali z brytyjskim wywiadem. Można także było zapoznać się z projektem edukacyjnym „Dziewczęta z Ravensbrück”, który przygotowali uczniowie z dwóch warszawskich liceów, oraz serią komiksów „Wojenna odyseja Antka Srebrnego 1939–1944”. Zaprezentowano także trzeci zeszyt z serii „W Imieniu Polski Walczącej”, poświęcony tym razem „Akcji pod Arsenalem”. AD ■

Historia na dotyk

Tematem tegorocznych Łabińskich Spotkań z Historią był szlak bojowy żołnierzy gen. Władysława Andersa. Podczas imprezy Stowarzyszenia

Rekonstrukcji Historycznych AA7 ponad 400 rekonstruktorów zaprezentowało cztery inscenizacje – wydarzeń z kampanii wrześniowej i kampanii włoskiej. Przedstawiono, z udziałem samolotów i wozów bojowych, epizody wkroczenia Niemców do Polski i inscenizację bitwy pod Tomaszowem Lubelskim. Pasjonaci odtworzyli także elementy bi-

twy o Bolonię, w tym naloty myśliwców bombardujących, przełamanie linii okopów przez aliantów oraz kontrataki niemieckie. Widzom zaprezentowano też walki pod Anzio, toczone w styczniu 1944 roku na północ od Rzymu. Dodatkową atrakcją zlotu był udział w nim oryginalnego historycznego sprzętu. AD ■

79 WARSZAWA
4 CZERWCA 2016
6. FESTIWAL
GIER I KOMIKSÓW
HISTORYCZNYCH

Opiekunowie pamięci

**Znamy tegorocznych
Kustoszy Pamięci
Narodowej.**

Laureatami nagrody Instytutu Pamięci Narodowej przyznawanej za zasługi w upamiętnianiu historii Polski w latach 1939–1989 zostali **gen. Janusz Brochwicz-Lewiński „Gryf”, dr hab. Janusz Smaza oraz pośmiertnie Irena Sandecka.**

Generał był podczas II wojny światowej żołnierzem Batalionu Armii Krajowej „Parasol”. Po wyzwoleniu z niemieckiego obozu jeńckiego pozostał na Zachodzie. Do Polski wrócił w 2002 roku i od tej pory działa w środowisku kombatanckim. Dr Smaza jest adiunktem w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych i zajmuje się rewitalizacją zabytków. Pracował m.in. na Cmentarzu Obrońców Lwowa. Irena Sandecka z kolei była pedagogiem i jako mieszkanka Krzemieńca Wołyńskiego przez wiele lat działała na rzecz utrzymania polskiego dziedzictwa na Ukrainie.

W tym roku w konkursie IPN-u wyróżnienia otrzymali też: Związek Harcerstwa Rzeczypospolitej – za pracę wychowawczą wśród młodzieży, oraz Stowarzyszenie „Pokolenie”. Zajmuje się ono m.in. popularyzacją najnowszej historii Polski. Pomaga też byłym działaczom opozycji antykomunistycznej. AD ■



Nagrodzony marynarz

**Dowódca flotyli został
Dżentelmenem Roku.**

Kmdr Krzysztof Jaworski, dowódca 3 Flotyli Okrętów, został jednym z sześciu tegorocznych laureatów plebiscytu na Dżentelmena Roku. Organizowany od 24 lat na Pomorzu plebiscyt promuje zasady etyki, pozytywne wartości i dobre obyczaje. Laureatów wyłania kapituła spośród przedstawicieli środowisk opiniotwórczych Pomorza oraz kandydatów zgłoszonych przez członków Klubu Dżentelmena. Wśród nagrodzonych są lekarze, prawnicy, biznesmeni, naukowcy, artyści oraz przedstawiciele służb mundurowych.

Kmdr Jaworski ma 50 lat, jest absolwentem Wyższej

Szkoły Marynarki Wojennej w Gdyni. Podczas swojej służby był m.in. szefem sztabu w pionie zastępcy dowódcy ds. wsparcia NATO Training Mission w Afganistanie, służył w Zarządzie Uzbrojenia Inspektoratu Marynarki Wojennej w Dowództwie Generalnym RSZ, a od 2 maja dowodzi 3 Flotyllą. Jego kandydaturę zgłosił ubiegłoroczny laureat – kontradm. Mirosław Mordel, inspektor Marynarki Wojennej i był dowódca 3 Flotyli Okrętów. AD ■



**[DŻENTELMEN
ROKU]**

Przynieś eksponat

**Muzeum Historii Polski zbiera pamiątki
historyczne do swojej kolekcji.**

Małe Wielkie Historie” – pod takim hasłem zainaugurowano akcję w Noc Muzeów w kilku miastach Polski. Muzeum otrzymało m.in. od ministra kultury Piotra Glińskiego ręcznie wykonaną legitymację Solidarności z początków istnienia związku. Instytut Pamięci Narodowej przekazał powielacz wykorzystywany w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku przez działaczy opozycji, a znany wrocławski architekt Olgierd Czerner podarował przedmioty związane z powstaniami śląskimi. Z kolei osoby prywatne ofiarowały fotografie

i dokumenty rodzinne. Większość z nich pochodziła z okresu PRL-u i dotyczyła działalności opozycji w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Akcja będzie kontynuowana w następnych miesiącach, a jej podsumowanie nastąpi w Święto Niepodległości. Placówce szczególnie zależy na pamiątkach związanych z polską drogą do niepodległości. Muzeum jest zainteresowane m.in. przedmiotami codziennego użytku, fotografiami, dokumentami, pamiątkami, elementami ubioru, umundurowania i uzbrojenia wojskowego. AD ■

ANNA DĄBROWSKA

Długie loty nad Warszawę

**Polscy lotnicy znaleźli miejsce spoczynku
na węgierskiej ziemi.**

Wieczorem 26 sierpnia 1944 roku z lotniska Campo Casale koło Brindisi we Włoszech wystartował samolot Halifax II FS-B o numerze JN895. Należał do polskiej 1586 Eskadry do zadań Specjalnych. Celem był rzut zasobników z bronią, amunicją i opatrunkami dla walczących w Warszawie powstańców. Około godziny 21.30 lecący z misją nad węgierskim miastem Lajosmizse bombowiec dostał się pod ostrzał niemieckiego myśliwca. Trafiony samolot eksplodował w powietrzu. Zginęła cała załoga: plut. pil. Józef Woroch, kpr. nawig. Włodzimierz Augustyn, kpr. bomb. Jan Kantowski, kpr. rtg. Ludwik Wantulok, kpr. mech. pokł. Alfred Szmigielski, kpr. strz. Bronisław Kłosowski i plut. strz. Rudolf Majewski.

WSPARCIE DLA WALCZĄCYCH

1586 Eskadra podlegała powołanemu w lipcu 1940 roku przez rząd brytyjski Kierownictwu Operacji Specjalnych (Special Operations Executive – SOE). Wspierało ono ruch oporu w krajach okupowanych. W sierpniu 1940 roku w SOE utworzono specjalną jednostkę lotniczą, eskadrę 1419, która dostarczała walczącym zaopatrzenie. Jej piloci latali także do Polski z transportami broni, amunicji, pieniędzy, przewozili cichociemnych i kurierów polskiego rządu. W sierpniu 1941 roku zadania eskadry przejął 138 Dywizjon do zadań Specjalnych RAF, a w kwietniu 1943 roku w ramach dywizjonu powstała polska eskadra C, złożona z siedmiu załóg rozwiązanego 301 Dywizjonu Bombowego Ziemi Pomorskiej.

Pół roku później polska eskadra się usamodzielniała. Została wyłączona ze składu 138 Dywizjonu, przemianowana na 1586 Eskadrę i weszła w skład 334 Skrzydła do zadań Specjalnych RAF. W lutym 1944 roku dysponowała 18 samolotami, które pilotowało 16 załóg. Polscy piloci latali na angielskich samolotach bombowych Halifax Mk II oraz amerykańskich B-24 Liberator.

Nocne loty odbywały się z terenów Wielkiej Brytanii i trwały po 12–14 godzin. Potem bazy samolotów startują-

cych do Europy Środkowej postanowiono przenieść w rejon Morza Śródziemnego. Droga stamtąd była krótsza i omijała silnie broniony obszar Niemiec. Jesienią 1943 roku eskadra została przerzucona do Tunezji na lotnisko polowe Sidi Amor w Tunisie, a po miesiącu na włoskie lotnisko Campo Cassale. Stamtąd do Krakowa było tylko 1000 km, a do Warszawy 1250 km.

ZGODA NA LOT

Po wybuchu powstania warszawskiego gen. Tadeusz Bór-Komorowski, komendant główny Armii Krajowej, wysłał depezę do komendanta Bazy Lotniczej w Brindisi, prosząc o zrzuty dla walczących. 3 sierpnia wieczorem 14 maszyn – siedem załóg polskich i siedem brytyjskich – było gotowych do lotu z pomocą Warszawie. Jednak dowództwo RAF-u wydało zgodę tylko na zrzuty w innych rejonach Polski. Mimo to cztery polskie załogi, za aprobatą mjr. Eugeniusza Arciuszkiewicza, dowódcy 1586 Eskadry, poleciały nad walczącą stolicę.

„Samolot nadleciał od strony północnej na wysokości 200–300 m. Strzelano do niego z tylu punktów, że dopiero wtedy uświadomiłem sobie, jak dalece Niemcy panują nad ogromnym terenem miasta i jego najbliższych okolic. Zasobniki na spadochronach spadły bardzo blisko nas”, opisywał zrzut kpr. Bogusław Kaufman „Bogiel” ze Zgrupowania „Radosław”.

Po kilku dniach dowództwo RAF-u wydało zgodę na loty z pomocą dla powstańców i skierowało do zrzutów także brytyjski 178 Dywizjon RAF i 31 Dywizjon Południowo-Afrykański SAAF. „Do Warszawy pozostało nam około 40 km, ale już od pewnego czasu widzieliśmy na horyzoncie krwawą lunę, która w miarę zbliżania się do płonącego miasta powiększała się i stawała się coraz jaśniejsza”, wspominał lot z 27 sierpnia ppor. Zygmunt Nowicki, radiotelegrafista liberatora. W sumie w trakcie powstania jednostki SOE wykonały 196 lotów nad Warszawę. Dostarczono 870 zasobników z zaopatrzeniem, z których żołnierze AK podjęli 514. Podczas tych lotów SOE straciła 39 samolotów, w tym 18 z polskiej eskadry,

PILOCI BYLI PRZEKONANI, ŻE SWOIM LOTEM PRZYCZYNIAJĄ SIĘ DO ODZYSKANIA PRZEZ POLSKĘ NIEPODLEGŁOŚCI

oraz 36 załóg – 16 z 1586 Eskadry oraz 20 z dywizjonu brytyjskiego i południowoafrykańskiego. Większość samolotów została zniszczona w drodze powrotnej znad Polski: w rejonie Tarnowa lub przy granicy węgiersko-jugosłowiańskiej. Znajdowały się tam liczne stanowiska artylerii przeciwlotniczej, na bombowce polowały też nocne myśliwce niemieckie. Atakowały one wracające, najczęściej uszkodzone przez ogień artyleryjski, samoloty pilotowane przez zmęczone załogi.

Nocą z 26 na 27 sierpnia nad granicą węgiersko-jugosłowiańską niemiecki myśliwiec zaatakował halifaksa II GR-E JD362, który rozbił się koło miasteczka Bácsbokod. Zginęła cała załoga kpr. Jana Radwana-Kużelewskiego. Z kolei w pobliżu miasta Szeged nocą z 10 na 11 września rozbił się zestrzelony halifax JP288. Zginęli wszyscy lotnicy z załogi plut. Włodzimierza Fedzińskiego. Dwa dni później w drodze do Warszawy, tuż po przekroczeniu granicy jugosłowiańsko-węgierskiej, został strącony przez artylerię przeciwlotniczą liberator GR-R o numerze KH101. W wiosce Madaras śmierć poniosła siedmioosobowa załoga ppor. Edmunda Rygiela. 14 września 1944 roku w uznaniu poświęcenia, z jakim polscy lotnicy nieśli pomoc walczącej Warszawie, naczelny wódz Polskich Sił Zbrojnych, gen. broni Kazimierz Sosnkowski, nadał 1586 Eskadrze tytuł „Obrońców Warszawy”.

MIEJSCA PAMIĘCI

Polegli nad terenie Węgier Polacy spoczywają razem z innymi lotnikami na założonym w 1947 roku Brytyjskim Cmentarzu Wojennym w Solymar, 15 km na północ-

ny zachód od centrum Budapesztu. Po wojnie dowództwo brytyjskiej Alianckiej Komisji Kontrolnej odszukało i sprowadziło z Węgier prochy żołnierzy pochowanych w różnych miejscach kraju.

Na terenie nekropolii spoczywa 211 żołnierzy, w tym jeden Francuz i 37 Polaków poległych podczas służby w 1586 Eskadrze do zadań Specjalnych. Co roku, w rocznicę wybuchu powstania warszawskiego, Polskie Stowarzyszenie Kulturalne im. J. Bema na Węgrzech organizuje tutaj uroczystości upamiętniające poległych.

Polaków, którzy zginęli na ziemi węgierskiej w trakcie lotu z pomocą dla Warszawy, upamiętniono także w innych miejscach. W 2007 roku w Madaras odsłonięto tablicę, na której umieszczono imiona i nazwiska lotników oraz informacje o okoliczności ich śmierci. Pomnik Polaków wzniesiono także w 2012 roku w Ruzsa.

W tym samym roku eksploratorzy z Węgierskiego Towarzystwa Poszukiwaczy Wraków Lotniczych, 86 Bazy Śmigłowców Armii Węgierskiej w Szolnok i Grupy Eksploratorów z Baja odnaleźli w Bácsbokod fragmenty wyposażenia samolotu kpr. Radwana-Kużelewskiego oraz fragmenty kości ludzkich. Staraniem polskiej ambasady w Budapeszcie urny ze szczątkami złożono we wrześniu 2013 roku na cmentarzu w Solymar do symbolicznych dotychczas grobów załogi samolotu Halifax JD362.

W maju 2016 roku odsłonięto kolejny obelisk polskich lotników, tym razem w miejscowości Lajosmizse. „Dziękuję za ten niezwykle dowód naszej przyjaźni, solidarności, wspólnego losu. To wielki dzień dla polsko-węgierskiej przyjaźni”, mówił podczas uroczystości minister Antoni Macierewicz. Szef polskiego MON-u odsłonił pomnik wspólnie z ministrem obrony Węgier Istvánem Simicskó. „Ci piloci, lecąc na pomoc powstaniu warszawskiemu, byli przekonani, że swoim lotem przyczyniają się do odzyskania przez Polskę niepodległości. I tak się ostatecznie stało, czego przykładem jest ten pomnik i nasza wspólna obecność”, podkreślił minister Macierewicz. ■

Panu ppłk. Arturowi Wilczakowi

wyrazy współczucia oraz najszersze
kondolencje z powodu śmierci

Siostry

składają szef oraz kadra i pracownik wojska
OGBiMob

Dowództwa Generalnego Rodzajów
Sił Zbrojnych.

Z głębokim żalem żegnamy

Pana Kazimierza Pettka.

Rodzinie Zmarłego

wyrazy szczerego współczucia
składają dowódca, kadra i pracownicy wojska
2 Rejonu Wsparcia Teleinformatycznego
Sił Powietrznych.

Z głębokim żalem i bólem przyjęliśmy
wiadomość o śmierci

mł. chor. rez. Lucjana Sadocha

byłego żołnierza 1 Bazy Materiałowo-
-Technicznej w Toruniu.

Wyrazy głębokiego współczucia
oraz szczerze kondolencje

Rodzinie i Najbliższym

składa szef wydziału ppłk Tomasz Sowa
wraz z żołnierzami Wydziału Ubezpieczenia
Lotów Dowództwa Generalnego RSZ.

Panu mjr. Wojciechowi Pruszyńskiemu,

zastępcy wojskowego komendanta uzupełnień
w Giżycku,

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Ojca

składają szef, żołnierze i pracownicy wojska
Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego w Olsztynie.

Wyrazy głębokiego współczucia
oraz szczerze kondolencje

Rodzinie

z powodu tragicznej śmierci

śp. szer. Pawła Żaczkiewicza

składa dowódca wraz z żołnierzami
i pracownikami
11 Mazurskiego Pułku Artylerii w Węgorzewie.

Panu mjr. Grzegorzowi Zielińskiemu

oraz Jego Najbliższym

wyrazy głębokiego współczucia i szczerze
kondolencje z powodu śmierci

Matki

składają żołnierze i pracownicy wojska
Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych.

Płk w st. spocz.

prof. dr hab. n. med. Sylwester Czaplicki

(1925–2016)

Z głębokim żalem żegnamy wspaniałego

Człowieka i wybitnego Lekarza,
specjalistę chorób wewnętrznych i kardiologii,
wieloletniego pracownika szpitala na Szaserów,
członka Rady Naukowej, komendanta Instytutu.

Wyrazy głębokiego współczucia

Rodzinie i Bliskim

składają dyrekcja, Rada Naukowa i pracownicy
Wojskowego Instytutu Medycznego.

„A koniec jest początkiem i nową nadzieją...”

Ze smutkiem przyjęliśmy wiadomość
o śmierci naszej koleżanki

Jolanty Ślęczek,

byłej pracownicy Delegatury Departamentu
Kontroli w Bydgoszczy.

Wyrażając wdzięczność za lata współpracy, łączymy
się w bólu

z Rodziną Zmarłej.

Szef, żołnierze oraz pracownicy Delegatury
Departamentu Kontroli w Bydgoszczy

Nekrologi przyjmujemy tylko w formie elektronicznej. Treść kondolencji należy przesyłać pod adresem: polska-zbrojna@zbrojni.pl
z nagłówkiem wiadomości: „Nekrologi”. Prosimy o telefoniczne potwierdzenie zamieszczenia kondolencji: 261 845 213,
261 845 230, 261 840 227

Panu chor. Jarosławowi Michalakowi

wyrazy szczerzego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
1 Ośrodka Radioelektronicznego w Grójcu.

„Można odejść na zawsze, by stale być blisko...”

Ks. J. Twardowski

Panu płk. Andrzejowi Nijakowi

wyrazy głębokiego i szczerzego współczucia
z powodu śmierci

Brata

składają szef, żołnierze oraz pracownicy
Delegatury Departamentu Kontroli
w Bydgoszczy.

Panu kpt. Mirosławowi Kasprzakowi

wyrazy głębokiego współczucia i szczerze
kondolencje z powodu śmierci

Matki

składają komendant, kadra zawodowa
i pracownicy wojska Centrum Szkolenia Artylerii
i Uzbrojenia w Toruniu.

**Panu ppłk. Dariuszowi Wroniewiczowi
oraz Jego Rodzinie**

wyrazy głębokiego współczucia
oraz najszczerze kondolencje
z powodu śmierci

Teściowej

składają żołnierze zawodowi i pracownicy wojska
Zarządu Planowania Użycia Sił Zbrojnych
i Szkolenia – P3/P7 Sztabu Generalnego
Wojska Polskiego.

**Panu płk. Cezaremu Balewskiemu
oraz Jego Rodzinie i Bliskim**

wyrazy szczerzego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Matki

składają dowództwo, żołnierze
i pracownicy wojska
20 Bartoszyckiej Brygady Zmechanizowanej.

St. chor. szt. Zbigniewowi Sędzickiemu

wyrazy szczerzego i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają: dowódca, kadra i pracownicy wojska
2 Rejonu Wsparcia Teleinformatycznego
Sił Powietrznych.

„Śmierć przychodzi bardzo cicho.

Niezapowiedziana, nieproszona jest zawsze gościem
nie na czas”.

Panu płk. Cezaremu Balewskiemu,

komendantowi 21 Wojskowego Oddziału
Gospodarczego,

oraz Jego Rodzinie i Bliskim

wyrazy głębokiego żalu i szczerze kondolencje
z powodu śmierci

Matki

składają żołnierze i pracownicy wojska
21 Wojskowego Oddziału Gospodarczego w Elblągu.

Panu mjr. Jackowi Gazdeckiemu

wyrazy głębokiego żalu i szczerzego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają komendant, żołnierze i pracownicy
Centrum Szkolenia Logistyki.

Naszej Koleżance Ewie Lipce

wyrazy głębokiego współczucia i słowa wsparcia
z powodu śmierci

Taty

składają koleżanki i koledzy z 14 Wojskowego
Oddziału Gospodarczego w Poznaniu.

Wyrazy szczerzego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Brata

szefowi Zarządu Planowania Rzeczowego – P8
Sztabu Generalnego Wojska Polskiego

**gen. bryg. Wiesławowi Orkiszowi
i Jego Najbliższym**

składają kadra i pracownicy Zarządu Planowania
Rzeczowego – P8
Sztabu Generalnego Wojska Polskiego.

Wyrazy głębokiego współczucia oraz szczerą kondolencję dla

ppłk. Andrzeja Kulpan

z powodu śmierci

Teścia

składa dowódca wraz z żołnierzami i pracownikami 11 Mazurskiego Pułku Artylerii w Węgorzewie.

**Panu płk. Andrzejowi Karasińskiemu
oraz Jego Najbliższym**

wyrazy głębokiego współczucia i szczerą kondolencję z powodu śmierci

Teściowej

składają szef, kadra i pracownicy wojska Zespołu ds. Nowego Systemu Kierowania i Dowodzenia Siłami Zbrojnymi RP.

Wyrazy głębokiego współczucia

Panu ppłk. Janowi Targońskiemu,

szefowi sekretariatu Komendy Głównej Żandarmerii Wojskowej,
z powodu śmierci

Ojca

składają komendant główny Żandarmerii Wojskowej oraz koleżanki i koledzy z Żandarmerii Wojskowej.

**Panu gen. bryg. Wiesławowi Orkiszowi
oraz Jego Rodzinie i Bliskim**

wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu z powodu śmierci

Brata

składają dowództwo, żołnierze i pracownicy wojska 20 Bartoszyckiej Brygady Zmechanizowanej.

Pani kpt. Aleksandrze Goral

wyrazy głębokiego żalu i szczerą kondolencję z powodu śmierci

Mamy

składają dowództwo, żołnierze i pracownicy resortu obronny narodowej Pułku Ochrony w Warszawie.

**Panu gen. bryg. Wiesławowi Orkiszowi
oraz Jego Rodzinie i Bliskim**

wyrazy głębokiego współczucia oraz najszczerze kondolencje z powodu śmierci

Brata

składają żołnierze i pracownicy wojska Zarządu Planowania Użycia Sił Zbrojnych i Szkolenia – P3/P7 Sztabu Generalnego Wojska Polskiego.



Pamiętamy

sierż. Andrzej Wojda
14 lipca 1995 r., UNIFIL Liban

szer. Grzegorz Soswa
16 lipca 2006 r.,
EUFOR Bośnia i Hercegowina

st. sierż. szt. Lucjan Skrzek
17 lipca 1978 r., UNDOF Syria

mjr Jarosław Posadzy
17 lipca 2007 r., PKW Irak

płk Ryszard Szewczyk
20 lipca 1998 r.,
UNMOT Tadżykistan

kpr. Mieczysław Sternik
23 lipca 1996 r.,
IFOR Bośnia i Hercegowina

st. sierż. Piotr Biały
25 lipca 2002 r.,
SFOR Bośnia i Hercegowina

sierż. Paweł Poświat
28 lipca 2011 r., PKW Afganistan

st. kpr. Marcin Rutkowski
29 lipca 2004 r., PKW Irak

Panu płk. Jarosławowi Tomaszewskiemu,
zastępcy szefa sztabu IWspSZ,
oraz Jego Najbliższym
wyrazy głębokiego współczucia i szczerę
kondolencję z powodu śmierci
Teściowej
składają żołnierze i pracownicy wojska
Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych.

Panu płk. dr. n. med. Zbigniewowi Kędzierskiemu,
byłemu komendantowi 1 Wojskowego Szpitala
Klinicznego z Polikliniką SPZOZ w Lublinie,
oraz Jego Rodzinie i Najbliższym
wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci
Teścia
składają komendant, kadra i pracownicy
1 WSzKzP SPZOZ w Lublinie.

Panu kmdr. ppor. pil. Januszowi Grzybowskiemu
oraz Rodzinie
wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci
Ojca
składają koledzy z Centrum Operacji Morskich –
Dowództwa Komponentu Morskiego.

Z głębokim smutkiem przyjęliśmy wiadomość
o śmierci naszego Kolegi
mjr. Tadeusza Wojdata,
z którym zdobywaliśmy oficerskie szlify.
Zachowamy Go w naszej pamięci
i wspomnieniach.
Łączymy się w żałobie
z Rodziną Zmarłego.
Koledzy oficerowie promocji Oficerskiej Szkoły
Wojsk Zmechanizowany we Wrocławiu 1968

Panu ppłk. Leszkowi Kłagowi
i Jego Rodzinie
wyrazy głębokiego współczucia
oraz najszczerze kondolencje
z powodu śmierci
Ojca
składają żołnierze i pracownicy Wojskowej
Komendy Uzupełnień w Tychach.

Z głębokim żalem pożegnaliśmy
Pana Andrzeja Pakuła,
długoletniego pracownika Komendy Portu
Wojennego w Gdyni.
Rodzinie Zmarłego
wyrazy szczerego współczucia
składają komendant, żołnierze oraz pracownicy
wojska Komendy Portu Wojennego Gdynia.

Panu kmdr. rez. Wiktorowi Myszkowskiemu
oraz jego Rodzinie i Bliskim
słowa wsparcia, wyrazy głębokiego współczucia
i szczerę kondolencję z powodu śmierci
Mamy
składają rektor komendant, Senat, kadra,
pracownicy wojska, podchorążowie i studenci
Akademii Marynarki Wojennej im. Bohaterów
Westerplatte w Gdyni.

Pani Elżbiecie Kosmala i Pani Agnieszce Wittich
szczerę wyrazy żalu i współczucia
z powodu śmierci
Ojca i Dziadka
składają komendant, kadra zawodowa i pracownicy
5 Wojskowego Szpitala Klinicznego
z Polikliniką w Krakowie.

Pani Ewie Zabawa
szczerę wyrazy żalu i współczucia
z powodu śmierci
Teścia
składają komendant, kadra zawodowa i pracownicy
5 Wojskowego Szpitala Klinicznego z Polikliniką
w Krakowie.

Rodzinie i Bliskim
śp. Anatola Korniluka
szczerę wyrazy żalu i współczucia
składają komendant, kadra zawodowa i pracownicy
5 Wojskowego Szpitala Klinicznego
z Polikliniką w Krakowie.

KSIĄŻKA

Zrozumieć sąsiadów

W Ośrodku Studiów Wschodnich nikt nie myśli, nie mówi i nie pisze pod liniijkę, a swoboda wyciągania wniosków to cechy dobrej instytucji analitycznej”, tak we wstępie do zbioru rozmów ze specjalistami z OSW tłumaczy Łukasz Warzecha fenomen tego think tanku. Ta instytucja o charakterze państwowym od ponad 25 lat cieszy się zaufaniem polityków, dyplomatów i specjalistów, bez względu na poglądy rządzących. „Polska Zbrojna” również ceni sobie wiedzę i profesjonalizm analityków z OSW. Andrzej Wilk, Wojciech Konończuk czy Krzysztof

Strachota pomagają nam tłumaczyć czytelnikom to, co się dzieje nie tylko u naszych bliźszych i dalszych sąsiadów, lecz także w bardziej odległych regionach, takich jak Bałkany czy Kaukaz.

Łukasz Warzecha przez wiele miesięcy na przełomie 2014 i 2015 roku spotykał się z kilkunastoma analitykami z Ośrodka Studiów Wschodnich. Ze względu na wydarzenia, które wówczas były w centrum zainteresowania opinii publicznej, rozmawiał z nimi przede wszystkim o Rosji i Ukrainie. Nie zabrakło jednak innych, równie istotnych tematów, takich jak potencjał Grupy Wyszehradzkiej, ekspansja islamu czy sytuacja w basenie Morza Bałtyckiego. W ten sposób powstał zbiór znakomitych rozmów o bezpieczeństwie w naszym regionie. I choć często odnoszą się one do

bieżących wydarzeń, zawierają, z jednej strony, treści ponadczasowe, z drugiej zaś – prognozy na przyszłość.

Jaki jest realny potencjał rosyjskiej armii? W jakim stopniu interwencja Rosji na Ukrainie lub w Gruzji zależy od cen ropy? Czy Majdan sprowokował Rosję do ekspansji? Dlaczego na Bałkanach są problemy ze stworzeniem normalnie funkcjonujących państw? Czy na Bliskim Wschodzie powstanie dobrze zorganizowane, silne, fundamentalistyczne państwo, które będzie stwarzało zagrożenie dla całego świata? Na te i wiele innych pytań można znaleźć odpowiedzi w książce Łukasza Warzechy. ■

ANETA WIŚNIEWSKA

Łukasz Warzecha, „Między Berlinem a Pekinem”, Fronda, 2016

KSIĄŻKA

Wilkołak ze swastyką

Tysiące Niemców przemierzają niemieckie lasy, kryją się po domach i siedzą w kryjówkach, by stamtąd strzelać do anglo-amerykańskich żołnierzy, i w ten sposób najsukuteczniej dać wyraz swojej nienawiści” – tak opisywano w kwietniu 1945 roku działania Werwolu w propagandowej gazecie „Der Angriff”, powołując się na rzekome słowa korespondenta Reutersa. Niemcy, wypuszczając w świat podobne komunikaty, sami chcieli uwierzyć, że Werwolf został uznany przez wroga za bardzo niebezpiecznego przeciwnika. „Kto naszemu ciężko walczyć, czemu narodowi zadaje teraz haniebnie cios w plecy, musi umrzeć

i umrze w hańbie”. W rzeczywistości Werwolf, zamiast siejącego postrach wilkołaka, bardziej przypominał wylinałego psa, który rozpaczliwie podgryza przede wszystkim własne stado.

Jak naprawdę funkcjonowała konspiracyjna organizacja Hitlera, powołana do walki na terenach okupowanych Niemiec? W przedmowie do książki jej poświęconej Volker Koop przyznaje, że im więcej czasu upływa od zakończenia II wojny światowej, tym więcej tworzy się wokół niej mitów.

Werwolf został powołany do życia we wrześniu 1944 roku przez Heinricha Himmlera, jednak szybko stał się przedmiotem rywalizacji między nim a Josephem Goebbelsem, Martinem Bormannem, a nawet Hermannem Göringiem. Największą

aktywność przejawiał na obszarach wschodnich, na zachodzie Niemiec praktycznie nie istniał. Dziś wielu historyków twierdzi nawet, że większość akcji przeprowadzonych na tamtych terenach, a przypisywanych Werwolfowi, wcale nie była dziełem członków tej organizacji. Volker Koop szczegółowo opisuje historię Werwolu, poczynając od etymologii nazwy, odzwierciedlającej tendencję do mitologizacji niemieckich snów o potęgę, na analizie totalnej porażki tego projektu skończywszy. Jak jednak wskazuje autor, chociaż w okresie istnienia Werwolf poniósł fiasco, paradoksalnie

zaczął być groźny znacznie później, kilkadziesiąt lat po wojnie. Mit organizacji, mimo że weryfikowany wielokrotnie przez historyków, wciąż budzi niezdrową fascynację ko-



KSIĄŻKA



William Dalrymple, „Miasto dżinów. Rok w Delhi”,
Wydawnictwo Literackie, 2016

Klejnót w literackiej koronie

**William Dalrymple, brytyjski pisarz i historyk,
zabiera nas w podróż do Indii.**

Nie jest to jednak zwyczajny reportaż z egzotycznej wyprawy ani tym bardziej przewodnik po azjatyckim kraju. Ta książka wymyka się wszelkim kwalifikacjom. Jest to opowieść człowieka zakochanego w niezwykłym miejscu, który poznaje jego tajemnice, odkrywa chwalebne i ciemne karty historii.

W Delhi spędził Dalrymple kilka lat, a książka „Miasto dżinów” jest owocem pobytu w tym mieście. Poznawał je, przemierzając wzdłuż i wszerz. Nie wystarczał mu jednak obraz tego, co widział. Ciągłe bowiem słyszał, że współczesne Delhi

jest zaledwie cieniem tego sprzed lat. Ślady nieistniejącego już miasta odkrywał w dawnej architekturze, literaturze, zwyczajach i języku mieszcowskich. Głównym źródłem informacji byli ludzie, którzy pamiętali Delhi jeszcze, jak to mówili, „sprzed podziału”, czyli zanim ten region przestał być kontrolowany przez Wielką Brytanię i powstały dwa odrębne państwa – Indie i Pakistan. Przy czym Dalrymple w swojej opowieści nie ogranicza się tylko do czasów kolonializmu, lecz sięga do okresów znacznie wcześniejszych. Widać, że fascynują go lata świetno-

ści Indii za panowania Wielkich Mogolów.

To nie jest lektura do czytania jednym tchem. Wymaga uwagi i skupienia, bo mnóstwo tu szczegółów, dat i nazw, ale można się w niej rozsmakować. Razem z Williamem Dalrymplem zwiedzamy nie tylko wspaniałe pałace, świątynie, lecz także niewielkie sklepiki i osiedla biedaków. Odkrywamy np. niesamowitą budowlę, którą miejscowi nazywają piwnicą, a okazuje się ona pozostałością po siedemnastowiecznym mogolskim „teh khan”, niejako drugim pałacem, zbudowanym pod tym właściwym, gdzie w upalne dni przenosiło się życie dworskie. Odwiedzamy „rodzinę” eunuchów, ostatnią mogolską księżniczkę i wiekową Angielkę, która z kobrą dzieliła chatkę w slamsach. ■

ANETA WIŚNIEWSKA

lejších pokoleń Niemców, stając się nawet częścią narodowej popkultury. Jak wskazuje autor, w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku w Niemczech wykształciły się dwie postawy, których powolny rozwój można zaobserwować do dziś. Z jednej strony są ci, którzy bagatelizują prawdę o nazistowskiej organizacji z czystej niewiedzy. Organizują balangi Werwolfu, słuchają piosenek i zakładają maski wilkołaków. Z drugiej strony są zaś ci, którzy „gloryfikują Werwolf i bardzo dobrze wiedzą, o czym mówią. Wabią młodzież do prężnie kierowanych organizacji militarnych, otaczają chwałą reżim nazistowski i w niemieckich lasach prowadzą próby walki partyzanczej”. W ten sposób wyliniały pies pokazuje znowu wilcze kły. ■

JOANNA ROCHOWICZ

Volker Koop, „Werwolf. Ostatni zaciąg Himmlera”, Prószyński i S-ka, 2016

KSIĄŻKA

Klan Durotana

Ciężkie czasy nastały dla klanu Mroźnych Wilków. Surowy klimat i coraz większe trudności ze zdobyciem pożywienia są dla dzielnych Orków z północy trudną próbą. Mimo to przywódca klanu Garad, syn Durkosha, z dumą patrzy na odwagę i siłę swoich pobratymców. Poukładany świat Mroźnych Wilków rozsypuje się, gdy przychodzi do nich Gul'dan, który oferuje Orkom dołączenie do jego hordy. Garad odmawia. Wkrótce ginie w walce, a jego miejsce zajmuje syn, Durotan. To on musi ocalić klan przed nadciągającą nieuchronnie zagładą. Tylko jak to zrobić, kiedy nawet duchy żywiołów zdają się robić wszystko, żeby nie przetrwali... ■

Książka Christie Golden to oficjalny prequel filmu „Warcraft. Początek”, który teraz można obejrzeć

w kinach. Autorka zaoferowała czytelnikom kolejną odsłonę kultowej gry. Postaci mogą wydać się niektórym zbyt jednowymiarowe, trochę komiksowe, ale mnie to nie przeszkadza. Przeciwnie, muszą takie być, bo zostały stworzone po to, aby dokonywać prostych wyborów: między dobrem i złem, światłem i ciemnością... Czyli tak jak to działa w świecie magii i miecza. Książka wciąga, czyta się ją szybko i – jak to w prequelach bywa – narracja pozostaje otwarta, tak by zachęcić czytelnika do sięgnięcia po następne części lub obejrzenia filmu, który też podobno będzie miał kontynuację. Mnie w każdym razie zachęciła. Siła i honor! ■

JOANNA
ROCHOWICZ

Christie Golden,
„Warcraft. Durotan”,
Insignis, 2016





POD NASZYM PATRONATEM

63 dni w kolorze

Przed dwoma laty miał premierę film „Powstanie Warszawskie” – pierwszy fabularyzowany dokument, złożony wyłącznie z materiałów archiwalnych. Barwa i dźwięk nadane kronikom z powstania warszawskiego sprawiły, że jego uczestnicy otrzymali nowe życie. W ten sposób narodził się trzymający w napięciu obraz, pokazujący największą bitwę Polskiego Państwa Podziemnego. Teraz, po dwóch latach, Marcin Ciszewski, historyk i autor popularnych książek historical fiction, pokusił się o stworzenie swego rodzaju zbeletryzowanej wersji filmu. Dzięki niemu mamy okazję odbyć podróż w czasie do miejsc i wydarzeń zamkniętych w pokolorowanych kadrach z powstania. Ciszewski, w charakterystycznym dla siebie stylu, niezwykle sugestywnie oddał atmosferę walczącego miasta, które umierało na oczach całego świata. Znaczną część swojego przewodnika poświęcił życiu codziennemu mieszkańców powstańczej Warszawy, których wyróżnia przede wszystkim

niesamowita umiejętność samoorganizacji, tak potrzebna do tego, by przetrwać w nieludzkich warunkach, i chęć życia wbrew temu, co się dzieje dookoła. Książka jest wzbogacona licznymi relacjami powstańców, zebranymi przez Muzeum Powstania Warszawskiego, w wielu wypadkach udostępnionymi czytelnikowi po raz pierwszy, a ilustrowana kadrami z filmu „Powstanie Warszawskie”.

Warto sięgnąć po tę lekturę, zarówno ze względu na temat, jak i ciekawą, niebanalną formę, oraz oczywiście z sympatii dla samego autora, którego umiejętność łączenia historii i wyobraźni literackiej dała się już poznać we wcześniej wydanych powieściach, takich jak „WWW.1944.WAW.PL” czy „Kapitan Jamróż”.

JAKUB
NAWROCKI



Marcin Ciszewski,
„Powstanie Warszawskie.
Wędrówka po walczącym
mieście”, War Book, 2016

KSIĄŻKA

Strażniczki gatunku

**Byli współniczkami zbrodni
swoich mężów czy niczego
nieświadomymi ofiarami
okoliczności?**

Niemiecka socjolog, autorka książki „Żony SS-manów”, Gudrun Schwartz, zwraca uwagę, że społeczność nazistowska składała się nie tylko z mężczyzn. Takie stwierdzenie wydaje się oczywistością, bo przecież wiadomo, że aktywni działacze hitlerowskich Niemiec nie tworzyli oderwanego od reszty społeczeństwa zgrupowania samców – mieli żony, narzeczone,

Kim byli ludzie, którzy decydowali się na współpracę z okupantem i działanie przeciwko współtowarzyszom broni, kolegom, sąsiadom? Jaki był ich cel? Odpowiedzi na te proste pytania są paradoksalnie niezwykle trudne, jak przekonuje Andrzej Zasieczny w książce „Zdraycy, donosiciele i konfidenci w okupowanej Polsce 1939–1945”. W literaturze dotyczącej historii Polski z czasów II wojny światowej nie znajdziemy wielu opisów ludzi, którzy decydowali się na bycie konfidentami niemieckich władz. Nie ma też wiarygodnych informacji o motywach, którymi się kierowali, postawach społecznych czy czerpanych z tej działalności korzyściach majątkowych. W okupowanej Polsce, jak zauważa Zasieczny, nie było zinstytucjonalizowanych form kolaboracji z władzami. Niektórzy funkcjonariusze

„ŻONY SS-MANÓW”

matki, siostry, kochanki czy przyjaciółki. Co więcej, wiele Niemek aktywnie działało na rzecz idei narodowosocjalistycznej. Przy czym przez całe lata o zbrodnie nazistowskie oskarżano głównie mężczyzn. Dlaczego? Przede wszystkim dlatego, że system narodowosocjalistyczny uważano za antyfeministyczny, co pozwoliło przedstawić kobiety w roli nieświadomych ofiar. Obraz niezaangażowanych politycznie opiekunek domowego ogniska utrwaliły same zainteresowane po upadku Hitlera, dzięki czemu mogły się odciąć od oskarżeń o udział w zbrodniach. Gudrun Schwartz burzy ten mit. Najpierw prowadziła projekt pozwalający ocenić, jaki wkład w ludobójstwo miały m.in. pracownice biurowe w SS-Einsatzgruppen, lekarki, pielęgniarki czy

laborantki w obozach. W tych badaniach nie uwzględniała początkowo żon esesmanów, traktując je trochę jak dodatek do mężów. Później jednak zwróciła uwagę na szczególną rolę tych kobiet w społeczności nazistowskiej po wprowadzeniu w życie idei wspólnoty rodów. W książce „Żony SS-manów” autorka pokazuje, jak rozkaz Heinricha Himmlera o zaręczynach i małżeństwie w celu stworzenia nowej rasy germańsko-nordyckiej uczynił z nich „strażniczek gatunku”, co na polu walki o czystość rasy stawiało je na równi z mężczyznami. Niemiecka socjolog, przyglądając się życiu rodzinnemu esesmanów, udowadnia, że większość tych kobiet nie mogła, tak jak twierdziły, nie zdawać sobie sprawy z tego, czym zajmują się ich

mężowie. Co więcej, wiele z nich czerpało korzyści ze skradzionych Żydom dóbr i wykorzystywało do prac domowych więźniów obozów koncentracyjnych. Na dodatek, przejęte misją wychowania swojego potomstwa na nowych Niemców, uczyły je pogardy dla ludzi „gorszej rasy”. Dzieci esesmanów, często wychowywane w sąsiedztwie obozów koncentracyjnych, dorastały w przekonaniu, że nie ma nic złego w nieludzkim traktowaniu więźniów. Gudrun Schwartz opisuje szokujący przypadek kilkunastoletniego chłopca, któremu z okazji jego urodzin pozwolono strzelać do podrzucanych w górę żydowskich dzieci. ■

ANETA WIŚNIEWSKA

Gudrun Schwartz, „Żony SS-manów. Kobiety w elitarnych kręgach III Rzeszy”, Prószyński i S-ka, 2016



Typologia zdrady

Konfidencyja i donosicielstwo to druga strona medalu wojennego męstwa.

niemieccy tworzyli własne siatki informatorów, np. Rudolf Körner z Komendy Głównej Gestapo w Krakowie czy Franz Czok z placówki w Częstochowie. Pierwsze przypadki zdrajców i donosicieli odnotowano już pod koniec 1939 roku.

Zdaniem Włodzimierza Borodzieja, na którego pracę często powołuje się Zasieczny, agentów można podzielić na trzy główne grupy: stałych, zawodowych i okazjonalnych, którzy najczęściej

działali lokalnie. Odrębną grupą byli kolaboranci jawnie i dobrowolnie współpracujący z okupantem. Wśród nich niemało było artystów, czego niechlebnym przykładem jest chociażby Adolf Dymśa. Autor przybliży też działalność specjalnych oddziałów likwidacyjnych i wojskowych sądów oraz jednostek kontrwywiadu Armii Krajowej na obszarze Generalnego Gubernatorstwa.

Niezwykle ciekawa jest część książki dotycząca konkretnych agentów, w tym tajemniczego Bronisława Czarka vel V-51, czy

Józefa Kesslera, który przekonał do współpracy m.in. Jerzego Wojnowskiego „Motora” z ugrupowania Jana Piwnika „Ponurego”. Wiele miejsca poświęca Zasieczny opisaniu działalności najślynniejszych konfidentów, m.in.: Blanki Kaczorowskiej, Ludwika Kalksteina i Eugeniusza Świerczewskiego „Gensa”, sprawcę aresztowania Stefana Roweckiego „Grota”.

„Konfidencyja i donosicielstwo to druga wstydliva, ale zupełnie rzeczywista strona medalu wojennego męstwa, poświęcenia i męki”, napisał Bohdan Skaradziński, cytowany przez autora publicysta. „A bywało, że jedno od drugiego dzielił tylko krok”. ■

JOANNA ROCHOWICZ

Andrzej Zasieczny, „Zdrajcy, donosiciele i konfidenty w okupowanej Polsce 1939–1945”, Bellona, 2016



ANDRZEJ
FAŁARA

Gacie spod Grunwaldu



Zainteresowanie historią w narodzie podobno rośnie, ale najpopularniejsze pytanie zadawane przewodnikom wycieczek brzmi wciąż tak samo: gdzie tu jest najbliższy sklep? Wiem to od znajomego, który oprowadza młodzież szkolną m.in. po polach Grunwaldu. Kolejne miejsca na jego liście przebojów zajmują następujące kwestie: czy rycerze z 1410 roku pili piwo i kto zabił wielkiego mistrza Ulricha von Jungingena? Nie jest więc w sumie tak źle. Pytania drugie i trzecie mają kontekst historyczny, a i kwestię pierwszą dałoby się pod historię podciągnąć, bo przecież młodym ludziom może chodzić o sklep z pamiątkami.

Sprawa najbliższego sklepu oraz piwa spożywanego przez wojów Jagiełły to dla każdego przewodnika bułka z masłem. Gorzej z von Jungingenem. Nie wiadomo, kto go zabił. Istnieje kilka źródeł, z których historycy czerpią wiedzę na temat grunwaldzkiej wiktoryi, ale tak ważnej informacji tam nie ma. To ciekawe, bo przecież człowiek, który zgładził najważniejszego z nieprzyjaciół, mógł się spodziewać chwały i sówitej nagrody. Nie powinien zatem pozostawać anonimowy.

Wielki kronikarz Jan Długosz, który urodził się pięć lat po słynnej bitwie, podaje w swoich „Rocznikach”, że o śmierci wielkiego mistrza poinformował króla Władysława Jagiełłę rycerz Mszczuj ze Skrzynna. Można więc przypuszczać, że to on śmiertelnie ugodził von Jungingena. Wskazuje na to również fakt, że sługa tegoż Mszczuja, niejaki Jurga, zdarł z zabitego złoty relikwiarz. Taki był zwyczaj bitewny w średniowieczu. Sługa siedł za swoim panem i ogołacał tych, których rycerz pozbawił życia.

Malarz Jan Matejko w słynnym dziele „Bitwa pod Grunwaldem” nie uwzględnił Mszczuja ze Skrzynna. Fragment obrazu przedstawia siedzącego na koniu von Jungingena, na którego zamierza się włóczyć pieszy wojownik. Profesorowie mediewiści twierdzą zgodnym chórem, że mistrz Matejko fantazjował. Pod Grunwaldem konnica walczyła z konnicą. Żaden pieszy nie miał szans, by zbliżyć się na odległość włóczni do tak znamienitej postaci jak Ulrich von Jungingen... A zatem Mszczuj, ale tylko na 50%, bo autor żadnej z kronik nie wskazuje zdecydowanie na niego.

To wszystko opowiada młodym ludziom na polach Grunwaldu mój znajomy przewodnik. A oni przebierają nogami i rozglądają się za sklepem. Tam oczywiście upragnione napoje energetyczne oraz chrupki. Ale nie tylko. Można też kupić lniane gacie związane w pasie sznurkiem, jakie rycerze zakładali pod zbroje. Za jedyne 40 zł. Dla kobiet zaś giezło, czyli luźna koszula z cienkiego płótna. Droższa niż gacie, bo za 100 zł. Tyle samo trzeba zapłacić za najtańsze ciżmy skórzane. Każdego na pewno stać na popularną w średniowieczu czapkę płócienną za 10 zł.

Wszystkie produkty są wykonywane ręcznie przez rzemieślników-specjalistów, więc muszą odpowiednio kosztować. Nie można jednak wykluczyć spadku cen, jeśli w sprawę wmieszają się Chińczycy. Gacie spod Grunwaldu made in China. To dopiero byłaby lekcja historii. ■





POLSKA
ZBROJNA

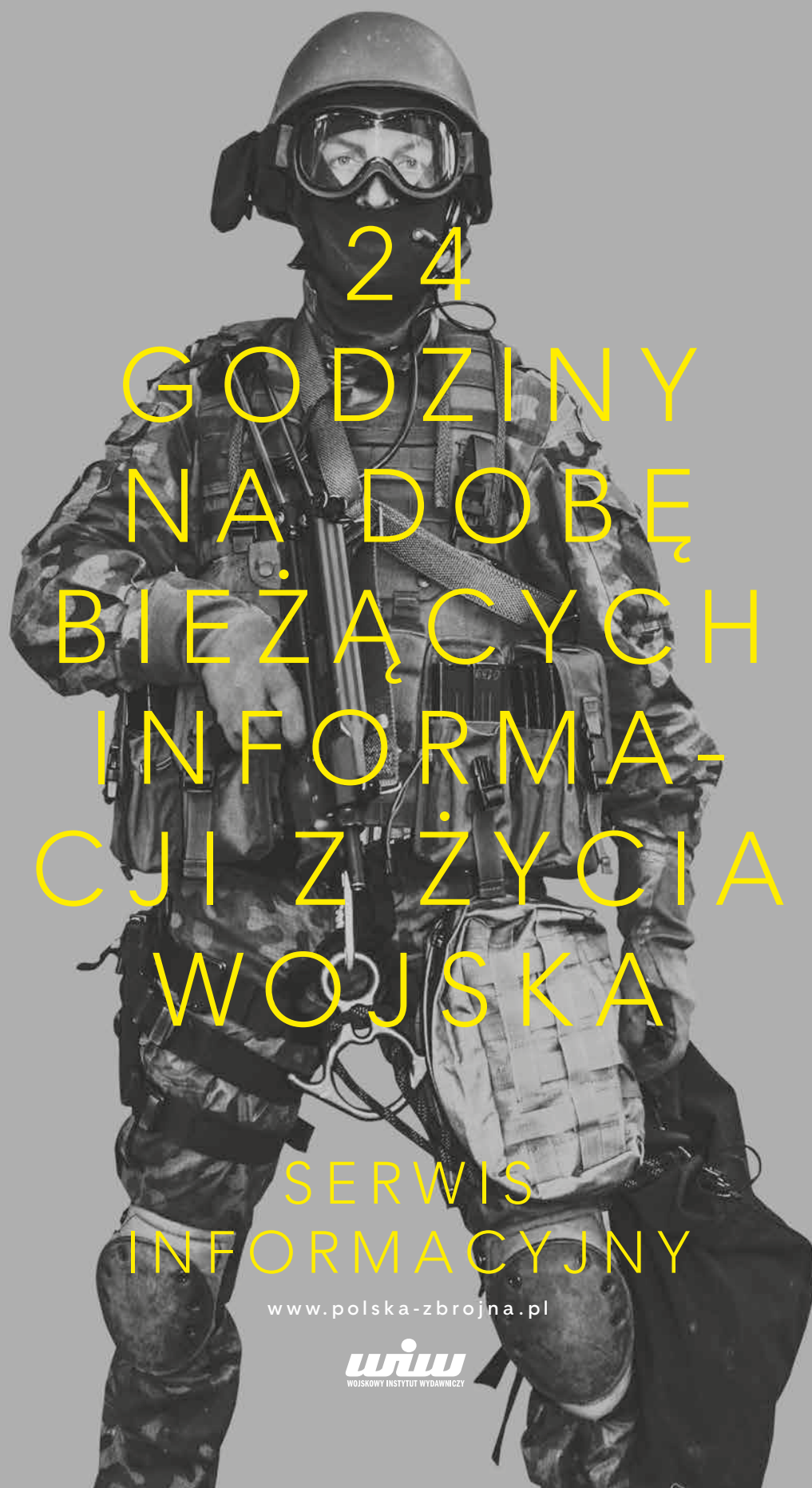
140
STRON
WNIKLIWEJ
OBSER-
WACJI
ŚWIATA
ARMII

MAGAZYN
PUBLICYSTYCZNY

www.polska-zbrojna.pl

wiiw
WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

POLSKA-ZBROJNA.PL



24
GODZINY
NA DOBĘ
BIEŻĄCYCH
INFORMA-
CJI Z ŻYCIA
WOJSKA

SERWIS
INFORMACYJNY

www.polska-zbrojna.pl

wiiw
WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY